ZUPEŁNY

# ZBIÓR PISM

Adama Pługa.

Stefan Wojciński

ZUPEŁNY

# ZBIÓR PISM

## Adama Pługa.

**SERYA II^ga**

TOMÓW SZEŚĆ.

---

Stefan Wojciński

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM A. H. KIRKORA.

1863.

Za pozwoleniem cenzury 30 sierpnia 1862 roku. Wilno.

390 925

# TOM II.

1. SŁÓWKO WSTĘPNE.
2. KRWAWY MYRT.
3. SKARBY ZAKLĘTE.
4. KIFOR.
5. PRZEJŚCIE PAŃSKIE.
6. ŹRÓDŁA CUDOWNE.
7. POTĘGA MODLITWY I JAŁMUŻNY.
8. OFIARA ZŁOTNIKA.
9. KARA BOŻA.
10. ŻUKOWY BOREK.
11. DO IGNACEGO CHODŹKI.
12. PIOSNKA RODZINNA.
13. DZIECIOBÓJCA.

# Słówko wstępne.

Jakkolwiek żadne wstępy, żadne bodaj najczulsze przemowy do czytelników, nie mogą podnieść wartości książki, która sama za siebie mówić powinna, wszelakoż trafiają się okoliczności, w których wstępne słówko nieuniknioném się staje. W takich ja właśnie w téj chwili się znajduję.

Niniejszy tom pism moich zawiera w sobie między innemi Dzieciobójcę i Piosnkę rodzinną. Dzieciobójca, ogłoszony raz pierwszy w Athenaeum, potém w Zagonie, dał powód niektórym do posądzenia mię o demagogją, o nienawiść do szlachty i t. p. zbrodnie społeczne; słuszna więc, abym podając go raz jeszcze publiczności naszéj, zaprotestował przeciw tym bezzasadnym zarzutom. Że kocham lud, tego się nie zapieram; ale też kocham i szlachtę niemniéj silną miłością; a jeślim, tak w tym obrazku, jak i w niektórych innych,

w ludzie częściéj niż w szlachcie wykazywał strony dodatnie, to nie dla tego, abym ostatnią chciał umyślnie poniżyć dla wywyższenia pierwszego, lub, abym miał na celu podniecanie waśni kastowych, ale dla tego tylko, że pisząc nie dla ludu tylko dla szlachty, która zna dobrze swoje cnoty i wcale o nich nie wątpi, stawałem przed nią, jakoby rzecznik biednych prostaczków, którym nie jeden najmniejszéj iskry zacnych uczuć odmawia. Musiałem więc starać się dowieść, że się inaczéj dzieje, musiałem dążyć do przedstawienia panom całéj nędzy poddaństwa, całéj hańby nadużycia władzy dominjalnéj, do wyjednania u nich prawdziwego współczucia dla nieszczęśliwych chłopów, częstokroć poniżanych i poniewieranych bezmyślnie, a przecież umiejących kochać, ciarpieć i pojmować swe poniżenie. A żem nie grzeszył jednostronnością, niech posłuży za dowód w tymże Dzieciobójcy, ojciec młodego dziedzica, postać, jak mniemam, ze szczerą czcią i miłością skreślona.

Mógłbym jeszcze niemało w tym przedmiocie powiedzieć, lecz przypomnam sobie, że to już lat dwanaście minęło, jak Dzieciobójcę pisałem, że w ciągu tego czasu zaszły przeważne zmiany

w społeczeństwie naszém i spełnił się zwrót błogi w opinji szlacheckiéj; że taka d e m a g o g j a, za jaką na pisarzy naszych sarkano, ogarnęła ledwie nie całe obywatelstwo, jedną z najpiękniejszych cnót jego się stała. Nie potrzebuję zatém obszérniéj sprawy swojéj wywodzić, i poprzestając na tych kilku wyrazach, śmiało powiastkę swoję po raz trzeci drukuję. Dotknie ona już tylko bardzo nieliczną garstkę wstecznikow.

Co do P i o s n k i r o d z i n n é j, osnutéj podczas pobytu mego w rodzinnych litewskich stronach, po kilkonastoletniém ich niewidzeniu, ta gdy raz pierwszy ukazała się w druku, dano mi ubocznie do zrozumienia, że zawarte w niéj apostrofy do Litwy są jakby podrzeżnianiem wielkiego wieszcza, podrzeżnianiem, którego już nie jeden wierszopis się chwytał dla zjednania sobie sympatji powiatowéj. Rozwijając daléj tę kwestją ogólnie, zdecydowano, że powiatowszczyzna tego rodzaju jest rzeczą bardzo szkodliwą, bo podnosi prowincjonalizmy, które zniknąć powinny wobec ukochania całego kraju. Przyznając słuszność tym rozumnym wywodom, nie mogę wszakże wyrzec się grzesznéj miłości dla drogich stron rodzinnych, mimo że kraj ojczysty kocham, jak

się nie wyrzekam miłości swych rodziców, mimo umiłowania wszystkich rodaków; bo wreszcieby mi przyszło miłość ojczyzny poświęcić dla miłości całego świata, a miłość ziomków dla wszechludzkości.

Na tém jeszcze nie koniec. Piosnka ta była dedykowana ś. p. Ignacemu Chodźce i poprzedzona, pełnym serdecznéj czci dla niego, wierszem. Z tą samą dedykacją i z tymże wierszem i teraz ją drukuję, nie zważając na to, cokolwiek przeciw niemu, przy schyłku jego życia, wyrzeczoném było. Kiedym hołd swój mu składał, niezrównany autor Obrazów i Podań Litewskich, jak ode mnie, tak też i od wszystkich swych ziomków, kochanym był i czczonym; niechże w méj piosnce pozostanie takim, jakim go znałem w życiu, jakim go najpóźniejsze potomstwo w pismach jego znać będzie.

# KRWAWY MYRT.

# Krwawy myrt.

OPOWIADANIE STAREGO LEGJONISTY.

Pół wieku już minęło, jak w jednym z polskich domów szlacheckich znajdowałem się na weselu, aż dotąd mi pamiętném z powodu pewnych okoliczności, które zbyt silnie uderzyły wyobraźnię moją, wówczas młodzieńczą. W ogóle nawet, jakkolwiek długo żyję na świecie i już niejednéj parze błogosławiłem, niejednych godów wspaniałych uczęstnikiem byłem wesołym; takich przecież jak tamte nie widziałem więcéj ni razu i nie obaczę już pewno.

Pan młody miał swe gniazdo na Litwie; matka jego z Rusi rud wiodła, chmara więc z niemi przyciągnęła krewniaków z téj i owéj krainy, a to samo już osobliwszą cechę dawało temu weselu, które ochocza godowników dru-

żyna żartobliwie unją Litwy z Koroną zwała. Bo trzebaż jeszcze i téj dziwnéj przygody, aby oblubienica miała imię Jadwiga, on zaś, jak umyślnie, Władysław.

Obie rodziny były bardzo zamożne, a choć nie senatorskie, przecież nie brakło im bynajmniéj pięknych zasług w ojczyznie; bo jak jednéj tak i drugiéj przodkowie, w długiéj wieków kolei, niemało ofiar położyli na jéj ołtarzu, niemało krwi dla jéj dobra wyleli. Piękne więc było grono weselne; a zacne gospodarstwo, wielce radzi swym gościom, występowali co się zowie honeste.

Na kilka dni przed ślubem uczta się rozpoczęła i czas nam schodził bardzo wesoło. Ale im bliżéj było do Sakramentu, tém oblubieniec poważniejszym się stawał, tém uroczystszém zdawało się piękne jego oblicze, tém jakoby wznioślejszą i okazalszą cała jego postawa. I panna młoda, cudo dziewica, zadumywała się jakoś powoli, i nie powiem, że posępniała, lecz w niewymówną rzewność i niby zapomnienie się jakieś wpadała; a patrząc na jéj lica anielskie, na które jakieś nieziemskie występowały blaski, na jéj postać wiotką a smukłą, którą jakby w powietrzu unosiły lekkie jéj stopy, nieraz mi się zdawało, że nie samą już duszą, ale i ciałem od ziemi się odrywa.

Spoglądaliśmy na nich z wielkiém zajęciem, z mimowolnym podziwem i zachwytem; a szczególne to ich usposobienie nieznacznie też i na nas oddziaływać zaczęło. Z hucznéj zabawy, z pląsów ochoczych przechodziliśmy

zwolna do cichéj a poważnéj biesiady, do któréj w on czas treści braknąć nie mogło.

Szeptali więc niektórzy: nie dziw, że smętnie marzą nasi oblubieńcy; nie dziw, że i rodziców zachmurzyły się lica. Jednym i drugim na myśl pewno przychodzi, że pod złą wróżbą ten związek się kojarzy w czasach takich burzliwych... Kto wié, azali nim miodowe miną miesiące, nie przyjdzie młodzianowi dla Marsa o Hymenie zapomnieć?...

Nareszcie nastał dzień najuroczystszy. Młodzi cały poranek przepędzili w kaplicy, przez modlitwę i spowiedź gotując się do świętych ślubów; a gdy powrócili do dworu, drużki niebawem jedne się wzięły do robienia bukietów, drugie zaś pannę młodą poszły ubierać. Goście w wielkiéj sali zebrani, rozmawiając z sobą poważnie, w uroczystym nastroju ducha czekali na oblubieńców z błogosławieństwem serdecznem! Po chwili nieco się gwarniéj zrobiło, bo druchny z bukietami nadeszły, przy których przypinaniu ten i ów z żartem wesołym się odezwał. W tém, idą! idą! zaszeptano ode drzwi bocznych, i wszystkie oczy w tamtą stronę pobiegły, i zdumienie wszystkich przejęło. . .

Panna młoda przez drużbów wprowadzona do sali, w czarną suknię była odziana, a na głowie, przykrytéj białym jak śnieg welonem, miała wieniec z myrtu żywego, na którego listkach zielonych krwawe centki migały. Pan młody prowadzony przez druchny, miał na sobie biały żu-

panik, czarnym jedwabnym, w srebrne rzuty pasem ściśnięty, a powierzch niego czarny kontusz do kolan, z wylotami białemi; u boku karabelę, w ręku białą czapkę z czarnym barankiem, na piersiach bukiet z myrtu krwawego.

Spójrzeliśmy po sobie, jakby jedni drugich pytając o przyczynę tego stroju dziwnego; spójrzeliśmy na siebie, i w swoich też bukietach teraz dopiéro spostrzegliśmy myrt krwawy.

Po niejakiéj chwili milczenia, znów się szepty zaczęło by, już nie wzrokiem lecz słowem każdy dopytać się powodu takiéj szaty weselnéj pragnął. Aż w tém pan młody wyszedł na środek sali i tak do nas przemówił:

— Dziwią was pewno suknie nasze żałobne, w któreśmy się przystroili do ślubu, jakby na przekor zwyczajowi tradycyjnemu? Zastanawia was również i ten myrt krwawy w wieńcu oblubienicy i w bukietach weselnych? Niejeden może nieosobliwe jakieś wnioski stąd wyprowadza i gorszy się po cichu ekscentrycznem postępowaniem naszém, biorąc je za maskaradę jakąś wenecką, świętości Sakramentu uwłaczającą... Owoż, nim przed ołtarz pójdziemy, nim się do kolan waszych schylimy po błogosławieństwo, wprzód powinienem rzecz wam całą objaśnić, byście tém szczerzéj nam błogosławili i tém goręcéj modlili się za nami.

Od dwóch wieków już blizko suknia żałobna jest ślubnym strojem rodu mojego, i będzie nim dopóty, dopóki krwawe plamy nie znikną na listkach myrtu, od dwóch wieków już blizko krzewiącego się z niemi w domu moim ojczystym. O tym zaś dziwnym myrcie taką mamy tradycję:

Za panowania Jana Kazimierza, w którém biedna nasza ojczyzna tak wielu na raz miała nieprzyjaciół, tak wiele krzywd okropnych, tak wiele klęsk doznała, 1661 roku, w listopadzie, w dzień świętéj Salomei, patronki rodu naszego, którą dzisiaj właśnie święcimy, w domu prapradziada mojego, mimo trwogę wojenną zebrał się gości poczet bardzo wielki; a prócz starców i dzieci, męzka drużyna składała się z samych towarzyszy pancernych, co na dzień jeden wymknęli się z obozu, nieopodal rozłożonego, aby wziąć udział w uroczystéj uczcie rodzinnéj, jaka nieczęsto się trafia. Były to gody weselne, ale jakie gody!

Prapradziad mój obchodził złote swoje wesele, a syn jego najmłodszy, pradziad mój rodzony, w tę radośną rocznicę, pod najszczęśliwszą wróżbą, miał też bogdance swojéj wieczną wiarę ślubować. Bogiem a prawdą, nie była to pora po temu, dla tego zwłaszcza, kto, jak mój pradziad, z obozu wprost szedł przed ołtarz, by ledwie nie od ołtarza, znów do obozu powrócić, a może i w ogień bojowy skoczyć. Ale że około tego wesela już lat kilka

radzono, że je umyślnie odkładano cierpliwie na tę uroczystą rocznicę złotą, przypadającą w święto patronki naszéj, która jak prapradziadka mojego ślubom, tak też i ojcu jego i dziadowi, i trzem starszym synom błogosławiła: więc się doczekawszy dnia tego, nie zważano już wcale na porę mniéj właściwą, a ciesząc się chwilą dzisiejszą, jutro na Boga zdano.

I naprawdę, piękna to była chwila, gdy młody oblubieniec, dzielny wojownik z zastępów Czarnieckiego, z miłością i czcią wielką upadł do nóg ojca swojego, błogosławieństwa prosząc; i gdy ten szczęśliwy jubilat, bohatér uwieńczony nie tylko w cichéj walce prywatnego żywota, lecz i w bojach chwalebnych pod Zamojskim i Chodkiewiczem, ze łzami słodkiemi w oczach, z błogością niewysłowioną w licach, wzniósł drżące dłonie nad głową syna i wyrzekł błogosławiąc:

„Bądź tak szczęśliwym w życiu domowém z twoją bogdanką, jakem ja z moją był przez pół wieku i jak dziś jestem! Daj to ojczyznie, co ja za łaską Bożą jéj dałem, a ujrzyj w większéj ją chwale, niżli dzisiejsza!“

I piękna była chwila, kiedy staruszkowie sędziwi, w poważnych szatach godowych, z myrtowemi bukietami na piersiach, dziatwę swą pobłogosławiwszy, sami z kolei „błogosławcie nam!“ rzekli, pochylając czoło przed dziećmi i przed gośćmi, i przed domownikami swojemi!

Obie pary po chwili stały już przed ołtarzem w kościele, przepełnionym tłumem pobożnych i ciekawych widzieć obrzęd niepospolity; a w parę potém godzin całe grono weselne, przy odgłosie dźwięcznéj kapeli, otaczało stoły biesiadne, wznosząc rzęsne przezdrowie!

K o c h a j m y s i ę nie obeszło jeszcze kolei, gdy śród najweselszej biesiady, ussarz, cały błotem zbryzgany, snać od rączego cwału, wpadł jak piorun do sali i zadyszanym głosem zawołał: „do broni bracia! do broni!“

Kobiety przerażone w białe ręce klasnęły, towarzysze porwali się od stołu, rzuciwszy niedopite kielichy, a jubilat najpiérwszy do ussarza przyskoczył, o przyczynę bojowego hasła pytając:

„Wróg na nas godzi! — odparł zwiastun Bellony,— lada moment pole mu damy; a głośniéj niż tu skoczna muzyka, groźne działa wnet zagrzmią; a hojniéj niż wino wesołe, krwi tam strugi popłyną! Do broni więc, komu cześć i ojczyzna miła!“

„Do broni!“ krzyknął jubilat głosem młodzieńczym, a oczy mu dziwnym ogniem zabłysły i rozgorzało oblicze; wyprostował się, wzniósł dumnie głowę i jakby urósł w téj chwili...

„Do broni!“ zagrzmiał nieodrodny syn jego, i ledwie okiem, wielkiéj miłości pełném, rzuciwszy na pobladłą swą oblubienicę, wypadł w podwórze dać stosowne rozkazy, a kilku towarzyszy za nim w ślady pobiegło.

„Oto mi gody! — prawił staruch rozpromieniony, — oto mi złote wesele!... Łaskaw Bóg na mnie, gdy mi dzisiaj w taki taniec skoczyć dozwala, com już do innego niezdolny.— I zatarł ręce, i wąs pokręcił, i w karabelę brzęknął, i na jednego z dworzan zawołał: — niech mi Chocimczyka siodłają!“

A sędziwa jego małżonka, drżąca i blada, załamawszy ręce w trwodze boleśnéj, słowa wyrzec nie śmiejąc, oczyma łez pełnemi spoglądała w około, jakby o ratunek błagając. Błaganie to zrozumieli starsi synowie i wnet do rodzica zbliżyli się z perswazją, aby, mając już dosyć laurów bojowych, pobłogosławił tylko młodszych na drogę, a sam w domu pozostał na Wojskiego dla niewiast.

Oburzył się staruch na te wyrazy, i ani mówić więcéj o tém już nie pozwolił. Parękroć tylko z wielką czułością ucałował w czoło swą żonę, swoją dzieweczkę, jak ją nazywał, uścisnął zapłakaną młodą synowę, i w pół godziny już był gotów zupełnie, uzbrojony od stóp do głowy, a na piersiach sobie zawiesił drogi bukiet swój ślubny. Obaczywszy to inni, wesoło wnet za jego poszli przykładem, powiadając, że lepiéj w tańcu się sprawią, gdy myrtowe gałązki przypominać im będą, że do weselnéj należeli drużyny.

Mniéj niż w godzinę dwór się cały wyludnił. Mężczyzni do obozu pobiegli, a kobiety z rzewną modlitwą w kościele się zamknęły, dziatwę z sobą zabrawszy.

A był to dzień pamiętny w dziejach naszéj ojczyzny, dzień wielkiéj chwały i tryumfu dzielnych polskich zastępów, które pod wodzą Stefana Czarnieckiego rozgromiły przeważne siły nieprzyjacielskie.

Lecz dla mojego rodu stał się on dniem wielkiéj żałoźci; bo mój prapradziad, ów jubilat sędziwy, z młodym zapałem w najgorętszy się ogień rzucając, ugodzony strzałem smiertelnym, zbyt drogo bohaterstwo swoje okupił. Krwią zbroczonego synowie i dworzanie wzięli z pobojowiska i tego jeszcze wieczora, na wpół żywego, odnieśli do domu, który się wielkim płaczem napełnił.

Cała rodzina z miłością niewymówną skupiła się przy łożu bohaterskiego starca, który luboć blizki już śmierci, miał wszelakoż całą przytomność i swobodę umysłu, a nawet błogi uśmiech na twarzy. Kiedy go rozdziewano, aby rany opatrzyć, nagle spójrzał po sobie i aż zadrżał z radości, znalazłszy bukiet swój ślubny krwią zbryzgany na piersiach. Zerwał go, a podając najmłodszemu synowi, temu właśnie, którego w dniu tym śluby święcono:

„Weź! — rzekł— te myrty! posadź je i pielęgnuj starannie na wieczystą w rodzie swoim pamiątkę! Przyjmą się pewno, przeżyją, bo krew moja serdeczna część mojego życia w nie wlała, i nie zbluźnię, gdy powiem, poświęciła je uroczyście. Niechże się krzewią, niech się rozmnażają w potomne czasy na ślubne wieńce i bukiety

dla dzieci i wnuków twoich, i niech w potomne czasy przenoszą pamięć o waszym ojcu, którego umiłował tak Pan Bóg, że mu w dzień złotego wesela na toast najuroczystszy wolno było krwi żywéj z własnych piersi utoczyć! Błogosławię wam! błogosławię!“

I ciężko dysząc, kładł ręce już stygnące na głowach rzewnie zapłakanéj rodziny, a po chwili o spowiednika prosił...

Nazajutrz dom już cały okryty był żałobą, w parę dni potém wspaniały pogrzeb się odbył, w parę zaś jeszcze tygodni znowu już tylko dzieci i niewiasty pozostały we dworcu, bo mężczyzni znów do obozu pobiegli.

Myrt posadzony i hodowany troskliwie, przyjął się z wielką łatwością i bardzo prędko nowe listki rozwinął. A na tych listkach, ku wielkiemu zdumieniu pielęgnujących go niewiast, krwawe plamki się ukazały. Zrazu, gdy wyjęte z bukietu gałązeczki sadzono, nie opłukano ich ze krwi, czcząc ją i zachowując umyślnie, jako świętą pamiątkę; stare więc listki miały na sobie plamki ze krwi prawdziwéj; kiedy więc i na młodych plamki te się znalazły, długo nie umiano zdać sobie sprawy z tego zjawiska, zawsze jednak myślano, że to jest rzecz tylko zewnętrzna; nie probowano wszakże plamek tych zmywać, by i ze starych też listków krwi nie opłukać. Lecz gdy powoli stare listki same opadły, a młode, jeden w drugi, na sporéj już krzewinie, krwawemi centkami się pstrzy-

ły, zroszono je wodą rzęsiście i centek nie opłukano. Pokuszono się ręką je zetrzeć; starto kilka listków na miazgę, i przekonano się w końcu, że dziwną igraszką przyrodzenia, a raczéj dziwném Bożém zrządzeniem krew starca bohaterskiego uwieczniła się na liściach myrtu, który wyrósł z gałązek, co ślubny jego bukiet składały.

Łatwo pojąć, jak drogą, jak uroczystą pamiątką myrt ten stał się dla rodu naszego. Pielęgnowano go też z troskliwością najczulszą i ze czcią, ledwie nie religijną, a starano się jak najwięcéj rozmnażać, co zresztą z niesłychaną przychodziło łatwością. Nie płonną snać była wiara konającego starca, który rzekł na swém łożu śmiertelném, że krew jego serdeczna, część życia jego w myrtów przelała i poświęciła go uroczyście.

Dziad mój tedy już z krwawych myrtów oblubienicy swojéj dał wianek, a nadto, woli ojca swego posłuszny, na uczczenie pamięci bohaterskiego przodka, starym zwyczajem rodu swojego, w dzień świętéj Salomei przystępując do ślubu, nie w białą lecz w czarną szatę odzianą pannę młodą poprowadził przed ołtarz. Rodzice moi święcie też zachowali ten zwyczaj: i dla nich dzień świętéj Salomei był dniem wesela i rodowéj razem żałoby, bo i oni też z krwawych myrtów ślubne bukiety i wieniec mieli. Na mnie dziś kolej, bo z myrtu prapradziadowego krew dotychczas nie zeszła. A więc nie gorszcie się szatą naszą żałobną, a z serca nam pobłogo-

sławcie... Bo kto wié, jak miodowe miesiące dla nas się złożą? jak myrt nasz ślubny na nas oddziała? Dziad mój ś. p. całą duszą Leszczyńskiemu oddany, w parę niedziel po ślubie żonę musiał opuścić, by krwawy okup krwawemu myrtowi złożyć, a jéj dać donosić żałoby; toż samo i ojciec mój najmilszy, który już za Stanisława Poniatowskiego matkę moją poślubił... Mamże być od nich szczęśliwszym, a raczéj nieszczęśliwszym?... Więc błogosławcie, błogosławcie nam z serca, nie na radość i spokój, lecz na wytrwałość i ochoczą ofiarę!

Skończył, a nas zdumienie wielkie i dziwne opanowały myśli... Ten, ów coś szepnął do swojego sąsiada i nagle urwał, bo zaczął się uroczysty obrzęd błogosławieństwa, a w ślad za tém cały orszak weselny do kościoła pośpieszył. I ja też udałem się z innymi i modliłem się szczerze za szczęście nowożeńców, błagając dla nich o wytrwałość i dobrą wolę w ofierze. Chciałem modlić się długo, lecz już mi na to nie starczyło skupienia ducha, bo myrt krwawy, który miałem w swoim bukiecie, tak mię opanował przeważnie, że już o niczém inném myśleć nie mogłem.

Skończył się święty obrządek i powróciliśmy do dworu. Spełniliśmy toast za szczęście nowożeńców, i statecznie, poważnie rozmawialiśmy z sobą, nie myśląc już o hucznéj biesiadzie, a jeszcze mniéj o tańcach, które nie mogły z żałobą się pogodzić.

Mnie ciągle tkwiła w myśli opowieść Władysława o jego prapradziadka złotém weselu, ciągle brzmiał w uszach krzyk owego ussarza: do broni bracia! do broni! I nieraz takem się zapomniał, że na lada tentent w podwórzu podbiegałem do okna, czy nie widzę skrzydlatego gońca Bellony; na lada drzwi skrzypnięcie biegłem ku nim oczyma, sądząc, że już wpada na salę...

I cóż na to powiecie? Przed wieczorem zjawił się goniec! Inaczéj wprawdzie wyglądał, inaczéj się do nas odezwał, i nie poskoczyliśmy zaraz w taniec bojowy; niemniéj wszelakoż niejeden z nas, zdolnych do dźwigania oręża, na weselu owém obecnych, nie wykupił się od krwawego haraczu krwawym myrtem weselnym. Cała nasza młoda drużyna wraz z panem Władysławem, w tymże jeszcze tygodniu w świat szeroki pobiegła i nierychło wróciła pod swe strzechy ojczyste...

Wiele już lat odtąd minęło. Nie zdarzyło już mi się być na weselu czyjémbądź z rodu pana Władysława; nie wiadomo mi przeto, czy dotąd w jego domu krwawe myrty się krzewią. Ale jego opowiadanie tak mi w pamięć się wjadło, tak zamęciło w głowie, że aż do dziś dnia jeszcze, ilekroć się znajdę na jakim ślubie, to mi się ciągle coś marzy, jakoby panna młoda w żałobie i w wieńcu z krwawych myrtów szła do ołtarza, jakoby nawet całe grono weselne w czerni ubrane było; i razi mię skoczna muzyka i gorszą tańce wesołe!... Dręczy to mię nad

wszelki wyraz, a nawet i zatrważa, jak symptom obłąkania; to też przy każdym ślubie modlę się najgoręcéj, aby Bóg miłosierny ten urok dziwny zdjął wreszcie z moich oczu nieszczęsnych i w barwach radośniejszych dał mi świat mój oglądać!!...

# SKARBY ZAKLĘTE.

# SKARBY ZAKLĘTE.

– Nie skarbcie sobie skarbów na ziemi, gdzie rdza i mór psuje i gdzie złodzieje wykopują i kradną. Ale skarbcie sobie skarby w niebie, gdzie ani rdza, ani mól nie psuje, ani złodzieje nie wykopują, ani kradną. Albowiem, gdzie jest skarb twoj tam jest i serce twoje.
(u ś. Mateusza roz. VI, w. 19. 20. 21).

---

„Gmin baśnie prawi; bo gmin stare dziecię.
Gmin baśniom wierzy; bo mu przesąd wiarą.“
Tak prawią mędrcy wzgardliwie; a przecię
Ileż to baśni mieści p r a w d ę starą?
Podania gminu niby Sfinxy stoją.
Hieroglifami dokoła okryte,
Co nieraz dziwną symboliką swoją
Głoszą przedwieczne p r a w d y znakomite.
Umiejmy c z y t a ć, a wiele tych baśni,
Wiele z pozoru dziwacznych tych znaków

Iskrą mądrości dla nas się rozjaśni,
Co z niebios zbiegła do serca prostaków.

Ileż-to krąży śród gminu powieści,
Bajd czarodziejskich o skarbach zaklętych?!
W nich leży symbol prawd wzniosłych i świętych,
A świat je w rzędzie dzikich bredni mieści!
Skarby zaklęte: tam w mrocznéj pieczarze,
Śród głuchéj puszczy stoją beczki złota;
Tam się na stepie stos ognisty żarzy;
Siny płomyczek nad bagnem migota.
Owdzie ponure zamczysko w ruinie,
Pod niém podziemia z żelaznemi wroty,
W podziemiach kotły i dębowe skrzynie,
W kotłach i skrzyniach złoto i klejnoty.
Z ust do ust wieść się w okolicy szerzy,
Wiedzą ludziska, gdzie skarby się kryją;
Lecz dotąd ręką nie tknięte niczyją;
Bo pod zaklęciem, bo piekło ich strzeże.
Bo ówdzie zbójcy rękoma krwawemi
Znieśli te skarby z mordu i łupieży:
Te znowu zlane łzami sierocemi,
Na onych krzywda sługi kmieci leży.
Ówdzie się znajdzie i praca gorliwa,
Owoc zabiegów całego żywota;

Ale i n a d t é m gniew boży spoczywa—
Przeklęte złoto zbierane d l a z ł o t a!
Ich posiadacze, żyjąc tu na ziemi,
Djabłu swą nędzną duszę zaprzedali,
Co dzisiaj sinym płomieniem się pali,
Z djabłem czuwając nad bogactwy swemi
Więc choć do skarbów tych w i a d o m a droga,
Ktoby tam zechciał z złym duchem wieść boje?...
Byli odważni i brali jak swoje;
Lecz jakoś straszno kusić Pana Boga!
Choć czarta zmoże znamię krzyża święte,
Zdobycz nie zawsze zdobywcę zbogaca;
Nieraz i mienie i duszę zatraci,
Bo k l ą t w ę wiodą te skarby zaklęte.

Tak lud nam prawi, tak wierzy w prostocie.
Baśniąż-to marną, przesądem nazwiecie?
Wszakże i dzisiaj na szerokim świecie
S k a r b ó w z a k l ę t y c h spotykamy krocie.
I dziś nie jeden złą chucią wiedziony,
W czarną godzinę wbiegłszy na rozdroże,
Zdarł z nędznéj duszy święte znamię Boże,
By za g r o s z marny dać ją djabłu w szpony.
I gdy mu sercem brudna chciwość miota,
Gdy nie dość skarbów, co znoszą złe duchy,
Zdrady i krzywdy, — w piekielne łańcuchy

Żonę i dziecię zakuje dla złota.
I nie trza zwalisk, ni ciemnych podziemi,
Ani szatana, co straszy w noc czarną:
Zaklęte skarby będą zaklętemi,
Choć tam dzień jasny i ludno i gwarno.
I biada, kto ich dotknąć się ośmieli!
Już tam grosz każdy klątwa Boża gniecie,
I choć-by wyszedł z worka krzywdzicieli,
Łzy pokrzywdzonych pójdą z nim po świecie.
Serce zastyga, wskróś zgrozą przyjęte,
Usta niemieją na on widok srogi
Klęsk tych, jakiemi znaczą swoje drogi
Nieprawe zbiory, te skarby zaklęte!
Ale nie każdy wziął z nieba dar cudny
Jasnowidzenia śród ziemskich zamroczy;
Nie jeden olsnął patrząc w blask ułudny,
Aż anioł śmierci otworzył mu oczy.

Znałem ja człeka, co ziemskie okowy
Raz już złożywszy, duszą z po za świata
Widział blask owy i słyszał głos owy,
Co w niebo z skarbów zaklętych ulata.
Bóg mu w cudownem miłosierdziu swojém
Dał wznowić życia przerwane koleje,
I obmyć duszę łez pokutnych zdrojem
I skarb on zebrać, który nie rdzawieje.

Jego-to powieść powtórzę przed wami.
Czyliż ją przejmę żalem jego duszy
I owym jękiem bolesnym i łzami?
Czyliż wam serce rozrzewni i wzruszy?...

Więc tak mi powiadał: „W dostatkach zrodzony,
W dostatkach chowany, po śmierci rodzica,
Gdym z braćmi rozdzielił dziedziczne miliony,
Zostałem zaledwie z fortunką szlachcica.
Nie szczupły był kąsek; bez trudu i troski
Wiek cały-by przeżył nie jeden z tém mieniem;
Lecz dręczył mi duszę błyskotném wspomnieniem
On niegdyś tak świetny majątek ojcowski.
Więc daléj w zabiegi i marne rachuby:
Wnet jarzmo na kmieci, a zamki na zbiory,
A sługom zła odzież, chleb czarny i gruby,
I licha zapłata, i pański gniew skory.
Już darmo b i é d a c t w o do wrót mi kołata,
Daremnie już płacze s i e r o t a i w d o w a,
Już niczem mi skarga i s i o s t r y i b r a t a!
„Pracujcie! pracujcie!“ odpowiedź gotowa,
„I sam ja człek biedny, mam dzieci i żonę.
„I nocy nie dośpię, i kęsa nie dojem,
„I świata nie widzę za ciągłym tym znojem,
„I w ciężkim mozole gdzieś ducha wyzionę.“

* * *

A złoto płynęło do skrzyni potokiem,
I serce mi rosło w roskoszy i dumie!
Da sobie człek radę na świecie szerokim,
Gdy pracy nie skąpi, oszczędnym być umié.
Jam p r a c y nie skąpił, lud gnębiąc ubogi,
A byłem o s z c z ę d n y, gdym wyszczuł żebraki;
I p r a c ą-to było, gdym sypał batogi,
S z c z ę d z i ł e m, z zapłaty sług grabiąc grosz jaki.

I rosły me zbiory i sława u świata; —
Że kmieć tam złorzeczy, że sługa się żali,
Któż słucha, co podła hołota wyplata?
A sąsiad coś szemrze — to zawiść go pali.
Bo gdy mi tak wszystko wciąż idzie szczęśliwie,
Gdy niebios nademną widoma opieka;
To pewno przed Bogiem sumieniem nie krzywię,
I bluźni, kto na mnie po psiemu tam szczeka.
Wszak widzą to ludzie, jak nieraz w kościele,
Na klęczki rzucony, w pierś tłukę ze skruchą,
Jak często i krzyżem na ziemi się ścielę,
A nigdy z źrzenicą nie modlę się suchą.
Wszak wiedzą domowi, jak ważne mi posty,
Jak stoję od zbytku pokarmu na straży;
Jak święcę dni święte, jak u mnie lud prosty
Próżniactwem niedzieli żadnéj nie znieważy.
Lecz na tém nie koniec: uderzcie mi c z o ł e m!

Niech sława ma z wieku do wieku zasłynie!
Ja wdzięczny ku Bogu wspaniałą świątynię
W rodzinném swém gnieździe w obłoki dźwignąłem.

I żyłem pół wieku z spokojném sumieniem,
Ufając, że Bóg mi da jeszcze lat tyle;
Lecz przyszła choroba i gasną me chwile!...
Żal życia! lecz Bożych wyroków nie zmieniem!
I kapłan wnet przybiegł ze słowem pociechy,
I słuchał spowiedzi całego żywota,
I kazał za grzechy żałować... mnie złota,
Mnie życia żal było!... gdzież były me grzechy?
Jam w pracy, modlitwie i poście dni trawił,
I skarbów nie trwonił zdarzonych od Boga.
Jam Bogu świątynię wspaniałą wystawił;
Więc prosta już teraz do Nieba mi droga.
Spokojne sumienie; lecz życia mi szkoda
Syn, dziedzic imienia i włości, dziecinną!
Com zbierał tak skrzętnie, w zagubę on poda:
Toż nie dziw, że gorzkie łzy z oczu mi płyną!

Lecz darmo! płacz duszy nie wstrzyma na ziemi.
Śmierć blizka; więc śpieszmy, niech wola ostatnia
Rozrządzi w myśl prawa skarbami mojemi:
Niech podłych procesów nie grozi im matnia.
Więc w ścisłe ustawy fortuna ujęta,

Grosz każdy najskrzętniéj zliczony, spisany;
A duszy méj strzegą pobożne kapłany,
Gromnica, oleje i hostya święta!
I zmarłem pobożnie śród bogactw i sławy,
A zgon mój, jak życie, c n y m w z o r e m jaśnieje.
Snać Bogu me cnoty pięknemi się zdały,
Gdy dał mi t a k skończyć doczesne koleje.
Więc żona i dzieci, bez płaczu i jęku,
Z pobożną pociechą śmierć moję widzieli;
Bo im się zdawało, że święci anieli
Do niebios mą duszę zaniosą na ręku.

I j a b y m tak mniemał..... I n a c z é j s i ę s t a ł o!
Zaledwie świat zniknął przed martwą źrzenicą,
Duch stanął przed s ą d u strasznego stolicą,
I ujrzał Chrystusa i z mocą i z chwałą.
On, w swego męczeństwa szkarłaty odziany,
Pod świętym stał krzyżem w cierniowéj koronie,
I trzcinę za berło w skrwawionéj miał dłoni,
I łono i stopy skrwawione przez rany.
Lecz k r z y ż o n przez niebios bezbrzeżne przestworza
Ogniste, promienne rozstrzelił ramiona,
Blask rajski rozlewa c i e r n i o w a k o r o n a,
Promieńmi rajskiemi wytryska k r e w b o ż a,
I ogniem cudownym jaśnieją s z k a r ł a t y,
I t r z c i n a promieniem błyskawic się żarzy;

A na jéj skinienie aniołów drżą światy
I rzesze niebieskie padają na twarze.
Więc duch mój padł na twarz w nadziemskiéj pokorze,
Wskróś trwogą trwóg wszystkich przejęty;
I jako wód wiela szumiące odmęty,
Po niebie zabrzmiały święte słowa Boże;
I padły na duszę, jak łkanie sieroce,
Jak rzewne łzy wdowy, co krzywdy swéj płacze,
Jak prośba daremna i jęki żebracze,
Jak głosy złorzeczeń ofiary przemocy.

„Pod wroty twojemi zgłodniały, spragniony
„Ja płaczę i jęczę, i modlę: tyś g ł u c h y,
„Ni marnéj ze stoła nie rzucisz okruchy,
„Ni wody kropelki na język spalony!
„Ja zziębły, przemokły do drzwi twych kołacę,
„Wzywając gościny śród słotnéj zawiei;
„U ciebie złocone, przestronne pałace,
„Lecz komin ich ciepły nędzarza n i e g r z e j e,
„Ja ledwie przykryty lichemi łachmany,
„Kostnieję na chłodzie i marnie już ginę;
„Twój rumak w tygrysie opony przybrany,
„A dla mnie cię n i e s t a ć na lichą płachcinę!
„Ja, w pęta zakuty, łzy leję w rozpaczy,
„Ty słówkiem pociechy n i ę w e s p r z e s z méj duszy;

„Mnie w ciężkiéj niemocy ból łamie i kruszy,
„Lecz moje cierpienie n i c dla cię n i e z n a c z y!

— „O Panie mój, Panie!“ wyjęknę zdumiony,
„Jam ciebie nie widział w więzieniu, w chorobie;
„Pokarmu, napoju nie mogłem dać Tobie,
„Ni szaty, ni w domu gościnnéj ochrony.“

Więc znowu Zbawiciel: „Ilekroć z twych braci
„N a j m n i e j s z y m wzgardziłeś w dotkliwéj potrzebie,
„M n ą s a m y m wzgardziłeś; bo w j e g o postaci
„Z modlitwą i płaczem J a byłem u ciebie!“

Więc znowu wyjęknę: „O! Panie mój, Panie!
„Jam w pracy, modlitwie i poście dni trawił;
„Jam tobie wspaniałą świątynię wystawił:
„Czyż tego na okup méj winy nie stanie?!“

W tém przy mnie stojący mój anioł stróż święty,
I smutny i łzawy, i z głową zwieszoną,
Zadźwięczy w głos rzewny, litością przejęty;
Bo s k a r g ą on dla mnie, co miał być o b r o n ą!
„Nie doszły twe modły i łzy twe do nieba,
„Rozwiały gdzieś wiatry dźwięk marny i pusty;
„Płakałeś o c z y m a, modliłeś się u s t y,
„A Bogu s e r d e c z n é j ofiary potrzeba;
„Więc liczba ich stoi, gdzie czas twój p r ó ż n i a c z y.

„A posty? cóż po nich? choć jednąż nieprawą
„Zabiłeś c h u ć w sobie tą postną twą strawą,
„Jaką się kmieć nawet w dni godów nie raczy?
„A twoja świątynia, a praca twa szczera?
„Patrz, biedny! i słuchaj, co stamtąd dolata!
„Niech dusza twa plony zasiane wyzbiera,
„To dla niéj za cnoty i zbrodnie zapłata!“

A Chrystus, z boleścią Golgockiéj męczarni,
Promiennem swém berłem znak skreśli w przestrzeni,
I nagle się widok przedemną odmieni,
I zgroza nad zgrozy mą duszę ogarnie,
Sam jeden w bezbrzeżnéj błękitów krainie
Duch zawisł; już znikły promienne niebiosy;
Natomiast świat ziemski przed oczy mi płynie,
A odeń i błyski i gromy i głosy.
I cały mój żywot, od pierwszéj méj myśli,
Od czynu pierwszego do chwili skonania,
W jednym obrazie straszliwym się kréśli,
Czas, przestrzeń, we m g n i e n i e, w p u n k t jeden
(pochłania.

O! straszny-to obraz! ziemskiemi oczyma
Nie ujrzeć téj zgrozy — olsnęłyby one!
I słuchem nie słyszéć; bo słuch nie wytrzyma!
I sercem nie pojąć, bo pęknie zgniecione!...
Jam w i d z i a ł i s ł y s z a ł!... Złe myśli, złe czyny,

To snopy płomieni, błyskawic-to żmije!
A każda łza z mojéj wylana przyczyny,
Jak morze ryczące ku niebu wciąż bije!
A każde westchnienie grzmi burzą szaloną!
Przekleństwo—piorunów rozlega się rykiem!
A zbiory me wszędy s i n a w y m p ł o m y k i e m,
Jak s k a r b y z a k l ę t e, migocą i płoną!
I dworzec mój cały, i ogród zielony,
I brogi i srébra, i szaty i sprzęty!
Na w s z y s t k i ć m ów siny płomyczek zatlony:
Na ż o n ę i d z i e c i skarb zlał go zaklęty!
I widzę, jak każdy g r o s z wzięty z méj skrzyni,
By d ż u m ę po świecie roznosi go z sobą!
Jak w s e r c a się wciska i jadem w nich płynie,
I d u s z ę zaraża śmiertelną chorobą.
Bo w groszu, gdzie błyszczą te sine płomienie.
Tam k r z y w d a się ludzka przepala w gniew Boży;
Więc w zbiory n a j c z y s t s z e, wprowadza zniszczenie,
Więc nawet i w ręku n i e w i n n y c h nie sporzy!

A płomień ten gorzał, i w ogniów tych łunie,
Co cielsku mojemu do grobu świeciły,
I w ćwiekach i w klamrach złocistych przy trumnie,
Szedł, lampą piekielną tleć w głębi mogiły!
I palił mą duszę, co z górnéj otchłani
Ze zgrozą patrzała na przepych pogrzebu,

Na który anieli, od Boga wysłani,
N i c przynieść nie mogli na okup jéj niebu!

Powodzią jasności tam świateł miliony
Zalały wzdłuż drogę, przybraną w makaty;
A po niéj, czarnemi okryte opony,
Rumaki ciągnęły karawan bogaty.
I z pieniem żałobném szedł księży rzęd długi,
Szły bractwa, dźwigając chorągwie i krzyże,
I tłumy gawiedzi, i pańskie szły cugi,
I moja rodzina w ponurym szła kirze.
I dzwony wciąż biły na lament grobowy,
I płaczem rzewliwym jęczała muzyka,
I mówcy, nie szczędząc kwiecistéj wymowy,
Głosili mniemane cnoty nieboszczyka.

Lecz wszystko to wicher rozmiatał po ziemi,
I mieszał w gwar jakiś ponury i dziki,
A w niebo szły stamtąd z p ł o m i e ń m i s i n e m i
Ł z y tylko skrzywdzonych, z ł o r z e c z e ń wykrzyki.
I ledwie niekiedy, śród groźnéj téj wrzawy,
Głos zabrzmiał uroczy i słodki i błogi,
Głos szczeréj m o d l i t w y i rzewny i łzawy:
I ledwie gdzieniegdzie śród owéj pożogi
Zabłysło ś w i a t e ł k o skrą czystą i jasną,
Jak gwiazdka, jak cudne anioła spójrzenie!

T e głosy nie głuchną, t e iskry nie gasną,
I dźwięczne, promienne mkną w niebios przestrzenie.
T o echo, t o odblask dni moich przedświtu:
Jakiegoś tam sługi przed ojcem o b r o n a,
P r z y s m a c z e k, z a b a w k a w jałmużnie stracona;
T o chwilka rzewnego, czystego zachwytu:
C h ę ć jakaś szlachetna, m y ś l zacna.... i dziwy!
I t o ż mi zasługą, o Panie nad Pany!
Ten k o s z t u r ślepemu starcowi podany,
Gdy mu go wytrącił z rąk psotnik złośliwy?
Toż w i ę k s z ą zasługą te błahe ofiary,
Nad modły i posty, i ową świątynię?
Toż jedno „B ó g z a p ł a ć," co wyrzekł dziad stary,
W a ż n i e j s z e nad hymny, co dźwięczą tam ninie?...

O Boże! cóż znowu za rajskie widziadła?!...
Tam drogą ode wsi w cmentarne ustronie
Trzech ludzi pośpiesza; niewiasta wybladła
Łka jękiem rzewliwym i łamie swe dłonie,
I modli się skargą serdeczną i płaczem.
Mąż przy niéj pod srogiém brzemieniem się zgina
Trumienka na plecach, w trumience — dziecina;
Przed nimi dziad z krzyżem... T a k w życiu b i e d a c z é m,
Lecz w niebo b l a s k od nich promienną mknie smugą
I r a j s k i e brzmią pieśni, i r a j s k a woń płynie;
Bo święci a n i e l i z braterską posługą

Już krążą gromadką przy b i e d n é j r o d z i n i e.
Więc z o j c e m ten dźwiga trumienkę ubogą,
Ów m a t k ę zbolałą ramieniem podpiera,
Ten łzy i westchnienia i modły jéj zbiera,
By w zamian w jéj serce pociechę wlać błogą!
Tam znowu promienny ich orszak skrzydlaty,
Jak kondukt pogrzebny przed dziadkiem pomyka,
Pochodnie im — gwiazdy, kadzidłem ich — kwiaty
A h y m n y żałobne — to pieśni słowika!....

* * *

I znikło widzenie, i sroższa męczarnia
Do głębi mą duszę przejmuje na nowo,
I znowu m ó j k o n d u k t grzmi burzą gromową,
I znowu mię piekielnym płomieniem ogarnia.
Lecz oto świątynia. Jéj fronton wspaniały
Przybrała z marmuru misternie rzeźbiona
Tarcz herbu mojego, a przy niéj imiona
Mych dziadów, pradziadów i moje jaśniały.
Lecz klejnot świetny méj chwały i cnoty
P ł o m i e ń m i s i n e m i niebiosom się żarzy,
A cała świątynia, jak gdyby w klejnoty,
Przybrana w n i e z n a n e imiona n ę d z a r z y!
Na każdéj cegiełce, od lochów pod stropy,
Lśni imię pisane rozbłyskiem promienia;
Lecz nigdzie nie dojrzeć m o j e g o i m i e n i a —
Wciąż s z l a c h t a u b o g a, m i e s z c z a n y i c h ł o p y!

O! straszne, o! święte wyroki Twe, Chryste!
J a m złoto wysypał z bogatéj skarbony,
Lecz o n i zdobyli te moje miljony,
I c h pracę Ci dały me ręce nieczyste;
Mój tylko ów klejnot, to pychy méj godło,
Ma p i e c z ę ć piekielna na s k a r b a c h z a k l ę t y c h,
Co nawet c h ę ć dobrą, dar natchnień Twych świętych,
Skalała marnością światową a podłą!
Więc stoją te mury, by n ę d z a r z swe p ł a c z e
Ofiarą w nich składał na zgubę méj duszy!....
O! kiedyż Twa litość t a k serce me wzruszy,
Żę krzywdy z a p o m n i, ciemiężcy p r z e b a c z y?!

O weźcie stąd, weźcie me zwłoki co żywo!
Niech serca skrzywdzonym ich widok nie drażni!
Niech będzie świątynia świątynią prawdziwą,
Nie p o m s t y przybytkiem, nie placem méj kaźni!....

I wzięto, i w grobie złożono drewnianym,
Nim dłóto rzeźbiarza wykończy ozdoby
W przepysznym pomniku z marmuru ciosanym,
A wtedy otworzę rodzinne swe groby.

I znikło widzenie, a p ł o m i e ń ó w s i n y
Mych s k a r b ó w z a k l ę t y c h znów zajął mą duszę:
I widzę, jak bucha śród mojéj r o d z i n y,
I czuję mąk wszystkich piekielne katusze.

Daremne przedśmiertne te moje ustawy,
I wola, stygnącą skreślona już dłonią!
Spełnione, niestety, me wieczne o b a w y;
Fortuny méj prawne przepisy n i e c h r o n i ą!
W a ś ń bucha zażarta: wyrodni zięciowie
Na matkę pieniacze zastępy prowadzą:
Chcą w y d r z e ć rodzinny majątek méj wdowie,
O z g u b i e mojego dziecięcia już radzą,
A płomień, co brudne zażega ich serce,
I w piersi m y c h c ó r e k powoli się wciska,
I niesie straszliwą pożogę w iskierce,
By szczęście ich całe obrócić w zwaliska.
I h a ń b ą okryta nieszczęsna rodzina!
Więc s z w a g i e r na szwagra powstaje zaciekły,
Więc c ó r k i cześć matki, jak łachman wywlekły,
Więc m a t k a swe córki rodzone przeklina!
I tydzień nie minął, już proces ów dziki
Po wszystkich wre sądach; a s k a r b mój z a k l ę t y
Pod młotem pieniactwa r o z p a d a na szczęty
I w świat się rozbiega s i n e m i p ł o m y k i.
I t y s i ą c s e r c żądza zapala nieczysta:
Tam świadek bezbożny, wierzyciel fałszywy,
Tam sędzia przedajny, przewrótny jurysta;
Bo s k a r b ó w z a k l ę t y c h dotknęli—nie dziwy!
A od nich p ł o m y c z e k p i e k i e l n y się wkrada
Do serc i c h r o d z i n y; w krew żywą przechodzi,

By nawet w p o t o m s t w i e, co k i e d y ś się zrodzi,
O d w i e k u d o w i e k u szła krzywda i zdrada,
A za nią gniew boży, i pomsta i plaga!
A każda i s k i e r k a, co świeżo zapłonie.
Wnet m o r z e m p ł o m i e n i na duszę mą zionie,
I męki jéj srogie, i boleść jéj wzmaga.

Lecz nagle.... O! męka nad wszystkie męczarnie!
O! boleść z boleści! tam s y n m ó j j e d y n y
P a d ł t r u p e m z rumaka!.... a z życiem dzieciny
I ród mój i m i e n i e przepadło już marnie!
I widzę: d u c h d z i e c k a z anioły bożemi
Promiennem skrzydełkiem ku niebu pomyka....
Bóg n i e dał mu zaznać owego płomyka,
Com rzucił dlań w spadku z skarbami mojemi.
I oto owiany już r a j s k ą ozdobą,
Już śpieszy s z c z ę ś l i w y za lepszą dziedziną.
„O! duchu ty jasny! o! droga dziecino!
Ach! weź mię! ach! unieś tam z sobą!“....
D a r e m n i e! uleciał w wysokie niebiosy;
B l a s k tylko od niego owionął mię błogo,
Ożywił, orzeźwił, jak krople téj rosy,
Co rzeźwią kwiat, letnią spalony pożogą.
I tylko czarowne, urocze brzmią d ź w i ę k i,
I z niebios wysokich na duszę mą płyną:

Łagodząc od ziemi bijące w nią jęki.....
„O! módl się tam, módl się dziecino!“....

O! módl się, bo n o w a męczarnia nią miota!....
Tam znowu ż a ł o b n y k a r a w a n się snuje,—
Ach t w ó j - to, t w ó j pogrzeb, dziecinko ma złota!
Lecz matki, n i siostry, n i krewnych przy trumnie!
Bo m a t k a w śmiertelnéj dogasa chorobie,
Bo grodu pilnują s z w a g r o w i e pieniacze,
I s i o s t r y tam z nimi!.... L u d tylko w żałobie,
L u d p r o s t y i s ł u ż b a !... I dziwy!—lud p ł a c z e !.
Lud ł k a n i e m rzewliwém uderza w niebiosy,
Lecz duszy nie dręczy, nie pali to łkanie,
„O! biédny on, biédny! o! przebacz mu, Panie!“

O! biédny zaiste! bogactwa, zaszczyty
Przepadły, jak dymy w burzliwym powiewie!
Bóg rzucił piorunem w wszechmocnym swym gniewie,
I gmach ów wspaniały w p r o c h marny rozbity!
W o s t a t n i m p o t o m k u ród świetny dziś gaśnie,
Przy trumnie nikogo, n i k o g o z rodziny!
Dłoń obca, najemna drzwi grobu zatrzaśnie,
Trup ojca cię s p o t k a , mój synu jedyny!

O dziwne natchnienie! o dziwne wyroki!
On świetny g r o b o w i e c już czekał gotowy,

A zatém, z rozkazu nieszczęsnéj méj wdowy,
Wraz z synem ojcowskie ledz miały t a m zwłoki.
I zgroza! gdy trumna, z k a p l i c z k i dobyta,
Trup ojca wywiozłszy, stanęła śród drogi,
Czekając, nim s y n a karawan powita,
By razem z nim w domu wiecznego iść progi,
Lud j ę k n ą ł w płacz jeden... i w wielkiéj téj chwili
Z a p o m n i a ł krzywd swoich i swego cierpienia,
I jednym, potężnym głosem p r z e b a c z e n i a
N ę d z a r z e grom gniewu Bożego z g a s i l i!
Cud stał się!.....
I d u c h mój na nowo połączył się z c i a ł e m,
I z grobu na świadka prawd świętych p o w s t a ł e m."—

* * *

Tak skończył starzec. Dalsze jego czyny
Sam już widziałem. Z grobu wydźwignięty
Stłumił waśń srogą zawziętéj rodziny
Mieniem r o d o w é m; a s k a r b s w ó j z a k l ę t y,
Skarb k r z y w d ą ludzką bezbożnie nabyty,
Wziął w swoje ręce, by w r ó c i ć skrzywdzonym.
I nędzną szatą żebraczą okryty,
Resztę dni trawiąc przy chlebie i wodzie,
W pracy, modlitwie, z sercem ukorzoném,
Gdzie u j r z a ł człeka w dotkliwéj przygodzie,

Biegł wesprzeć groszem i pociechą bratnią.
A gdy przez bliźnich wszystko oddał Bogu,
Ostatni kąsek i szatę ostatnią,
W świat poszedł, żebrząc od progu do progu,
Pracy i znoju za świętą jałmużnę!
A gdy co ciężkim zarobił mozołem,
Wnet biédnym oddał, i z sercem wesołém
Znowu na plecy brał sakwy swe próżne.

Tak wiek swoj skończył, ubogi, nieznany,
Zdala od krewnych. Litościwe ręce
W grób go złożyły w ubogiéj trumience!
Ale anielski chór, z niebios wysłany,
Zebrał na cichéj żebraczéj mogile
Tyle łez szczerych, błogosławieństw tyle;
Że kiedy wrócił do PANA nad Pany,
Pewno się znalazł w świetlaném tém gronie
I duch nędzarza, na jasnym Syonie.

Dżuryn, na Podolu.

# KIFOR.

(Treść do powieści ludowej).

---

Kilka lat temu, na Podolu, w małéj mieścinie Murafie, oddał Bogu ducha biedny obłąkaniec, znany w okolicznych dworach i wioskach pod imieniem K i f o r a. I ja też go znałem, a rysy jego nieprędko zatrą mi się w pamięci, głęboko w nią się wraziwszy, pod wpływem okoliczności, w jakich go raz piérwszy ujrzałem.

Było to w mroźny, zimowy poranek, w kościele, przed rozpoczęciem egzekwjalnego nabożeństwa. Już trumna kirem obita stała na katafalku; już świéce i lampy dokoła niéj płonęły, posępnym blaskiem napełniając świątynię, przez któréj zamarzłe okna gotyckie ledwie się przedzierał niepewny promień pochmurnego nieba; ale głucha cisza panowała dokoła, kiedy niekiedy tylko przerywana cięż-

kiém westchnieniem szczupłéj gromadki wiernych, na żałobny obrząd przybyłéj. Klęczałem pogrążony w myślach rozmodlonych rzewliwie, ze łzawemi oczyma, zwróconemi na trumnę. W tém z zakrystji wyszedł jakiś starzec, suchy, wysoki, z głową dumnie wzniesioną, okrytą siwym, lecz gęstym, krótko ostrzyżonym włosem, z twarzą marmurowéj bladości i bezwładności, nacechowaną niby jakiémś wielkiém zamyśleniem, z wzrokiem osłupiałym, jak gdyby w daleki jakiś punkt w przestrzeni mocno wpatrzonym, bez obuwia na nogach, bez czapki w ręku, odziany tylko w letnią kapotę i spodnie, z prostym kijkiem pod pachą.

Wszedł, ani się przeżegnał, ani czoła uchylił, i poważnie, uroczyście krocząc przez kościoł, kiedy trumnę wymijał, wzniósł pięść kościstą i kilkakroć w wieko nią silnie uderzył, aż cała świątynia, poważném napełniona milczeniem, rozległa się echem grobowém. Dreszcz jakiś dziwny przejął serca wszystkich obecnych, którzy z trwożném zdumieniem obrócili oczy na starca... On zimny, posągowy jak przedtém, ani spójrzał na nikogo, ani jednego rysu w twarzy nie zmienił, i poszedłszy przez cały kościoł, wyszedł na cmentarz.

Po nabożeństwie dowiedziałem się od miejscowych mieszkańców, że dziwny ten starzec od lat już kilkudziesięciu tuła się po okolicy, nigdzie miejsca zagrzać niemogąc, zawsze taki milczący, smutny, odrętwiały, zamyślony i zapatrzony, obojętny na wszystko co go otacza:

skwary, czy mrozy, litość, czy szyderstwo: niedbający ani o pokarm, ani o odzież, ani o jałmużnę pieniężną, i nieświadomy nawet, kto go okrywa, kto karmi, i gdzie się obracają pieniądze, które mu do rąk litościwi kładną. Wieczny wędrownik, nieraz w najsroższe mrozy bosy, bez czapki, w letniéj odzieży, przechodząc z wioski do wioski i ze dworu do dworu, wejdzie jednemi, wyjdzie drugiemi drzwiami, ani słówka do nikogo nieprzemówiwszy, czasem się we zwierciadło popatrzy, czasem brząknie na fortepjanie, czasem na paradnéj kanapie usiądzie, ani spójrzawszy na nikogo, jak gdyby nikt oprócz niego nie istniał, daléj powędruje bez myśli i wiedzy.

Starałem się dowiedzieć o przyczynie tego obłąkania m utnego, ale nikt nie mógł ciekawości méj zaspokoić. Parę razy sam z biédnym starcem probowałem rozmowy; ale i z głuchoniemym nie poszłoby gorzéj: bo nie tylko najwyraźniéj znać było, że słów moich nie słyszy i nie rozumié, lecz że się nawet ani domyśla, że do niego przemawiam! I tak zawsze i z każdym: nikt ani łzy w jego oku, ani uśmiechu, ani gniewu na twarzy nigdy nie widział: nikt ani jęku, ani najmniejszéj skargi lub prośby nie słyszał!

Po tych więc pokuszeniach daremnych, i ja z innymi obojętném już okiem patrzeć zacząłem na ten automat, przypominając tylko na jego widok fantastyczną powieść o owym kupcu holenderskim, co okulawszy znalazł jakiegoś mechanika sławnego, który mu tak misterne korko-

we nogi dorobił, że jak się raz puścił na nich w świat boży, tak possedł i poszedł, zatrzymać już się nie mogąc, i dotąd gdzieś chodzi, trup zawędzony i wyschły.

Aż oto przed kilką laty jeden z moich znajomych, zamieszkałych w Murafie, z którym nieraz o nieszczęśliwym Kiforze rozmawiałem, przybywszy do mnie, ledwie próg przestąpił, ledwie mi rękę podał:—Siadaj,— rzekł— i pisz, bo ciekawą historję tobie przywiozłem.

— I cóż to za historja?

— Bardzo ciekawa, i pewny jestem, że wdzięczny za nią mi będziesz.

— Z góry dziękuję; ale powiadajże czém prędzéj.

— Biedny Kifor nie żyje!

— Niechże mu ziemia lekką będzie! niechże mu odpoczynek wieczny, gdy go za życia nie miał, tułacz nieszczęśliwy!— Ale gdzież jest historja?

— W jego śmierci właśnie. Wyobraź sobie: onegdaj przychodzi do mnie ksiądz Jan, nadzwyczajnie wzruszony i zapłakany; a kiedy go pytam z troskliwością serdeczną o przyczynę tego wzruszenia, on mi powiada, że przed chwilą ostatnie dał namaszczenie Kiforowi biédnemu.

— Czegoż więc płaczesz, księże dobrodzieju!—rzekłem mu na to.—Wszakże, jak mniemam, śmierć dla tego biédaka jedyném była dobrodziejstwem, o jakie dlań Boga mogliśmy prosić.

— Prawda!—odparł ksiądz Jan;— ale gdybyś jego spowiedź posłyszał, tobyś i sam od łez powstrzymać się nie mógł.

— Jak to?— zapytałem zdziwiony,— alboż się spowiadał? Wszakże od lat wielu nikt ani słówka odeń nie słyszał.

— Właśnie też tém rzewniejsza cała ta okoliczność. Posłuchaj tylko.— Dziś rano nieszczęśliwy ten starzec przyszedł do chaty Karpa poberežnika, siadł na ławie przy piecu; chwil parę rozglądał się po całéj izbie, po świętych obrazach, zawieszonych na ścianach, i po ludziach mało zważających na niego; a wreszcie rzekł do Karpa:

— Panie gospodarzu! pozwólcie mi, proszę, umrzeć w waszéj chacie!....

Karpo zdziwiony tym głosem, którego nigdy z ust biédnego obłąkańca nie słyszał, z wielką skwapliwością, wraz z żoną i córką przypadł do niego i poczciwie pytać się zaczął, co mu jest i jakiéj potrzebuje rady?

— Niczego mi nie trzeba! umrzeć tylko tutaj pozwólcie i księdza do mnie poproście.

Karpowa i jéj dzieci zaczęły płakać i zawodzić swoim zwyczajem, jakby im kto z rodziny umierał, a Karp szkapki dopadłszy, czém prędzéj puścił się do mnie. Wpadł zadyszany....— Dobrodzieju! Kifor umiera, spowiedzi żąda!....

— Jak to?— zapytałem,— wszakże on nic nie mówi i przytomności nie ma?

— Mówi już, mówi! i przytomny zupełnie!— odparł pobereżnik.

Zdziwiony tą nowiną, wziąłem Wiatyk święty i udałem się do chaty Karpa.

Wszedłszy do izby, zastałem Kifora klęczącego przed obrazem i we łzach rzewnych głośno się modlącego. Na odgłos dzwonka, zwiastującego przyjście Zbawiciela na ratunek duszy jego grzesznéj, biedny starzec, z klęczek nie wstając, chyżo się ku mnie obrócił i wnet upadł twarzą do ziemi, głośném się łkaniem zaniosłszy.

Kobiéty z płaczem rzuciły się ku niemu i podniósłszy go, posadziły na ławce; lecz starzec znowu na klęczki się osunął, i ręce moje całując, prosił, abym go wyspowiadał. Skinąłem na obecnych, aby się oddalili; lecz on oświadczył, że pragnie, aby wszyscy zostali, i w obec wszystkich życie mi swoje całe opowiedział, w którém od ostatniéj spowiedzi, w sam dzień ślubu odbytéj przed laty kilkudziesięciu, ani jednego grzechu nie było, bo przez lat kilkadziesiąt dusza tego człowieka, snem letargicznym zdjęta, o niczém wiedzy, ani myśli nie miała. A historja jego jest taka.

Przed laty kilkudziesięciu, młody, dziarski i zamożny parobczak, kochał Kifor poczciwą, hożą, ale ubożuchną dziewczynę, zostającą na służbie u jednego z bogat-

szych gospodarzy, kochany wzajem tą wielką, prostą miłością, która jeśli się trafi u ludu, to już taka, o jakiéj w książkach tylko czytać, i na prawdę myślał o związku z nią małżeńskim. Ale jak się rodzice gniewać, a sąsiedzi i sąsiadki radzić zaczęli, tak lekkomyślny chłopak i zmienił swój zamiar, i zaswatał wkrótce córkę najbogatszego kmiecia, którą mu naraiły kumoszki. Biédna sierota, dowiedziawszy się o tém, przepadła gdzieś bez wieści; Kifor zafrasował się z razu i zasmucił tém bardzo— chodził jak obłąkany, jak struty; ale mu żal i smutek wyperswadowały kumoszki i skłoniły go wreszcie, że dał na zapowiedzi z bogatą ową dziewczyną, i trzeciego tygodnia wesoło do ołtarza z nią poszedł.

Po odbytym ślubnym obrzędzie, kiedy państwo młodzi wychodzili z kościoła i już w progu kruchty stanęli, jęk żałośny, przeciągły, straszny dał się nagle słyszeć.... Obejrzał się Kifor, dziwną jakąś trwogą przejęty, i w ciemnym kącie kościelnego przedsionka ujrzał piérwszą swoją kochankę, która się oparłszy plecami o ścianę, by snać nie upaść z bolu, i załamawszy ręce zwieszone, z liczkiem wybladłém, z włosami rozwianemi bezładnie, z usteczkami posiniałemi, oczy łzami zalane, z takim wzewnym, z takim boleściwym zwróciła nań wyzutem, że w jednéj chwili dusza się w nim rozpadła... porwał się za głowę z krzykiem okropnym, dzikim, i przez tłum weselnego orszaku rzucił się bez pamięci przed siebie.

Zgoniono go, przyprowadzono do domu, do młodéj oblubienicy; ale już wszystko jedno byłoby, gdyby zamiast niego, nieboszczyka jakiego z grobu wyjęli i za godowym posadzili stołem; bo nikt ani słowa nie posłyszał od niego, nikt w jego twarzy ani jednéj myśli, ani jednego nie zobaczył uczucia.... ot po prostu kamień, nie człowiek.

Kamień, ale kamień chodzący i nie dający na miejscu się utrzymać! Jakoż z piérwszéj lepszéj chwili skorzystał, aby się wymknąć z chaty, i znów się powlókł, sam nie wiedząc dokąd i po co. Znowu za nim pobiegli, znowu przyprowadzili. Matka gorzko zawodząc, rzuciła mu się na szyję; ojciec z zaciśniętemi pięściami i z groźném słowem przypadł do niego; panna młoda z rozpaczą ślubny swój wianek i włosy rwała: wszystko daremnie! Kifor ani się poruszył, jakby ni oczu, ni uszu, ani żadnego czucia nie miał.... Został w chacie tylko dopóty, póki go matka w objęciach swych trzymała; ale zaledwie uwolniła go biédna, zaledwie drzwi otwarto, poszedł, i nieścigany już więcéj, pięćdziesiąt lat tak przechodził z o bumarłą duszą trup żywy.

Z razu wiele o nim dziwnych baśni prawiono, powiadając, że go tak owa biédna sierota, mszcząc się krzywdy, oczarowała, że go zaklęła, aby tak jéj wiek cały po świecie szukał, przepadłszy sama bez wieści; lecz powoli, powoli zaprzestano zajmować się biédnym szaleń-

cem, i zapomniano wreszcie smutnéj jego przygody. Aż dopiéro w dzień śmierci Bóg mu wrócił i przytomność i pamięć. Odprawiwszy spowiedź w skrusze serdecznéj, najpierwiéj się spytał pobereżnika o swoją biedną sierotkę, która przed laty w téj właśnie chacie służyła; lecz ani gospodarz, ani ktobądź z jego rodziny nie mógł nic mu o niéj powiedzieć. Zapytał więc z kolei o swych rodziców, o swoją żonę i sąsiadów, Rodzice i żona dawno pomarli; toż i wielu sąsiadów, a o innych Karp nic nie słyszał.

Wysłuchawszy z wielką rzewnością całéj relacji, starzec westchnął głęboko, zachwiał smutnie głową, i ocierając ręką wychudłą ostatnie swe łzy po zmarszczonéj toczące się twarzy :— Ha, rzekł głosem gasnącym,— t a m się ze zmarłymi obaczę, t a m o żywych się dowiém!.... a wy bądźcie mi zdrowi i módlcie się za grzeszną duszę!— I upadł na ławkę i głośno modlić się zaczął; i modlił się, modlił, dopóki mógł stygnącemi usty poruszać; a wreszcie umilkł, westchnął raz jeszcze, raz jeszcze imię Marji Panny wyszeptał, i zasnął snem wiecznym, a twarz jego znękaną rozpromienił uśmiech radośny, który przez pół wieku na niéj nie postał.

## PRZEJŚCIE PAŃSKIE.

Czasy dawnemi,
Na polskiéj ziemi
Bóg z swoją łaską panował;
Żył w niéj widomie,
I dom przy domie
Lud Mu pobożny budował.

Włoście i złoto
Jemu z ochotą
Bogacze święcili w darze;
I prostaczkowie
Grosze swe wdowie
Nieśli na Jego ołtarze.

Bo król i pany,
I wszystkie stany,

Wierne Mu w świętém poddaństwie,
Wszystko składały
Dla Jego chwały,
Aby podobał w swém państwie.

I spodobana
U niebios Pana
Była ta ziemska dziedzina;
I była bożą,
I wieczną stróżą
Stała w niéj wierna drużyna.

Wierna i stała,
Wiarą się zwała,
Za wiarę biegła na boje;
A Bóg łaskawie,
W swéj świętéj sprawie,
Hetmanił żołnierstwo swoje.

I nieraz wrogi
Pierzchały z trwogi,
Przed małą garstką tysiące,
Święte anioły
Widząc wespoły
Z polskiém rycerstwem walczące.

Więc Bogu hojna,
Za Boga zbrojna,

Gdy Bóg ją wzajem zaszczyca,
Świetna, bogata,
Sławna u świata,
Była Lechitów ziemica.

Sam opatrzony,
Z świętéj skarbony
Bóg czerpał dary wciąż nowe;
W każdéj potrzebie;
Walcząc za siebie,
Zwycięztwa dawał gotowe.

Ale powoli,
W téj złotéj doli,
Naród wpadł w żądze szalone,
Cnotę porzucił,
Z Bogiem się skłócił,
I Bóg—Król złożył koronę!

Bez Bożéj części
Zbiór się nie szczęści,
Śród zbytków nędza i biada;
Bez Bożéj sprawy
Boje bez sławy,
Męztwo bez plonu przepada!...

I przyszła pora!..
Skrucha, pokora

Znów naród ku Bogu wiodły;
Lecz w złéj godzinie
Nieraz świątyni
Brakło nieszczęsnym na modły!

Bo domy Boże,
Gdy na bezdroże
Lud nieobaczny się rzucił,
To z jego winy
Padły w ruiny,
Lub je sam Pan Bóg wywrócił;

Lub u podwoi
W ognistéj zbroi
Z mieczem Aniołom stać kazał,
By nie wniósł nogi
Człek za te progi,
Które niewiarą swą zmazał.

Więc we łzach, skrusze,
Wybrane dusze,
Biegą w kapliczki smętarne,
Śród lichéj szopy,
Bogu pod stopy
Ścielą swe serca ofiarne.

I dary znoszą,
I łaski proszą,

Już nie bogactwa, nie sławy,—
Świętéj ochrony,
Gdzieby skruszony
Grzesznik wypłakał żal krwawy.

---

W lichéj mieścinie,
Kędy świątynie
Bóg zamknął w karze swéj srogiéj,
Przez długie lata
Święta Obiata
Brzmiała w lepiance ubogiéj.

Gdzie lud zebrany,
Gdy ciasne ściany
Tłumu ogarnąć nie mogą,
Pośród smętarzy
Bogu się skarży,
Jak istny żebrak nad drogą.

A pasterz prawy
Dla świętéj sprawy,
Nie szczędząc zacnego trudu,
W ducha pokorze,
Na Imię Boże
Żebrał pomocy śród ludu.

Aż po szelągu,
W długim lat ciągu,

Do szczupłéj kościelnéj skrzyni
Zebrał niemało,
Bo jużby stało
Na fundamenta świątyni.

Więcéj nie trzeba:
Resztę Bóg z Nieba
Sam zrzuci w cudownym darze;
Na mur gromami
Głazów nałamie,
Aniołom murować każe!

Dobra nowina
Krążyć zaczyna
I serca wiernych weseli,
Że lada dzionek
Radośny dzwonek
Dźwięknie na nowym kościele.

I już pośpiesza
Pobożna rzesza,
Z nową serdeczną posługą:
Z groszem, lub z pracą,
Kogo stać na co,
Byleby czekać niedługo.

Dobra otucha!
Bożego ducha

Widać wyraźnie w tém tchnienie;
W potrzebie siła
Jego wzbudziła
Wierne swe sługi z kamieni.

Byle do dzieła
Rzesza się wzięła,
Z niczego cudem gmach stworzy!..
Lecz nowe troski:
Na ziemi Boskiéj
Brak miejsca pod domek Boży!

Jest-ci jedyny
Plac śród mieściny,
Jak raz pod święte ołtarze;
Ale bezbożny
Pan jakiś możny
Wielki zań okup dać każe.

Wszystkie zapasy
Kościelnéj kassy,
Lat wielu mozoł kwestarczy,
Cała skarbona,
Bogu święcona,
Żądaniom jego nie starczy.

Kapłan stroskany,
Łzami zalany,

Z prośbą mu stoi u proga;
Ludu gromada
Do nóg mu pada,
Żebrząc o miejsce dla Boga.

Darmo! bez grosza
Hardy Panosza
I Bogu nieda swéj roli.
Nie! bo sam wreście
Mieszkać chce w mieście,
Plac zająć pod pałac woli.

Więc radzą biedni:
Jest plac sąsiedni
Szczupły na Boże mieszkanie,
Lecz to mieszczańska
Własność, nie pańska,
Darmo się Bogu dostanie.

A ze swéj strony
Pan uproszony
Może kęs ziemi przyczyni,
By się dla Boga
Znalazła droga
Dokoła Jego świątyni.

Marna otucha!
Pan prośb nie słucha,

I piędzi ziemi swéj skąpi;
Plac i tak mały
Pod gmach wspaniały;
Niech mu Bóg z drogi ustąpi!

Takież przykłady
Zacne pradziady,
W świętéj puściźnie mu dały,
Co całe włości
W ducha radości
Święciły dla Bożéj chwały?..

Więc jako może
Mieszkańko Boże
Na szczupłym placu się ściska;
Z niém mur przy murze.
W pysznéj strukturze,
Wznoszą się wieże zamczyska;

Wspaniałe gmachy
Nad święte dachy
Dumnię strzelają w obłoki....
Wobec téj pychy
Kościołek lichy!
Lecz Pan weń wstąpił wysoki!

I lud się cieszy
I tłumnie śpieszy

Na poświęcenie kościoła;
A w téjże porze
W magnackim dworze
Grzmi świetna uczta wesoła.

I śród biesiady
Boże sąsiady
Tak się ochocą bez miary;
Że w modłów ciszy,
Lud wierny słyszy
Muzykę i pjane gwary...

Zagrzmiały dzwony,
Bóg wywyższony
W monstrancji, do ludu schodzi;
Szumią sztandary.
Zastępów wiary,
I w tryumfalnym pochodzie,

Śród hymnów chwały,
Z Bogiem lud cały,
Okrąża mury kościoła....
Lecz przy pałacu
Bogu brak placu,—
Z ludem swym przejść tam nie zdoła!...

Ciasna drożyna
Ledwie odcina

Od murów zamku dom Boży;
Rzesza wstrzymana
Zgina kolana
I ze czcią Bogu się korzy,

Co w Hostji świętéj
W niebo dźwignięty
Jak w słońcu w monstrancji świeci,
I cuda swoje,
I łaski zdroje,
Zlewa na głowę swych dzieci....

I dziwna skrucha
Do głębi ducha
Przenika wiernych drużynę,
Skrucha i trwoga,
Jakby głos Boga
Miał zagrzmieć w oną godzinę...

I ukorzony,
Na twarz rzucony
Lud w łzach gorących na ziemię,
Powstać nie może,
Bo tchnienie Boże
Czuje nad głowy swojemi....

Tchnął Bóg widomie!...
W straszliwym gromie

Zadrżała ziemia w około;
Z okrzykiem trwogi
Tłum wstał na nogi
I korne schylił znów czoło . . .

Bo wielkie dziwy
Ujrzał: sędziwy
Kapłan z monstrancją stał blady,
Twarzą zwrócony
Do owéj strony,
Kędy zwalony z posady;

Jakby rozwiany,
Domek karciany
Pałac się pański położył...
Gdzie przez ruiny
Mocarz jedyny
Drogę Swéj chwale otworzył

I znów grzmią dzwony,
I hymn wzniesiony:
Bogu cześć, chwała bądź! woła,
I Pan nad Pany
Poświęca ściany
Swojego domu, dokoła.

---

I gdzież, powiecie,
Ten cud był?— W świecie.
A kiedy? może w tej chwili...
Tu gmach wspaniały,
Owdzie kraj cały
W smutne zwaliska się chyli;

Bo zgrzeszył srodze,
Stojąc na drodze,
Pyszny, przy Bożym kościele,
Bo przez ruiny
Mocarz jedyny
Prawdzie Swéj drogę Sam ściele.

# ŻRÓDŁA CUDOWNE.

**Podanie gminne.**

---

W bezwodnym kraju, u wielkiéj drogi,
Jeden zdrój tylko żywy, głęboki,
Niewyczerpany, tryskał z opoki;
Przy nim, by uczcić dar niebios błogi,
Ktoś Bożą Mękę Bogu poświęcił,
I do podzięki braci zachęcił;
A pod nią, pewny Bożéj opieki,
Znalazł przytułek dziaduś kaleki.
Wlokły się wozy, szli wędrownicy,
A każdy zdążał, co starczą siły,
Na odpoczynek, na nocleg miły,
Pod Bożą Mękę, do téj krynicy.
A gdy z niéj wszyscy ochłodę biorą
I nadal czerpią zapas podróżny;
Wdzięczny hołd Bogu niosą z pokorą,

Dziadkowi hojne sypią jałmużny,
Niewierny nawet, gdy w letniéj spiece
U tego zdroju siły odświeża,
Chociaż Pańskiego nie uczci krzyża,
Odda cześć Panu w biédnym kalece,
I drobny ptaszek, co kroplę marną
Spragnionym dziobkiem schwyci w przelocie,
To bodaj w słodkim, rzeźwym szczebiocie,
Złoży i Bogu dziękę ofiarną,
I staruszkowi, w chwilce wesela,
Jałmużny miłéj sercu udziela.

I zasłynęło źródło przydrożne,
I szły doń zewsząd tłumy pobożne,
Bo się rozeszła śród ludu sława,
Że chorym leki cudowne dawa.

Cudowne!... w wieku zimnéj niewiary,
Wszechmocy Bożéj przeczą mędrkowie,
I codzień, biorąc cudowne dary,
I cudem dzierżąc życie i zdrowie,
W cud zanurzeni wszystkiemi zmysły
I całą duszą,
Uznać go nie chcą i głowę suszą,
Twór Boży ciągnąc pod rozbiór ścisły:
Śledząc rozumem w zuchwałéj bucie,

Skąd się gorąca krew w człeku wzięła?
Skąd kość i ciało? skąd myśl, uczucie?
I z cudownego wszechmocy dzieła,
Jakby z pigułki jakiéj aptecznéj;
Rozkład zrobiwszy, pysznią się chwałą,
Że doszli prawdy, prawdy przedwiecznéj,
Że zlepkiem ziemi jest ludzkie ciało!
A że w ten zlepek, i te i owe
Wchodzą zaprawy, że, w danéj mierze,
Z jadła, z napoju, materjał bierze,
Aby utrzymać swoję budowę;
To i cóż po tém? cud zawsze cudem;
Dociekłszy przyczyn z mozolnym trudem,
Znając twórczości Pańskiéj cud wielki,
Jednéj kosteczki, ni krwi kropelki,
Ani jednego nie stworzą włoska;
Bo sam cud cudów trzyma dłoń Boska.
Wiedzą mędrkowie, czém jakie ziele,
Czém jaki pyłek, czém jaka woda,
Na ludzkę niemoc ratunek poda;
I gdy prostaczek na twarz się ściele,
Wielbiąc moc Bożę:— ciemnota! krzyczą,
I z krédką w ręku, moc tajemniczą,
Wagę i miarkę, wyłożą wiernie.
Widzę i wierzę, lecz z tłumem czerni
Na twarz upadam, wielbiąc cud Boży;

Bo mi rachuba ich nie wyłoży
I nie rozjaśni pierwszéj przyczyny:
Czemu w tém skutek taki, nie inny?
I kubek wody wziąwszy z krynice,
Gdy w niéj pragnienia ugaszę żary,
Gdy nią ożeźwię spalone lice,
Cudowne uznam w niéj Boże dary.

A więc zasłynął ów zdrój przydrożny,
Bo cud w nim widział ludek pobożny,
Bo śród bezwodnéj wkoło krainy
On był jedyny.

Mijały lata, mijały wieki,
A nieustanne brzmiały tam dzięki,
Za orzeźwienie, cudowne leki,
Za każdą kroplę z pod Bożéj Męki.
Jeden raz tylko jakiś podróżny,
Wiodąc ładowne wozy tym szlakiem,
Choć sam pragnienie w zdroju ukoił,
Choć w nim znużone konie napoił,
Ani dziadkowi nie dał jałmużny,
Ani zgiął głowy przed świętym znakiem.
Długo się tylko rozglądał wkoło,
I niby znachar szukał ciekawie,
Snać jakiejś wróżby, na piasku, trawie,
I to rozjaśniał, to chmurzył czoło;

Zliczył u źródła leżące głazy,
I jakiś projekt skleciwszy w głowie,
Radośnie w palce klasnął trzy razy.
Spytał u ludzi, kto pan téj ziemi?
I ruszył daléj z wozy swojemi.

Wrócił nanowo niedługo potém,
I wielką z sobą zgrajęę sprowadził,
I tuż przy źródle stanął z namiotem,
I plac wiechami w koło obsadził.
I wnet się rozległ hałas, gwar dziki,
I pośród pola, i śród dąbrowy.
W młoty, siekiery, grzmią robotniki
Cały dzień boży,— snać do budowy
Jakiejś gromadzą materjał wielki,
Biją kamienie, ciosają belki.
A tłum wędrowców pyta ciekawie:
Co też zamyśla ów człek? co czyni?....
Może chce dźwignąć mury świątyni?
To niechże Pan Bóg mu błogosławi!
Niech mu swéj łaski zdroje otworzy
Za to uczczenie świętéj krynicy!
Toż się tu Boża chwała rozmnoży!
Toż się tu zbiorą tłumnie pątnicy!

A ów się tylko uśmiécha zdradnie,
I skrytéj myśli nikt w nim nie zgadnie.

Tymczasem w swojéj cygańskiéj szatrze
Zwolna gromadzi różne zapasy:
Wozi z miasteczka rybkę, kiełbasy,
Piwo, gorzałkę; tabaki natrze,
Cygar nakręci... i tak nieznacznie
K'sobie podróżnych przynęcać zacznie;
Choć się mu dobrze nakłaniać trzeba
Nim z wielkiéj łaski, za grosz twój krwawy,
Udzielić raczy wódki lub chleba,
Bo on nie karczmarz, a pan łaskawy!
Wielka mi łaska! ale śród drogi
I to już dobrze, gdy kupić można,
Więc zasłynęła szatra przydrożna,
I codzień wzrastał tłum przy niéj mnogi;
Bo i zdrojowa nęciła woda,
I w tym namiocie miła wygoda.

Tak przeminęło półrocza blizko,
I wyszły na jaw tajemne sprawy:
Stanął nie kościół, tylko karczmisko,
I zasiadł w szynku ów pan łaskawy.
Kto on był taki? Kto go tam zbada?
Frycem się wołał;— sztuczka nielada,
Żył, jak to mówią, z krédką i z główką;
A karczmę odeń zwano Frycówką.
I dobrze zwano, bo kto w niéj stanie,

Musi frycówkę płacić Frycowi;
Wprawdzie za rękę nikt go nie złowi,
Lecz tak się zdurzy w jakimś tumanie,
Że choć wciąż woła: „zdzierca ostatni!“
Przecież samochcąc lezie do matni!—

Bo też doprawdy dziwne tam dziwy!
I od czumaków w smolnéj koszuli,
Do samych książąt, a nawet króli,
Znajdzie w Frycówce każdy człek żywy,
Co się zamarzy, co mu się przyśni,
Czego nie widział nawet z daleka!
I w bajkach braknie ptaszego mléka!
A we Frycówce, to tylko świśnij,
A Fryc i ptasze mléko ci poda!
Taka to była pyszna gospoda!
A że szlak wielki, a śród pustyni,
To się w karczmisko ciągle tłum zbiera,
A Fryc frycuje, tumani, zdziera,
I piękne grosze garnie do skrzyni.

Ale niesyty, wciąż łamał głowę,
By sobie zyski obmyśleć nowe.
Myślił i myślił, i klasnął w ręce!
Źródło, co tryska przy Bożéj Męce,
Stoi otworem dla całéj rzeszy!
Nie jeden tylko doń tu się śpieszy,

Niucha tabaki w karczmie nie kupi,
A wodę darmo czerpie do syta!
Dosyć już tego! o, Fryc nie głupi!
Studnię zmuruje, zamknie, i kwita!
A kto zapragnie, za szeląg kwarta;
Wcale nie drogo; woda tak czysta,
Chłôdna, śród stepu, to-j więcéj warta....
Ludzi nie skrzywdzi, a sam skorzysta.

Mądrze uradził, i téjże chwili
W mur kazał objąć zródło cudowne,
By je za kraty zamknąć warowne.
Przyszli mularze, dziadka spędzili,
Co się tam żywił chlebem żebraczym.
Darmo się prosił u Fryca z płaczem,
Fryc ani słuchał; co mu do tego,
Że zdrój cudowny temu kalece
Był życia zdrojem; że tam biednego
Chrystus w litośnéj trzymał opiece?..
Chrystus?... i Chrystus ze swoją męką
Za blizko źródła; istna zawada;
Przenieść go w inne miejsce wypada...
Lecz któż bezbożną targnie się ręką,
Na świętokradztwo któż się odważy?..
Darmo Fryc skacze koło mularzy,
Darmo nie szczędzi groźby, zachęty;

Nikt nie śmie zruszyć z miejsca krzyż święty.
Pełen więc złości karczmarz niecnota
Krzyknie zajadle: „siekiery! młota!“
Skoczy do krzyża i nuż rwać ziemię,
Kruszyć podstawę świętych podnoży...
Nagle, jak gdyby zagrzmiał grom Boży,
Runęło z trzaskiem najświętsze brzemię,
I w drobne szczęty prysło o skały;
A razem z krzyżem Fryc się potoczył,
I jęknął wściekle, i krwią się zbroczył,
I jak bez duszy leżał omdlały.
Zbiegli się ludzie, podnieśli Fryca,
Zdrojową wodą zleli mu lica;
Spójrzą— krwi strugę sączy mu oko,
Gdzie złomek drewna utkwił głęboko.

Dobrze tak, dobrze! tak ci, ladaco,
Za świętokradztwo Niebiosa płacą!
Ale w téj karze łaska ci dana;
Obacz się! przetrzyj duszy powieki,
Pókiś nie olsnął jeszcze na wieki;
W skrusze przed Bogiem zegnij kolana,
I za przestrogę złóż korną dziękę!
Dźwignij przy zdroju znów Bożą Mękę,
I w sercu Bogu poświęć przybytek!

Gdzie tam! Frycowi bogiem pożytek;
Zysk mu jedyném zbawieniem duszy;
Win swych nie czuje, ani się kruszy;
I ledwie plaster włożył na oko;
Wrócił do dzieła: źródło cudowne
Murem opasał jakby opoką,
I po za kraty zamknął warowne:
I dar niebieski, dar Boży święty,
Którego mocen użyć twór wszelki,
Trzymał niecnota, na klucz zamknięty,
I bez zapłaty nie dał kropelki!

I złorzeczenie szło z każdéj strony
Na świętokradzcę, co z swéj zagrody
Boga wyrzucił, co kubka wody
Nieda, bodaj człek konał spragniony!
Ale kto musi; ten wiele czyni!
Zdrój był jedyny pośród pustyni,
Chcący niechcący szli wędrownicy
Do téj gospody, dla téj krynicy;
I grosz ostatni, ratując duszę,
Znękaną znojem w letniéj posusze,
Oddał nie jeden, i sklął karczmarza;
Ale na klątwy Fryc nie uważa,
Szynkuje wodę, po garncu, wiedrze,
A tém szczęśliwszy, im więcéj zedrze.

Raz w skwarne lato, w samo południe,
Żebrak, staruszek, przyszedł pod studnię.
Oblany znojem, z spiekłemi usty,
Wznosząc blagalnie dzbanuszek pusty,
W imię Chrystusa prosił jałmużny, —
Nic kęsa chleba, ani odzieży,
Ani też grosza, lecz wody świeżéj,
Wody ze zdroju! ;„Bóg będzie dłużny;
Bóg ci za każdą kroplę odpłaci ;
Na dom twój zleje skarbów potoki!“
Modlił się starzec. Fryc jednooki
Fuknął nań z gniewem: „idźże do licha!
A pragniesz wody, zapłać co trzeba;
U Pana Boga zapłata licha,
Nic mi, jak żyję, nie spadło z Nieba;
Wszystkom własnemi zdobył rękami,
Bo i mam rozum, i sił nie szczędzę;
A dając darmo chléb mój włóczędze,
Rychło w świat pójdę i sam z torbami.“—
„Chleba nie łaknę—rzekł dziad z pokorą—
Daj wody, któréj nic nie ubędzie,
Którą źwierzęta i ludzie biorą
Darmo od Boga, zawsze i wszędzie.“
„Jam nie wziął darmo—Fryc znów się sroży—
To mój nabytek, a nie dar Boży,
Bo za to źródło i za tę rolę,

Grosz mój zdobyty w krwawym mozole,
Z pod serca dałem panu téj ziemi.“ —
A żebrak, głową zachwiawszy, rzecze:
„A Panu Nieba cóżeś dał, człecze?“
„Pójdźże do licha z morały twemi!—
Zakrzyczy karczmarz — mnie czasu szkoda
Na takie brednie, i czas, jak woda,
U mnie się płaci, to grosz gotowy;
Więc czy napoju chcesz, czy rozmowy,
Zapłać—dam wody, zapłać—pogadam;
Darmo — nic zgoła! do nóg upadam.“

Dziad się pokłonił, pochwalił Boga,
Łzy otarł z oczu, westchnął głęboko
I poszedł. Ledwie nogi się wloką
Gdzieś go zabije letnia pożoga!
Pószedł... Bóg pewno anielskie chóry
W pomoc mu zesłał: śnieżnemi pióry
Chłodzą snać skronie spalone dziada,
Wiodą pod ręce; bo nie upada,
I daléj, daléj, z modlitwą kroczy.
Przeszedł z pół mili. Tam na uboczy
Popod dąbrową, niziuchna, mała,
Zaklęsła w ziemię, lepianka stała;
W niéj czynszownicy żyli biedacy,
W nędzy, w modlitwie i w ciężkiéj pracy.

Dziad stanął w progu owéj zagrody,
Kiedy gospodarz, rzuciwszy niwę
Po znojnym trudzie, już usta chciwe,
Spragnione, przytknął do czary wody,
Już miał wychylić... a w całym domie,
Gdyby go wkoło objęło płomie,
I gdyby kropli dość w tym pożarze,
Kropli nie było nad to co w czarze...
„Wody!— dziad jęknął — konam w pragnieniu!“
Wyciągnął ręce, i w oka mgnieniu
Rolnik oderwał usta od czary,
I żebrakowi dał ją z pośpiechem,
Duszkiem wychylił do kropli stary,
I zwrócił kubek z wdzięcznym uśmiechem,
I łza mu rzewna trysła z powieki:
„O niechże ci Bóg z Niebios zapłaci,
Niech błogosławi w potomne wieki,
Niech wszelkie dobro rozmnoży w chacie!
Niech w każdéj trosce, w każdéj przygodzie,
Znój twojéj duszy tak ci ochłodzi,
Tak cię orzeźwi, tak cię zasili,
Jak ty biednego starca w téj chwili.“
Ale gospodarz dzięków nie słucha,
I pachołkowi szepce do ucha:
„Weź konia z beczką, skocz do Frycówki,
A choć w kalecie nie ma gotówki,

Zawieź Frycowi ostatnie jagnie,
Zamień za wodę... Dziad jeszcze pragnie;
Skąpaćby także warto biedaka,
I dać na drogę wody do hlaka."
Pobiegł pachołek i wrócił chyżo;
Dziad się uraczył znów wodą świeżą,
I obmył skronie, i wziął do dzbana,
I błogosławił znów gospodarza,
I rozrzewniony ściskał kolana,
Że go tak szczerém sercem obdarza.
I poszedł daléj. Nazajutrz, dziwy!
Patrzy nasz rolnik, aż śród podwórza,
Gdzie twarz swą zmywał ów dziaduś siwy,
Jakby w sadzawce ptastwo się nurza,
Z wesołą wrzawą trzepocąc w skrzydła...
Zdumiały, pójdzie, popatrzy z blizka...
Aż się przeżegnał! tam zdrój wytryska!
Chybaż go senne łudzą mamidła?...
Zanurzył ręce — zdrój zimny, świeży!
Więc w krzyk radośny! więc na kolana!
Więc kto żyw tylko z chatki wybieży; —
— Zdrój! zdrój! — wołają — o chwalmyż Pana,
Cud się tu Jego wyraźnie święci!"—
I czcią głęboką, dziwem przejęci,
Modlitwą, łzami, zdrój błogosławią,
I wdzięczni Bogu, krzyż przy nim stawią,

By kto w nim zgasi pragnienia żary,
U krzyża uczcił cudowne dary.
A we Frycówce lament, płacz wielki,
Fryc się rozbija jak oszalały;
Bo i tam dziwne cuda się stały —
Zdrój nagle wysechł co do kropelki!
A cóż bez źródła jego karczmisko?
Stać chyba będzie na pośmiewisko!
A tu już niosą wieść wędrownicy
O téj cudownéj, nowéj krynicy,
Do któréj każdy, konny czy pieszy,
Mimo Frycówki na popas śpieszy.
Fryc zrozpaczony na rozum bierze,
Z sąsiadem pragnie zawrzeć przymierze:
Grosz mu zapłaci za beczkę wody,
Wozić ją myśli do swéj gospody.
Sąsiad bożego daru nie broni,
Nie chce i grosza jednego płacy.
Więc Fryc nakupił beczek i koni
I szle do zdroju. Żal próżnéj pracy!
Woził dzień cały, woził i drugi,
Pomęczył konie, pomęczył sługi,
Lecz ani kropli nie ujrzał doma.
Moc jakaś dziwna, a niewidoma,—
Ot jedném słowem gniew Boży srogi,—
Nim beczki dójdą połowy drogi,

Wszystkie wysuszy! A Fryc przechera,
Widząc jak karczma pustuje marnie,
Jak do sąsiada wszystko się garnie,
Jak się tam jego szczęście przebiera,—
W wściekłéj zawiści, złości, rozpaczy,
Rzucił się w gardziel krynicy suchy.
Czy tam wleciawszy upadł na puchy,
Czy może w smołę? i któż to zgadnie?
Nikt tam prócz Fryca nie bywał na dnie,
A Fryc dotychczas wracać nie raczy!

Dawno to było, a wieść nie ginie,
Krąży po dziś dzień w całéj krainie,
A prostaczkowie mówią w dodatku
Z głęboką wiarą, że w owym dziadku,
Co żebrał wody, srodze spragniony,
Sam to Pan Jezus był utajony.....

Cześć prostéj wierze! O bracia moi!
Toćże nas uczył Zbawiciel świata,
Że on to u drzwi naszych sam stoi,
On sam żebraczą ręką kołata.
Więc baczmy pilnie po swéj gospodzie!
Każdy z nas dzierży cudowne zdroje,
W ziemi czy w duchu, czy wraz oboje,
A k'nim spragniony Chrystus przychodzi.

Znaczmyż je świętém znamieniem wiary,
Znajmy w nich Boże cudowne dary,
Nie zamykajmy ręki ni duszy,
Bo Bóg swéj łaski zdroje wysuszy!

---

## POTĘGA MODLITWY I JAŁMUŻNY.

Modlitwa, jałmużna, dwie mocy na ziemi
Przez które człek mocom niebieskim gwałt czyni,
Przez których zaklęcie, w téj płaczu dolinie,
Sam włada cudownie Anioły Bożemi,

I szle ich z pociechą za więzień zapory,
Z niezłomną zbroicą gdzie krwawe wrą boje,
Z pokarmem gdzie głodny, z balsamem gdzie chory,
I z siłą, z wytrwaniem, gdzie trudy i znoje;

Z natchnieniem na wieszcze, z mądrością na sędzie,
Z opieką dla biednéj sieroty i wdowy,
Z otuchą, ochłodą, gdzie ogień czyscowy,
Ze wsparciem niebieskiém każdemu i wszędzie.

Przykładów cudownych jest w księgach bez liku,
Co z modłów, z jałmużny, ma dusza i ciało?...
Opowiem wam jeden o biednym górniku:
We Francji to było, a tak się to stało.

W kopalniach głębokich pracując z innemi,
Gdy głazy kruszcowe rwie młotem ze stali,
Urwisko ogromne z łoskotem się wali,
I grzebie go żywcem śród mrocznych podziemi.

W popłochu i zgrozie tłum pierzchnął strwożony,
I biegli druhowie ze smutną nowiną
Do krewnych górnika, szli z płaczem do żony,
Co wdową została z sierotą dzieciną.

Płakała nieboga, płakała dni wiele,
A wierna za grobem mężowskiéj pamięci,
By duszę mu wspomódz co tydzień w kościele,
Modlitwę, jałmużnę, zbawieniu jéj święci.

Co tydzień w najświętszéj za zmarłe ofierze
Przed Marji ołtarzem gromnica jéj płonie,
Co tydzień ubóstwo chleb z ręki jéj bierze,
I Bogu ją zleca w dziękczynnym pokłonie.

Rok minął, a wiernie szły modły i dary.
Raz tylko, gdy trudy znękały ją mnogie,
Śród troski zabyła najświętszéj ofiary,
I z chlebem nie wyszła obdzielać ubogie.

Rok minął. Górnicy przy pracy jak wprzody:
Wstrząsają podziemia toporów ich razy,

I walą się skały, skruszone na głazy,
I coraz to nowe powstają przechody.

Aż nagle głaz jeden zajęczy pod ciosem,
Jak gdyby pierś ludzka ozwała się żywa,
I niby się modli żałośnym wciąż głosem,
I niby zaklina, ratunku przyzywa.

I puszczą z rąk młoty zdumione górniki,
I wzrokiem trwożliwym powodzą dokoła ;
A z głazu wciąż idą i jęki i krzyki,
I coraz wyraźniéj głos ludzki zeń woła.

Więc jeden i drugi do skały się schyli
I ucho badawcze troskliwie przyłoży...
I na twarz tłum cały upadnie po chwili,
Bo wielki się iści przed nimi cud Boży!

Bo jęk ów pod głazem, to brata ich mowa,
Co przepadł przed rokiem w zwaliskach téj skały;
A dzisiaj, dość złomek obalić ten mały,
By łup swój zwróciła ciemnica grobowa!

Do dzieła co prędzéj!... głaz runął... o dziwy!
Z podziemnéj jaskini towarzysz ich miły
Z radośnym okrzykiem wypada k'nim żywy,
A pełen rzeźwości, i zdrowia, i siły!

Więc biegli do wioski, do dziecka, do żony,
I tłumy się zeszły do chaty górnika:
— Zmartwychwstał! — wołają, — wskrzeszony! wskrze-
(szony!
I podziw i trwoga im duszę przenika.

I oczom nie wierzą, i każdy go pyta,
Jak wytrwał rok cały w grobowym tym sklepie,
Gdzie jasność słoneczna źrzenicom zakryta,
A jadło ni napój żywota nie krzepi?

— O bracia!— odrzecze im górnik— Cud Boga
I chlebem mię karmił, i światłem weselił.
Gdy głaz mię zwalony ze światem rozdzielił,
Gdy w oczach stanęła wybladła śmierć śroga;

Gdy piersiom, zbolałym wołaniem daremném,
Oddechu już zbrakło; gdy w grobie swym ciemnym,
Szalony, chcąc skały rozwalić, pięść krwawię;
Gdy wreszcie upadam bez duszy już prawie,

I myślą ostatnią przed Bogiem się korzę;
Blask dziwny, a miły, a wdzięczny jak zorze,
Napełni mi nagle grobową jaskinię,
I w postać anielską, promienną wnet spłynie.

A ledwiem nań podniósł zdumione źrenice,
Już zniknął cudowny zesłaniec ów z Nieba,
Ujrzałem już tylko płonącą gromnicę
W otchłani méj głuchéj, i przy niéj kęs chleba.

I wielbiąc cud boży modlitwą gorącą,
Chleb jadłem cudowny po drobnéj okrusze,
By dłużéj nieszczęsną utrzymać nim duszę,
I w trwodze patrzyłem na świecę niknącą....

I minął tak tydzień, jak mniemam... o Chryste!
Włożyłem już w usta ostatnią kruszynę,
Na knocie tlą jeno iskierki już mgliste,
Już gasną... i w mroku i w głodzie już zginę!..

Lecz znowu w mą straszną, grobową ciemnicę
Zawitał promienny zesłaniec ów z Nieba,
I znowu mi przyniósł, jak wprzódy kęs chleba,
I znowu mi przyniósł płonącą gromnicę!

Rok cały tak trwałem. Raz tylko w tym roku,
Gość drogi mię rzucił bez chleba śród mroku,
I tydzień przeminął, nim w otchłań grobową
Z pokarmem i światłem otuchę wniósł nową!"

Tak skończył, a rzeszę zdumienie i trwoga,
Jak kłosy na niwie po ziemi wiatr ściele;

Bo wszyscy to wiedzą, jak wdowa nieboga
Co tydzień z modlitwą stawała w kościele,

I świece Maryi przynosząc jarzące,
Pomiędzy ubóstwo dzieliła swe dary,
Jak tylko raz jeden i świętéj ofiary
Zabyła, i chlebem obdarzyć łaknące.

Więc jéj to gromnice, przyjmując Bóg mile,
Mężowi słał w otchłań przez swoje Cheruby,
Jéj chlebem cudownie go żywił w mogile,
Ofiarę wydźwignął z ostatniéj zaguby....

Bo szczera modlitwa z jałmużną wespoły,
Złożona za bliźnich przed Bogiem w ofierze,
Dosięgnie ich cudem, gdyż Bóg je odbierze,
I poszle im w pomoc przez swoje Anioły.

I znajdzie tych, za kim ofiara się czyni,
Choć nawet i ślad ich nam zniknie na ziemi,
I może umarłych nam wróci żywemi,
Jak tego górnika z podziemnéj jaskini.

O módlmy się, krzepmy zasiłkiem wzajemnym,
Wszak wielu grzech żywcem w przepaści tak grzebie;
Modlitwę, ofiarę, policzy Bóg w Niebie,
I pokarm łaknącym i światło da ciemnym.

---

# OFIARA ZŁOTNIKA

LEGENDA,

OFIAROWANA DO WIEŃCA

St. Jachowiczowi.

---

Żył gdzieś pobożny młodzieniec przed laty,
Co służąc ludziom rzemiosłem złotniczem,
W mienie ubogi, był wielce bogaty
Czystością serca przed Pańskiem obliczem.

Dni całe w znoju u swego warstata,
Z piosenką świętą, z jasną myślą w Niebie,
Co jeno zdobył, w bliźnim znając brata,
Wszystko z nim dzielił w dotkliwéj potrzebie.

Nie skąpił grosza i nie skąpił siły,
Ni dobréj rady, ni z serca otuchy,
A w biedzie, w trudzie, chleb swój jedząc suchy,
I Panu Bogu i ludziom był miły.

Raz wojewoda jeden bogobojny
Ołtarzom Pańskim na serdeczne wota
Zlecił mu ukuć krzyż wielki ze złota
W przecudne perły i klejnoty strojny —

Z modlitwą młodzian do dzieła się bierze,
Bo dziwna rzewność duszę mu przenika,
Bo rad téj pięknéj, wspaniałéj ofierze,
I błogosławi, kocha ofiarnika.

I szczerą pracą, i piękną robotą,
Radby i dawcę uczcić i cel święty;
I biorąc w ręce ciężką bryłę złotą,
Rzecze w swéj duszy żałością przejęty:

„O Chryste Panie! na Twoje ołtarze,
Dar taki świetny, taki cenny idzie!
I ja cię wielbię!... ale w mojéj biedzie
Czémże, prócz serca, hołd ci mój okażę?...

Wszystko, co dała długoletnia praca,
Ledwieby stało na krzyżyk drewniany...
Lecz i tém uczczę najświętsze Twe rany!
Od Ciebie wziąłem, niech do Ciebie wraca!

Do tego krzyża cały skarb swój włożę,
Zniknie bez śladu to w jego budowie;

Lecz dar ten lichy, Ty ujrzysz, o Boże!
Przyjmiesz, jak niegdyś, dwa szelążki wdowie!“

I tak uczynił, i swój zasób cały,
Złota bryłeczkę, jak grochowe ziarno,
Przydał i chęcią poświęcił ofiarną,
Ku pomnożeniu Chrystusowéj chwały.

A gdy z robotą szedł do wojewody,
Gdy ów starannie krzyż piękny przeważy,
Gniew mu zabłyśnie w źrzeńicy i twarzy
Na jawne niby szalbierstwa dowody.

Bo widząc więcéj, niźli dał, na szali,
Mniema że złoto w pokuszenie wwiodło,
I że je młodzian skaził miedzią podłą,
By w niem ubytku ludzie nie poznali.

I nuż go gromić i straszyć siepaczem,
I na swe sługi wołał, sędzia srogi,
A biedny młodzian padnie mu pod nogi,
Swéj niewinności broniąc rzewnym płaczem:

„O Panie dobry! o mój miłosierny!
Czyste tam złoto, jak czyste me chęci!
Lecz gdy pobożność twoja Bogu święci
Krzyż ten wspaniały, jam pragnął, mizerny,

By z nim i moja cząstka szła w ofierze,
Bym się zasłużył z Tobą Chrystusowi;
I krzynkę złota przydałem w téj wierze,
Iż Bóg ją przyjmie jak ów szeląg wdowi.“

„Prawdaż to synu ?“ — „Prawda, jak Bóg Bogiem.“
Więc się Pan dobry złagodzi, rozczuli,
Więc go podniesie, do serca przytuli
I ucałuje w rozrzewnieniu błogiem,

I rzecze słodko: „Toż gdy w Bożéj chwale
Pragnąłeś udział mieć ze mną tam w Niebie;
Miejże me serce i mienie w udziale,
Bądź synem moim! I wziął go do siebie. —

---

O zacny mężu! kiedy naród wszystek
Na twoje skronie, którym długie lata
Zasługi, koroną, świetny wieniec splata,
Gdy każdy śpieszy przydać doń swój listek;

Kiedy przez ciebie tak wszyscy w zawody
Niosą ofiarę czci na ołtarz cnoty,
Ty mi się widzisz nakształt wojewody,
Co ów krzyż Bogu ofiarował złoty.

Krzyżem tym, Bogu złożonym w ofierze,
Jest-to ten w i e n i e c dla Ciebie spleciony,
Miły niebiosom jak świętych korony,
Bo w Tobie cnota, w cnocie Bóg cześć bierze.

Patrzę nań w rzewnéj radości, a smętny,
Bo jego widok wabi mię i nęci,
Bo gdy tak piękna ofiara się święci
Mamże sam jeden zostać obojętny ?...

O, nie brak chęci, nie brak dobréj woli,
Lecz jam ubogi, jak złotnik w legendzie !...
Co mam, niech z wielkim darem się zespoli,
Niechaj przed Bogiem wdowim groszem będzie.

I na Twéj szali ta drobna okrucha
Niech szczerozłotém ziarenkiem zaważy ;
Niech dar serdeczny Twe serce mi zdarzy
I Ty mię nazwij swoim synem z ducha !...

# KARA BOŻA.

czyli

## GŁOWA I SERCE.

# KARA BOŻA

czyli

## GŁOWA I SERCE.

**Opowiadanie żebraka.**

---

Są ludzie, co światowe księgi rozumieją;
Widziałem ja tych ludzi własnemi oczyma;
Świecą jak zimny kamień przysypany żarstwą!
Ich księgi, mocny Boże! ach czegoż tam niema?
Cha, cha, cha! tylko prawdy ani na lekarstwo.
Nad niemi mędrcy łamią swe uczone głowy,
Nie wierząc w innych ludzi doświadczenie stare;
A chcąc wszystko wyliczyć przez rozum książkowy,
Tylko serca swe suszą, tylko tracą wiarę!
Ejże źle im bez serca! ach oschła nauka,
Sama im wykazuje swą lichotę biédną;
Czuje mędrzec ból w sercu, i w głowę swą puka.
Ej panie! głowa, serce, to nie wszystko jedno!

**Wł. Syrokomla.** (Trzy gwiazdki).

Niegdyś, za błogich studenckich latek, podczas wakacji, namówiłem kilku kolegów na artystyczno-naukową wędrówkę z Kijowa ku Czarnemu morzu. Łatwo mi to

przyszło, bo w młodości, jeśli o co trudno, to pewno nie o wykonanie awanturniczych projektów. Wprawdzie awantura awanturze nie równa, i więcéj jest takich, którym milszy zielony stolik, niż Akermańskie stepy, powabniejszy sok winogradu w butelce, niż malownicze jego festony na Krymskich wzgórzach i zwaliskach, ale i takich nie brak, którym wspomnienie Złotéj Hordy, Zaporoża, Cecory, Żwańca, Owidjusza, Puszkina i śpiewaka Sonetów Krymskich, elektryczną iskrą serce przejmuje i żądzą wielkich czynów zapala. Takich też wezwałem z sobą; i z tłómoczkami na plecach, z pielgrzymiemi kosztarami w ręku, z bujném marzeniem w głowie, ruszyliśmy w imię Boże malowniczemi brzegami Dniepru.

Było to w połowie Maja, cała więc Ukraina i Podole zdawały się jednym kwitnącym ogrodem, a raczéj owemi bajecznemi Hesperydami Greków: bo malownicze wzgórza, okryte cudnemi gajami i sadami w kwiecie, rozrzucone po żyznych łanach żyta i pszenicy, jakby zalanych bujającą modrawą falą, wyglądały jakby czarodziejskie wyspy wśród igrającego oceanu. Dodajcie jeszcze do tego urok wielkich pamiątek, które człek w tych krajach na każdym kroku spotyka, a łatwo pojmiecie, dla czego wspomnienie téj wędrówki do najmilszych w życiu zaliczam.

To lądem, to wodą, stosownie do piękności okolicy, przenosząc się to na brzeg Dniestru, to Bohu; prosząc o gościnę to u wieśniaka, to u księdza proboszcza, to u

poczciwego ziemianina; obozując to z Czumakami, to z rybakami; zbierając baśni i pieśni, i stare podania, monety, medale, kwiaty i zioła; wszędy mile witani, żywiąc się chlebem i nabiałem, krzepiąc się źródlaną wodą, piosnką i gawędą, nie czując znużenia, we trzy tygodnie ubiegliśmy ze sto mil drogi. Pęczniały tłómoczki i teki, pejzażów i rymów mnożyło się bez liku, bo mieliśmy skąd czerpać; a jeśli w utworach naszych nie dość kunsztu było, to okolica temu wcale niewinna.

Jednego wieczora stanęliśmy nad prześlicznym stawem, sformowanym przez bystrą rzeczułkę, co zrazu płynąc wązkiém korytem między dwóma rzędami skalistych pagórków, zlewała się daléj w obszerną dolinę. Téj wyniosłe brzegi brzozowy gaj zalegał, a jego ostatnie drzewa, stojąc u saméj zwierciadlanéj wody, nurzały w nią wiotkie swe konary, jak gdyby serdecznym uściskiem chcąc się połączyć z siostrzycami swemi, widnemi w błękitnéj toni. Tak drobna dziecina wyciąga rączęta do własnéj postaci w szybie zwierciadła, jak dziecię-poeta z swym się ideałem pieści.

A wieczór był godny pióra poety, dla tego też opisywać go nie myślę, bym go swoją prozą nie sprofanował.

Długośmy stali w niemém zachwyceniu, powodząc oczyma to po gwiazdzistych niebiosach, to po gwiazdzistych lazurowych toniach, słuchając wielkiéj rozmowy natury z Bogiem..... Gdyby to nie były rzeczy oklepane, to-

bym cóś wspomniał i o powiewach przesiąkłych wonią lip kwitnących i pieśnią słowika, i o rozmarzającém szemraniu fali, w któréj zachwycone ucho mogło dosłyszeć i tkliwe a rzewne miłośne szepty i pocałunki serdeczne,— wspomniałbym jeszcze o wielu innych ślicznościach, ale na nieszczęście, z łaski poetów wszystkie te cacka tak się już zużyły, że myśl w nie przybrana, wygląda jakby złodziejka, albo przynajmniéj żebraczka! wolę więc, nie poetyzując, wrócić do rzeczy.

Tak tedy po chwili niemego zachwytu, przerywanego tylko kiedy niekiedy głębokiém westchnieniem, Ignaś rzekł cichutko, jakby się bojąc głośniejszą mową naruszać uroczystą zadumę natury.

— O jakżeś piękny, biédny ty nasz zapoznany kraju! Czemuż Bóg dobry, co cię tak hojnie wdziękami obdarzył, co cię prawdziwie rajskim powabem otoczył, odmówił ci najcelniejszéj ozdoby? nie dał ci człowieka, w któregoby duszy wdzięk twój się odbijał, nie jak w szybie lodu, ale jak ideał w sercu poety, skąd dźwiękiem i barwą na cały świat odbrzmiewa, odświeca, czarując i unosząc słuchaczy i widzów!?

— Powiedz raczéj, drogi Ignasiu — rzekł Oleś: — o biédna matko! za co Bóg cię skarał tak wyrodną dziatwą, że wykarmiona twém mlékiem, osypana bogactwy, żałuje ci kawałka powszedniego chleba, żałuje grosza na godne cię szaty, a wstydząc się obrazu twego, nie

stroi niemi swoich pałaców, nie nosi go na sercu, które ze złotem swojém składa u stóp zamorskiéj nierządnicy, któréj wizerunki na wagę złota kupuje, przed którą matkę rodzoną szyderstwem spotwarza!?

— Poetyzujecie, moi panowie,— rzekł Gustaw— i nie łatwoby ktoś obcy z waszéj gawędy zrozumiał, czego się wam zachciewa? Lecz ja, przywykły do waszych bredni, domyślam się nieco ich sensu, i słuszność Olesiowi przyznaję. Nie na brak duszy natchnionéj skarżyć się nam trzeba; lecz na brak zamiłowania w rodzinnych stronach, na nieszczęsną ślepotę uprzedzenia, co nie przypuszcza nawet, by we własnym kraju było cóś godnego wzroku podróżnika, pióra poety, pęzla malarza! Stara to piosenka i tém smutniejsza, że stara. Pokaż mi kogo z możnych właścicieli téj malowniczéj okolicy, coby ją, choć raz w życiu, przebiegł z końca w koniec? coby zechciał spójrzeć na te urocze obrazy, jakie tu na każdym kroku podziwiamy? O zakład poszedłbym z tobą, że nie znajdziesz ani jednego! a dziesiątkami naliczysz takich, co nieraz Francją zwiedzili, co nawet i na egipskie piramidy łazili!... Więcéj jeszcze powiém: Zofijówka stąd niedaleko; wié o niéj ledwie nie każdy, że jest to jeden z najpiękniejszych Europejskich ogrodów, a znam niemało tutejszych przezacnych turystów, którzy ani razu tam nie byli, choć w najpiękniejszéj porze roku można ją w całym blasku oglądać! Cóż więc

tu zdoła natchniony artysta? Dajmy sobie, że ja nim jestem: mam pełną tekę najpiękniejszych szkiców, a pełną duszę poetycznego zapału; wracam do Kijowa, ostatni grosz wydaję na najęcie izdebki z dogodném światłem i materjały malarskie; a żywiąc się chlebem i wodą, grzejąc się swoim zapałem, przy najusilniejszéj pracy, w przeciągu roku tworzę parę obrazów. Udały mi się najlepiéj, porównywam je z moim ideałem, i we łzach rzewnych rodzinnego uniesienia padam na kolana, dziękując Bogu za skarby mej duszy. Cóż daléj? Termin lokalu upłynął, zjadłem już ostatni suchar; chcąc niechcąc trzeba na targ prowadzić swoje świętości!... Oto nastają kontrakty: najmuię sobie kawał kolumny i jak pod pręgierzem stoję pod nią z drogą dziatwą méj duszy.... i otom ukamienowany, ubiczowany jak prawdziwy złoczyńca, za to, że się nie nazywam Wernetem albo Owerbekiem, za to, żem swój pęzel maczał w sercu przepełnioném miłością rodzinnéj ziemi!.... Powiecie, żem słusznie ukarany, jako tandeciarz świętości? A więc nie potrzebuję powszedniego chleba, ale potrzebuję światłego sądu, coby stromą drogę artysty rozjaśnił; czyż inaczéj będzie?

— Dobrześ zapowiedział— rzekłem,— że starą piosnkę zaśpiewasz; okropne to rzeczy, którym czas tylko może zaradzić. Czekajmy, nim przyjdzie moda na lubownictwo rodzinnego kunsztu; a teraz nic nie zdołamy

ani słowem, ani pismem; bo ci, na których piorunujemy, mowy naszéj nie słyszą, pism nie czytają. Chcąc do nich trafić, wypadałoby zostać kollaboratorem jakiéj francuzkiéj, angielskiéj, lub zresztą choć niemieckiéj gazety, i pod cudzoziemskiém imieniem prawić im o rzeczach krajowych i zachęcać do zamiłowania. Ale to wszystko zrażać nas nie powinno: jako prawdziwi kapłani swéj wiary, powinniśmy ochoczém sercem męczeństwo za nią ponosić....

— A tymczasem myślmy o noclegu,— przerwał Teodor,— bo te poetyczne ekstazje wasze, tak mię rozmarzyły, że ledwie już stoję! A tu jeszcze śliczna perspektywa! nocleg pod gołém niebem, na wilgotnéj ziemi, żaby, komary.... no! już drugi raz nie dam się złapać!....

Głośny śmiéch był odpowiedzią na skargi biédnego Teodora.

Oleś z Ignasiem pobiegli do lasu i wkrótce wrócili z potężnemi wiązkami chróstu. Wykrzesałem ognia, i wnet na brzegu stawu wesoły płomień strzelił w obłoki, i złocistym słupem zanurzył się w zwierciadlanéj toni. Dobyliśmy z tłómoczków podróżne zapasy, a zajadając ogórki, małgorzatki i przepyszne podolskie czereśnie, piekliśmy w popiele młodziuchne kartofle. Rozmowa tymczasem nie ustawała.

— Mówcie sobie co chcecie — prawił poczciwy nasz

Oleś,— a ja swoje powtarzać będę, choćby mię miał ukamienować kochany Teodorek; im bliżéj natury, tém człek szczęśliwszy, a stąd prosty wniosek, że wygórowana cywilizacja bynajmniéj się do szczęścia ludzkości nie przykłada.

Teodor uśmiéchnął się szyderczo.

— To tak cię ujmują czeresznie i pieczone kartofle? winszuję dobrego smaku! a jabym wolał kasztany i ananasy.

— Zapewne, — odrzecze Oleś,— i jabym to wolał; szkoda tylko, że podobno nie dożyjemy tych błogich czasów, gdy te smakowite Boże dary całe gromady nasycać będą. A póki miljonowa tylko część ludzkości korzystać z nich może, i to jeszcze nieraz kosztem nieszczęsnych współbraci, hołdować im nie myślę.

— Śmieszni bo jesteście!—rzekł Gustaw—z cywilizacji zrobiliście kucharkę!

—A cóż mam z nim gadać?— rzecze zaperzony Teodor,—możeż on wznieść się do wysokości téj idei?!

— Mogę, mój lubciu, dzięki koleżeństwu z tobą, i rozumiem, co jest cywilizacja? Jest to professor filozofji transcedentalnéj! Czyż nie tak?

— Jużciż pewno nie kucharka!— odrzekł Teodor.

— Nie kucharka, mój drogi, — rzecze znów Oleś,— lecz poczciwa matka z najlepszém sercem, oświeconém natchnieniem Bożem, ze zdrowym rozsądkiem, wzmocnio-

nym długiemi laty doświadczenia. Ona jednako wszystkie swe dzieci kocha, karmi, odziewa, nagradza, karci, ucząc wzajemnéj miłości, pracy i modlitwy, starych dziejów i pieśni. Oto mój ideał prawdziwéj cywilizacji!

— Niezły ideał!— zawołał Ignaś,— dodaj tylko jeszcze, że owa matka zarywa trochę cygańskiéj natury: bo i rzemiosła nie obce jéj wcale, i własności ziół rozmaitych dobrze jéj znane, i wszystkie tajemnice natury po części przed nią odkryte.

Znowu Teodor szyderczo się uśmiechnął, a Oleś prawił:

— W żart moję mowę obracasz, kochany Ignasiu, ale czyż mi zaprzeczysz, że najpożyteczniejsze wynalazki, to jest takie, które całą ludzkość obchodzą, winiśmy prostaczkom, nie zaś piśmiennym mędrcom? Wszystko, co nas karmi i odziewa, wszystko czém pokarm i odzież sobie zdobywamy, wóz wreszcie i czółno, tradycyjna praktyka, a nie książkowa teorja nam dała. Oto rzemiosła. A co się tycze tajników natury, nie przeczę, że nauki przyrodzone olbrzymim krokiem ciągle postępują; ale podobno z większemi skarbami wybrały się w drogę, niż same dotąd na niéj zdobyły. A nawet i dzisiaj, czyliż nie prawda, że są tak zwane znachory, co umieją leczyć od wścieklizny i ukąszenia żmii tajemnemi środkami, nad których docieczeniem daremnie nauka pracuje? Wszystkośmy to winni owéj cywilizacji, którą matką nazwałem,

matką z najlepszém sercem, oświeconém natchnieniem Bożém. Władzę tego natchnienia wszystkie ludy uznają, znajdziesz ślad jego we wszystkich gminnych podaniach, wszędy pospólstwo wspomina te czasy, gdy Bóg po świecie chodził i uczył ludzi. Możeście słyszeli o tém, jak człek sklecił sobie chałupkę bez okna; a że markotno mu było niewidzieć słonecznego blasku, to posłał żonę, żeby do chatki przetakiem słońca nanosiła. Nieboga wyszła na podwórko; trzymała, trzymała przetak przeciw słońca, i żwawo zakrywszy fartuchem, skoczyła do swojéj klatki; lecz światło uciekło! Znowu więc do dzieła, i znowu napróżno! A mąż się gniewa i łaje. Rusza więc znowu biédaczka; nastawiła przetak przeciw słonka, stoi i gorzko płacze. Aż no idzie Pan Bóg:—Cóż to moja matko robicie? i czego tak płaczecie? pyta kobiéciny.— Ej miły dziaduniu, poradźcie, co zrobić? ot cały dzień pracuję, a słonka do chatki nanosić nie mogę, a mąż się gniewa i łaje!— Uśmiechnął się Pan Bóg dobrotliwie, a wziąwszy siekierę, wyrąbał w chatce okienko i słonko wprowadził.— Prosta to i śmieszna z pozoru baśnia, ale głęboką myśl zawiera i piękne daje świadectwo o wielkiéj pobożności naszego ludu w najdawniejszych czasach: wierzył on, że bez pomocy Bożéj żadnego dzieła pomyślny nie uwieńczy skutek; razem, że wprzód samemu pracować potrzeba, a potém już téj pomocy wyglądać. Dzisiaj inaczéj sądzimy, dziś wszystko odnosim do samych siebie, do potęgi

swego rozumu; dla tego to dzisiejsze mądre wynalazki szczęśliwi mędrcy wystawiają na sprzedaż, żądając summ ogromnych za swoje sekreta, które całą ludzkość uszczęśliwiać mają. Wątpię jednak, czy ten, co piérwszy odkrył dobroczynną własność pożywności ziarna i chleb robić zaczął, przedał swój sekret spółbraciom? O nie! bez wątpienia! Bo czyżby w takim razie nazwano je zbożem?.... Wtenczas wierzono w opiekę Boga, i wszystko pożyteczne uważając za święte jego dary, nie śmiano ich profanować niecną przedażą, dziś czysty rozum inaczéj osądził.... A koniec końców, że najlepiéj byłoby, gdyby cywilizacja była poczciwą matką, a nie mądrym professorem!

— A jednak — rzecze Teodor,— ona czém inném nie jest jak professorem, mistrzem całego świata! Bo jużci śmiech i pomyśleć, by owa matka, co to klepiąc pacierze, uciera nosy swoim bachurom i prawi im baśnie o strachach i upiorach, i leczy ich szeptami i dziewanną, była razem owym cudotwórnym genjuszem, co to błyskawicę wydarł niebiosom i kazał jéj swoje myśli w mgnieniu oka z końca w koniec świata przenosić, co ulotną parę zaprzągł do dźwigania olbrzymich ciężarów nieścignionym pędem; co za pomocą gazów, niedostępnych tępym profanów zmysłom, wzbił się ku niebu, gdzie twoi ulubieni prostaczkowie nawet i myślą wznieść się nie mogą; co gwiazdy policzył i zbadał tajemne ich drogi,

i zjawienie się nowych na całe wieki co do sekundy przewidział; co ziemię po kosteczce rozebrał i wydarł jéj tajemnice przedpotopowe, tajemnice jéj powstania i przejść rozmaitych, nim się w obecne formy ulała; co wreszcie wcielony w Kanta, Szellinga, Hegla i niezrównanego Bronisława, zbadał duszę ludzką i samego Boga, nauczył nas bóstwo swéj piersi rozwikłać i stać się bogiem-człowiekiem.

— I raj nam odebrał!—zawołał Oleś,—stare to dzieje, mój Teodorku! Przypomnij sobie, że ojciec nasz Adam, chcąc stać się bogiem - człowiekiem, sięgnął po owoc drzewa poznania złego i dobrego, i że kilkadziesiąt wieków ludzkość się miotała w srogich cierpieniach, szukając drogi do utraconego raju, nim wreszcie Bóg się ulitować raczył i Syna własnego posłał, by nas przykładem swoim nauczył, jak mamy z upadku powstać. Czemuż téj świętéj a jasnéj nauki zrozumieć nie chcemy?! Bóstwo wcielone w człowieka uznaje się bratem najlichszego z ludzi, ucząc nas, że pokora otworzy niebieskie wrota, zamknięte przed pychą.

— Prawisz, mój, drogi — rzekł Ignaś,—jakby ksiądz z ambony, i walczysz z Teodorem niewłaściwą bronią, bo przeciw wnioskom filozoficznym stawisz pewniki religijne. Ale i twą własną bronią pokonać cię można: wszakże Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, a więc on nawet powinien stać się bogiem-człowie-

kiem, jeżeli nie chce sponiewierać w nikczemnym kale Bożego tchnienia, co jego łono ożywia.

—Bluźnisz Ignasiu!— zawoła Oleś,— i po tobiem się tego nigdy nie spodziewał. Bóg rzekł: uczyńmy człowieka na obraz i podobieństwo nasze, i zlepek gliniany ożywił swém tchnieniem. A więc, gdy ten zlepek nie sponiewiera tego świętego tchnienia, będzie dopiéro człowiekiem, nie stanie się bydlęciem. I gdy tak przejdzie całą drogę życia, gdy proch, z którego powstał, wrócił do swego źródła, wtedy niepokalaną duszę Bóg uzna za swoje tchnienie, za swój obraz święty, i przyjmie do swego łona.

—Dalekoście zabrnęli! — rzekł poważny Gustaw,— i na ślizkiéj stoicie drodze; radzę wam wrócić do cywilizacji.

—Dajmy lepiéj pokój całéj téj gawędzie! — odrzekł Teodor — bo się nie zgodzimy nigdy; stoimy na dwóch przeciwnych biegunach.

—A jednak prawda przy moim! — zawołał Oleś.— Ty żądasz, by nauki przyrodzone i filozofja były źródłem cywilizacji ludzkości, ja to źródło w religji widzę; ty dajesz piérwszeństwo głowie, ja sercu; ty pragniesz świat zaludniać bogami, ja zaś tylko ludźmi wedle Boga.

—Olesiu,— rzekłem,— prawda może być przy tobie, tylko się jaśniéj wytłumacz, bo dotąd z twéj mowy sądzić wypada, że rzucasz klątwę na rozum. A jednak

serce, nie oświecone jego pochodnią, łatwo się zabłąkać może. I sądzę, zgodzisz się na to, że cywilizacji przewodniczyć powinno zarówno głowa i serce, czyli religja, na obu tych podstawach oparta; bo wreszcie i do pojęcia nauk Chrystusa rozumu potrzeba.

—Zgoda! najzupełniejsza zgoda!— zawołał Oleś,— co więcéj jeśli o wyrażenie idzie, to i na to przystanę, że cywilizacji powinien przewodniczyć rozum, ale rozum pokorny, rozum klęczący pod krzyżem, rozum wzbijający się ku Niebu nie po to, by w niém się Bogiem uznawać, lecz by się odświeżać i poświęcać zetknięciem się ze swojém najświętszém źródłem; rozum, jakim obdarzeni byli Apostołowie Chrystusa, a nie Doktorowie i Faryzeusze. A nasz Teodor o czémże prawił? O telegrafach, o wagonach, o teleskopach, o geologji, o filozofji wreszcie; zapominając o tém, że olbrzymia większość ludzkości, nawet ani z imienia nie zna tych cudów genjuszu, a nie tylko nie korzysta z ich dobroczynnych skutków! Takież być mają dobrodziejstwa cywilizacji twojéj?! O! prawdziwie serce się kraje, gdy człek pomyśli, że wielu jest takich, co podobnież sądzą; wielu jest bogów-człowieków, co ze szczytu swego bożostanu pioruny miecą w profanów, nie zniżających czoła przed ich ubóstwionym rozumem, co w niebogłosy wrzeszczą, zwąc ich obskurantami, fanatykami, barbarzyńcami, za to, że rozumem oświeconym przez religją, nie hołdują rozu-

mowi oczyszczonemu przez filozofją! Smutne dzieje! okropne zasady, za które kiedyś srogą Bóg zeszle karę!...

—Cha, cha, cha!— rozśmiał się Teodor,— wybornie mój kaznodzieju! Bozia da rózgą!... Oteż to twój rozum, religją oświecony!... Co za płytkie pojęcie o Bogu!... a więc wyobrażasz sobie, że Bóg nieodstępnie na pasku ludzkość prowadzi? co mówię, że każdego człowieka z osobna niańczy, dając mu cukierki lub plagi?!... Wyborne zdanie! ozłocićby cię warto za tę nieocenioną wiarę w karanie Boże!...

—Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — ozwał się obcy głos za nami.

Obejrzeliśmy się i spostrzegli przy blasku ogniska, na wpół zanurzoną w mroku, jakąś ludzką postać, tak złamaną, tak wykrzywioną, żeśmy z pomimowolnym wstrętem odwrócić oczy musieli.

—Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!—powtórzył przybylec, czołgając się ku nam.

—Na wieki wieków! — odpowiedział Oleś, a za nim Ignaś i Gustaw, i przezwyciężając odrazę, wszyscyśmy bacznie przyglądać się nieznajomemu zaczęli.

A był to jakiś nieszczęśliwy kaleka, beznogi, z powykręcanemi rękami, i z jedném tylko okiem w czerwonéj, jakby oparzonéj twarzy. Jednak, chłopska odzież jego była czysta i cała, a w obliczu, mimo kalectwa, znać było wyższe nad stan obecny ukształcenie.

W szyscyśmy, prócz Teodora, dobyli po kilka groszy, ofiarując je kalece; lecz on, nie przyjmując datku, lekko skinął głową, i rzekł czystą polszczyzną:

—Bóg zapłać, mili panowie ! nie po jałmużnę, ale z jałmużną do was przyszedłem.

A widząc, żeśmy z podziwieniem nań spoglądali, smutnie się uśmiéchnął i daléj prawił:

—Już się dziwicie i gotowiście wziąć mnie za warjata; ale poczekajcie chwilkę, a rzecz się objaśni. Pozwólcie mi usiąść i posłuchajcie co powiem.

Zrobiliśmy miejsce u ogniska, gdzie gość nasz przypełzł na klęczkach (bo miał w połowie goleni nogi ucięte) i usiadł tuż przy mnie.

—Rzekłem wam tedy, że nie po jałmużnę, ale z jałmużną przychodzę; a co dziwniejsza, najwięcéj dać jéj zamyślam temu, co nic mi ofiarować nie raczył, panu Teodorowi, zwolennikowi czystego rozumu.

Podziwienie nasze nie miało granic. Zdumionym wzrokiem spoglądaliśmy po sobie, jakbyśmy wzajem w obliczach swoich szukali rozwiązania téj zagadki; a gość nasz prawił daléj:

— Słyszałem wasze rozprawy o cywilizacji, religji, głowie i sercu, a wreszcie dowcipną uwagę o karze Boskiéj; bo tuż nad waszą głową, na wzgórku, w gęstéj krzewinie stoi moja buda, do skały przyparta. Słysza-

łem, i przypełzłem do was, by dopełnić waszych filozoficznych dysput historją mojego życia.

Z pęzlem i piórem szukacie poetycznych wrażeń w pielgrzymce waszéj; dobrze więc rzekłem, że z jałmużną do was przychodzę: niech malarz odszkicuje mą nadobną postać, pisarz nakreśli życiorys, a filozof wyprowadzi wnioski z tego, co powié mu dawny zwolennik rozumu. Słuchajcież tedy, a najpilniéj słuchaj panie Teodorze, abyś zbłąkaną owieczkę mógł mocą swego rozumowania wprowadzić na prawą drogę, z któréj ją smutne doświadczenie zbiło.

Urodziłem się w ubogim litewskim zaścianku. Rodzice moi byli to sobie ludzie prości, ale pobożni i poczciwi, a choć w krwawym znoju na chléb powszedni pracując, nigdy pokoju nie znali, ścigani ciągłém niepowodzeniem; jednak się nie skarżyli na smutną dolę, prosząc tylko Boga, by się opiekował losem ich dzieci, które zawczasu uczyli zgadzać się z jego wolą, przestawać na swojém, w pracy szukać pomocy, w modlitwie pociechy.

Dwoje nas było. Brat młodszy ochoczo brał się do pracy i w dziesiątym roku był już niemałą biédnym rodzicom pomocą. Ja zaś, choć starszy i zdrówszy od niego, nie powiem, żem był leniwszy, ale wolałem książką się zabawiać, do któréj on znowu nie wiele miał spry-

tu, i częste odbierał plagi od zaściankowego bakałarza, u któregośmy się razem z inną dziatwą uczyli.

Rodzicom nie po sercu było to moje upodobanie, które mię od pracy właściwéj stanowi często odrywało; lecz ja to jakoś umiałem złagodzić, umiałem dać pozór, że książka wcale mi nie wadzi w innych zatrudnieniach. Bo trzeba wam wiedzieć, że od maleństwa byłem dziwnie roztropnym i przebiegłym chłopcem; umiałem więc zawsze cudzemi rękami żar zagrzebywać, umiałem dobrodusznego braciszka rozrzewnić, rozczulić, i nim się wyręczywszy w trudach, przed ojcem zgrabnie okazać, jakobym sam się mozolił; umiałem u niego wyłudzić, gdy miał ostrzejszą kosę, albo cep lżejszy; a gdy do nauki przyszło, gdy on méj pomocy żądał, wtedy byłem głuchym i ślepym.

Tak we wszystkiém i z każdym radzić sobie umiałem. Ojciec niby nie zważał na to; lecz matka, co kobiécym intynktem lepiéj te rzeczy pojmować umiała, frasowała się srodze nieboga, napominając mię i strofując za moję przebiegłość i brzydką nieczułość. Ja to mimo uszu puszczałem, a szedłem swą drogą, wykręcając się od ciężkiéj pracy, a biegąc do książek, któremi obdarzał mię poczciwy nasz pleban, ucieszony moją zdumiewającą pojętnością i ochotą do nauk, która nareszcie przeszła w prawdziwą namiętność, od kiedy przeczytałem życie Syxtusa V. Bo mi się rozgorzała głowa, bo mi się

marzyć zaczęły wielkość, zaszczyty i bogactwa, do których mi nauka drogę otworzyć miała.

Raz do proboszcza przyszedłszy, zastałem tam jakiegoś podróżnego pana, który się dowiedziawszy, żem przyszedł prosić o książkę, z pilną bacznością długo się we mnie wpatrywał: potém pogadawszy z plebanem obcą mi mową, spytał mię z dobrocią:

— A nie chciałbyś chłopcze do szkoły?

Twarz mi się krwią oblała, a z oczu zrazu się iskry sypnęły, a potém łzy bujne, dreszcz jakiś dziwny całego mnie przejął i mowę w piersiach zadławił.

Nieznajomy z uśmiéchem zbliżył się do mnie, pogłaskał mię pod brodę, rozgarnął włosy na czole, na które z upodobaniem spoglądał, jak gdyby pod niemi widział bujne myśli moje i znowu spytał:

— Czemuż mi nie odpowiadasz? czy się ucieszysz, jak cię wezmę z sobą i na nauki oddam?

Zamiast odpowiedzi, ze łkaniem do nóg mu padłem.

On mnie dobrotliwie podniósł, do serca, przytulił, a pogadawszy cóś z księdzem proboszczem znów obcym językiem, kazał zaprzęgać, a gdy zaszły konie, posadził mię z sobą i z plebanem do pięknego powozu, i ruszyliśmy do rodzinnego mego zaścianku.

Domyślałem się, że dobry pan jedzie prosić rodziców moich o pozwolenie zabrania mię do szkół, a nie wątpiąc, że je otrzyma, już się roskosznie pieściłem z myślami

o przyszłéj wielkości swojéj. Chylące się kłosy na niwie pod tchnieniem wiatru, zdawały mi się tłumami ludu, bijącego mi czołem; przelatujący ptak nade mną, przywodził mi na myśl orła Tarkwiniuszowego, a był to kruk przeciągający z złowieszczem krakaniem!... I dałem się jak pająk, kiedy spotykani po drodze szlachta z mojego zaścianka, z podziwem mi się przyglądali, witając księdza i pana nizkim ukłonem, który też i do siebie brałem, nie racząc nawet poruszyć głową, choć proboszcz i mój nieznajomy raz po raz przyjaźnie się kłaniali, odpowiadając n a w i e k i.

Przybyliśmy wreszcie przed rodzicielski dworek. Ojciec z pośpiechem wybiegł na próg chaty, i nie wiedząc jak witać swoich niespodzianych gości, tylko się kłaniał; a brat, co parobkowi pomagał woły wyprzęgać drapnął w konopie, przestraszony niezwykłém zjawiskiem.

Nie wiém dla czego wszystko to mi jakąś przyjemność sprawiało: i pokłony ojca, i trwoga brata.... Zdawało mi się, że gdy osięgnąwszy marzone zaszczyty, przyjadę kiedyś do swojéj rodziny podobnymże cugiem, to miło mi będzie widzieć jéj zakłopotanie i zdumienie!...

Weszliśmy wreszcie do chaty. Ojciec z pośpiechem zamknął drzwi od alkierza, bo tam matka leżała w ciężkiéj niemocy, pościerał ręcznikiem ławy i usiąść gości zaprosił; a nakrywszy stół białym obrusem, podał w polewanéj misce mléko z twarogiem, a na drewnianych tale-

rzach lipiec i młode ogórki, i znowu z nizkiemi pokłony do gości przystąpił.

Podziękowali uprzejmie za gościnność i skosztowali nieco bożych darów, a potém proboszcz się odezwał:

— Kochany panie Macieju! przyjechaliśmy prosić waćpana o wielką łaskę, z któréj i dla waćpana samego niemała korzyść i pociecha będzie. Bóg dał wam dziecię niepospolitego umysłu, który przy pomocy nauki może wznieść się bardzo wysoko, szkoda więc skarb ten marnować, szkoda dla lichego pożytku z sił fizycznych poniewierać siły moralne; bo trudniéj o głowę, niżeli o ręce. Pozwólcie więc waszemu dziecku korzystać i z darów Opatrzności i z jéj dobrotliwéj opieki, bo oto ten pan chce podać rękę pomocną waszemu synowi, i jeśli zezwolicie, weźmie go z sobą do szkół i wykieruje na niepospolitego człeka, który i społeczeństwu i wam większą korzyść przyniesie, niż chodząc za pługiem.

Ojciec ucałował rękę proboszcza, skłonił się do kolan nieznajomemu, i rzekł pokornie, ale stanowczo:

— Wybaczcie ojcze dobrodzieju, i wy miłościwy panie, że łaski waszéj przyjąć nie mogę. Niech ryba pilnuje wody, a kret swojéj nory, jeśli im życie miłe. Najlepiéj pono będzie chłopcu memu pod rodziną strzechą, a społeczeństwu łatwiéj o porządną głowę, niż mnie o parę rąk do pługa i cepa. Sam już nie zdużam, niewiasta cherla i cherla, a gospodarce dozoru potrzeba. To jak

mnie starszy mój chłopiec porzuci, z młódszym nie dam sobie rady i pójdę z torbami!

— A czyż się godzi— rzekł nieznajomy,— dla marnéj tymczasowéj korzyści zagradzać drogę do szczęścia rodzonemu dziecku! Czyż to tak wielka pomoc w gospodarce z dwunastoletniego chłopca? Nim z niego tu porządny parobek wyrośnie, prędzéj się w szkołach i stopnia i korzystnéj posady doczeka, a wtedy całą rodzinę przygarnie.

Ojciec się gorzko uśmiechnął.

— Wybaczcie, miły mój panie; ale niech Bóg mnie broni od łaskawego chleba, choćby u własnego dziecka! Tém bardziéj, że, mówiąc wam szczérze, Bóg dał temu chłopcu za nadto w głowie, za mało w sercu,— jedno buja kosztem drugiego! Ciężkobym więc zgrzeszył, gdybym się jeszcze przyczynił do wzrostu tego kąkolu; gdybym go z pod wiejskiego płotu wysadził na bujną rolę wielkiego świata. Prostak ja sobie to prawda; ale bywałem na świecie, widziałem ludzi nie mało, i nie jednego zdybałem, co ze mną, uczciwszy uczy, prosięta pasał; a potém gdy mu fortuna przyjaźnie mrugnęła, do progu swojego przystąpić mi nie dał! Nie chcę więc sprowadzać Bożego palca na tę wybujałą głowę, co się obłąkawszy książkową pychą, gotowa rodzonemu ojcu pokłonu odmówić!

Ja stałem w kącie świetlicy, błyskając z podełba łzawemi oczyma i gryząc w gniewie paznogcie, serce mi się ścisnęło w bezsilnéj dzikiéj zawziętości, i złorzeczyłem swemu urodzeniu, złorzeczyłem własnemu ojcu, co niepojętym uporem, najświetniejszą przyszłość mi wydzierał....

I poczciwy pleban, i mój nieznajomy, nie zrażając się odmową, wszelkiemi sposobami nalegali na mego ojca starając się zmienić jego postanowienie, i w najpiękniejszych kolorach malując korzyści, mające z mojéj nauki wyniknąć, lecz wszystko było daremne! Ojciec całował ręce proboszcza, ściskał kolana mego professora, kłaniał się pokornie, a na mój wyjazd zezwolić nie chciał.

A gdy się certowali z sobą, dał się słyszeć z alkierza bolesny głos schorzałéj matki mojéj, co mię wzywała do siebie. Dwa razy udałem, że nie słyszę, i za trzecim razem, gdym jeszcze się ociągał, ojciec oburzony, porwał mię z gniewem za kołnierz, i popychając ku drzwiom, krzyknął popędliwie: „Czy nie słyszysz smarkaczu, że cię mat. ka woła?!...A widzicie Panowie,—dodał, zwracając się do gości,— co to za serce!... szczenię posłucha, gdy suka zaskomli, a ten wyrodek na wołanie konającéj matki poruszyć się nie chce!... dajcież mu jeszcze honory!“

Rozjuszony, jak dziki niedźwiadek, wleciałem do alkierza, porządnie stuknąwszy drzwiami.

— Czego chce mama?— krzyknąłem opryskliwie.

— Julusiu! — rzekła matka łagodnie; zwracając ku mnie łzami zalane oczy, i wyciągając wynędzniałą rękę, od któréj się z niechęcią usunąłem, — dziecko ż ty moje drogie! czyż tobie czego braknie do szczęścia pod rodzinną strzechą? czyż my nie miłujemy ciebie? czyż nie dogadzamy tobie we wszystkiém? Czemuż ty chcesz mnie porzucić na śmiertelném łożu, a iść do cudzych, gdzie może i znajdziesz bogactwa i honory, ale nie znajdziesz duszy macierzyńskiéj, nie znajdziesz takiéj miłości, takiego szczęścia!...

I łkanie głos jéj stłumiło.

— Oj to mi szczęście!— mruknąłem nadąsany,— paść świnie, albo po całych dniach cepem wywijać!

— Cóż począć, moje dziecko? — rzekła znów matka z dobrocią,— tak Bóg nam przeznaczył.

— Dobrze to na Pana Boga składać! niby to Pan Bóg nie puszcza mnie z tym panem jechać do szkoły!

— I tybyś z nim pojechał? tybyś nas porzucił starych, schorzałych, umierających prawie?!— wołała matka z żałością.

— A czegoż mam siedzieć? jak macie umierać, to ja waszéj duszy za nogi nie złapię.

— Dziecko ty wyrodne! — jęknęła matka z boleścią, zrywając się na łożu i załamując dłonie z rozpaczy. — I tobież to myśléć o zaszczytach i pomyślności!? jakże ty śmiesz błogosławieństwa Bożego wyglądać?!

I wysilona gwałtownem wzruszeniem, upadła na pościel z boleśném łkaniem, a ja rozzłoszczony wyszedłem z alkierza.

Ojca nie było w świetlicy, a nim powrócił, nieznajomy szepnął mi na ucho, abym nazajutrz raniutko do plebanji przyszedł. Zaraz też wyjechali nasi przezacni goście, a rozgniewany ojciec najsurowiéj mi zalecił, żebym już odtąd ani się ważył do książki zaglądać, chyba do pacierza. Udałem pokorę i oświadczyłem, że jutro raniutko odniosę proboszczowi wszystkie jego księgi, bo jeśli tatko uważa, że mi nauka szkodzi, to zapomnę i tego, czegom się dotąd nauczył.

Noc mi zeszła prawie bezsennie, bo głowę paliły rozigrane myśli, bo przeczuwałem na co mię do plebanji nieznajomy wzywał...

O brzasku zerwałem się z pościeli, i bez pacierzy czém prędzéj wybiegłem z chatki, nie pożegnawszy ani jedną łezką świętych rodzinnych progów, za któremi rzucałem, może na wieki, najlepszą, najtkliwszą matkę umierającą, najzacniejszego, choć surowego ojca, poczciwego braciszka, i wszystkie skarby dziecinnych uroczych wspomnień!... Wybiegłem z bijącém sercem, drżąc tylko z bojaźni, by tatko zamiarów moich nie odgadł, by mię nie zatrzymał czasem, i ani w myśli nawet nie wezwałem rodzicielskiego przebaczenia i błogosławieństwa.

Nazajutrz o świcie już byłem o kilkanaście mil od rodzinnéj strzechy, a wieczorem dnia tegoż, jakem się później dowiedział, matka moja Bogu ducha oddała!...

Biorąc rzeczy pod ścisłą rozwagę, zdaje mi się, że nic głupiego nie popełniłem; owszem, nad lata rozumu dowiodłem, umknąwszy szczęśliwie od wszelkich przeszkód, stających mi na drodze do chwalebnego celu. Bo cóż w tém złego było, żem pragnął nauką dobić się bogactw i zaszczytów, z których dla rodziny mojéj widoczna korzyść wyniknąć mogła? Nieprawdaż panie Teodorze?

Mój nieznajomy opiekun był professorem uniwersytetu, podczas wakacji odbywał naukową wycieczkę w nasze okolice, i tak to ze mną się spotkał. — Gdyśmy na miejscu stanęli, oświadczył mi, że chcąc mię zawczasu nauczyć wszystko samemu sobie być winnym, żąda abym mu za naukę i opiekę wypłacał się posługą, na co naturalnie przystałem, rozdzieliwszy czas między szczotki i książki.

Nie mam potrzeby mówić, żem się uczył dzielnie. Bóg mię obdarzył niepospolitą głową, a wrodzony zapał do nauki podsyciła żądza wzniesienia się nad stan swój, żądza górowania choć w szkole nad tymi, co mię za szkołą tak srodze chłostali najdotkliwszą pogardą, najboleśniejszém prześladowaniem za moje ubóstwo, za urodzenie i służbę! To też najwyższe szkolne zaszczyty na mnie spa-

dały, a ja pyszny zasługą i władzą, zausznik professorów, nienawistny wszystkim kolegom, za ciężkie zniewagi, których doznawałem od nich, mściłem się w obrębie swego urzędu, wydając ich i skarżąc za najlżejsze psoty, za które w owe czasy ostre spotykały cięgi, a nie jednemu nawet tak opinją zepsułem, że musiał szkoły opuścić. A kiedy młode sumienie czasem się ozwało, mój sprytny rozumek umiał mię przed niém zasłonić; umiał czarną nienawiść i mściwość ubarwić najszlachetniejszym pozorem mojéj niezłomnéj prawości dla dobra kolegów, których dziecinne swawole, puszczone bezkarnie, mogłyby się z czasem w zbrodnie przemienić!... Tak samo tłumaczyłem swoję nieuczynność: bo gdy mię który kolega prosił o pomoc w rozwiązaniu jakiego zadania, w ułożeniu ćwiczenia, odmawiając mu z tajemną radością, rozumowałem przed sumieniem, że spełniając prośbę, protegowałbym fałsz i lenistwo.

Widzicie więc, że już w dzieciństwie byłem prawdziwym potworem, dzięki rozumowi bez serca. Wprawdzie nie sam jeden winien tu byłem; bo mój zacny opiekun, wielki filozof, słynny z wysokiego rozumu, wyłączną uwagę zwracał na głowę, nie dbając o serce. Treścią częstych jego rozmów ze mną było założenie: że człowiek rozumny powinien sam sobie wystarczać, nigdy na ludzką pomoc nie licząc, nie polegając na niczyjém sercu, nikomu nie wierząc, do nikogo się nie przywiązując. Bo

wszelkie tkiiwe uczucia, to bajka wierutna! bo przywiązania bezinteresownego nie ma na świecie, bo rodzice w dzieciach, przyjaciel w przyjacielu, mąż w żonie, kochanek w kochance, i nawzajem, to tylko miłują, co dogodzić może ich miłości własnéj, co im zysk, chlubę, lub roskosz zmysłową przynosi, jedném słowem miłują siebie. A więc tylko głupiec poświęca się dla drugich; rozumny zaś tylko daje, co odebrać może, i to jeszcze z lichwą. Bo wszystkie zdolności i uczucia dadzą się zredukować do czystego grosza, a ludzie na mniejszych lub większych kapitalistów, a więc kto nie chce zostać bankrutem, powinien rozważnie swoim kapitałem obracać i na niepewny hazard go nie stawić. Odemnie samego nie żądał żadnéj wdzięczności, dając za podstawę wzajemnych stosunków naszych korzyść materjalną. „Wziąłem cię do siebie, bom widział, żeś sprytny chłopak, a potrzebowałem sługi. Za służbę daję ci chleb i naukę; twoim zaś interesem jest służyć mi pilnie, by odpędzonym nie zostać.“ Rozum i naukę wysoko cenić mi kazał, lecz nigdy o nich nie mówił jak o świętych darach Przedwiecznego, służących do poznania i uwielbienia cudów jego ręki, do pojęcia obowiązków swoich względem Boga i bliźnich, do których wypełnienia dopomagając, czynią nas dziećmi Bożemi; tylko jak o nabytku własnym, jak o czarodziejskim mieczu, ukutym mozolną pracą, zahartowanym niezłomną wolą, którym możemy podbić świat cały, całe przyrodzenie,

przełamać niebieskie bramy i zasiąść na Bożym tronie! słowem, wszystko sobie zhołdować i ze wszystkiego materjalną korzyść wyciągnąć, a zawsze jedynie dla samych siebie. Nie sądźcie jednak, aby mię nie uczył służyć społeczeństwu, przeciwnie, kazał mi pilnie pracować w całém swojém życiu nad zbadaniem nieodbitych potrzeb i tajnych pragnień ludzkości; ale wyłącznie oczy moje zwracał na materjalną stronę jéj bytu. A jako główny cel i ostateczny rezultat wszystkiego, ognisko wszystkich promieni rozumu, nauki, pracy i zasługi, wskazywał mi zawsze moją własną korzyść.

Spytacie mnie może, jaka też była wiara tego człowieka? Sądził, że wierzy po chrześciańsku, ale z Chrystusowéj nauki przyjmował to tylko, co się zgadzało z jego rozumem, co się opierało na głównéj jego podstawie, to jest na korzyści, a więc mówiąc właściwie nie było u niego wiary, tylko przeświadczenie. Jednakże pozornie ulegał wszystkim przepisom religji: modlił się, pościł, bywał w kościele, a nawet się spowiadał, gdyż był przekonany, że prawo Chrystusowe jest najpraktyczniejsze w zastosowaniu do ogółu ludzkości, że najkorzystniéj, gdy c i e m n y m o t ł o c h jemu ulega; a więc niechcąc dawać złego przykładu, dla korzyści spełniał ustawy, których mu rozum do serca przyjąć nie dawał.

Pan Teodor gotów powiedzieć, że rozum mego profesora nie był czystym rozumem. Jakiż więc rozum będzie

czystym? Czy ten, co drogą rozumowania dójdzie do wiary w dogmata chrześciańskie? O radbym widzieć takiego mędrca! Nie wielu pono znajdziemy podobnych, bodaj, że lepiéj wierzyć nie rozumując, bo nie każdemu pozwoli Zbawiciel kłaść świętokradzką rękę na rany swoje.

Ale odbiegłem od rzeczy, zagadawszy się o swym nauczycielu. Łatwo pojmiecie, że najzupełniéj przejąłem się jego zasadami, gdy jeszcze dodam, że przez lat jedénaście żyliśmy z sobą prawie nierozdzielnie, bo w wyższych klassach i w uniwersytecie byłem instruktorem uczniów, stołujących się u niego.

Wybrałem sobie zawod lekarski, jako najkorzystniejszy, i najchlubniéj kursa odbywszy, po dwóch leciech świetnéj praktyki w témże mieście, otrzymałem stopień doktora. Władza uniwersytecka ofiarowała mi posadę adjunkta. Była to propozycja bardzo zaszczytna, ale nie dość korzystna, więc ją odrzuciłem, by się udać na wieś z pewnym ruskim magnatem, z którym się umówiłem jako domowy lekarz za 2000 rubli, przy wolnéj praktyce w sąsiedztwie.

Znając moje zasady, nie powinniście się dziwić, żem nie pomyślał o rodzinnéj chatce, o starym ojcu, o poczciwym bracie, i o grobie matki, którą bodaj, że moja ucieczka dobiła! Jednak w pierwszych leciech mojego pobytu w szkołach, gdy jeszcze rozumowanie nie wszystkie uczucia wymroziło w sercu, bywały chwile, męczeńskie a błogie chwile rzewnéj tęsknoty do swoich! Nieraz pod-

czas zabawy, gdy moi koledzy w braterskiéj zgodzie wesoło igrali gwarliwą drużyną, lub się podzieliwszy na pary, na trójki, poufnie szeptali z sobą, a ja tylko jeden odepchnięty od wszystkich pogardą i nienawiścią, chmurny siedziałem na stronie,—nieraz mi w duszy budziło się wspomnienie błogiego zaściankowego życia, gdy z swobodną myślą i lekkiém sercem bujałem szczęśliwie po zielonych błoniach z wesołą zgrają rowieśników, dmąc w dźwięczne fujarki, skacząc przez ognisko, uganiając się za rozigraném jagnięciem, przewracając kozły na miękkiéj murawie z poczciwym kundysem, lub pnąc się na drzewa po młode ptaszęta. I serce mi się ściskało boleśnie, i gorzkiemi łzami zachodziły oczy, i gotów już byłem wyrzec się mądrości, sławy i zaszczytów; a wrócić pod rodzinną strzechę, i zakrzepłą duszę choćby na mogile matczynéj odegrzać! Lecz dzwonek wzywał do klassy i bujne marzenia znowu budził w głowie, a mściwość i dziką nienawiść w sercu.

Nieraz uwieńczony najchlubniejszą nagrodą na examinie publicznym, osypany oklaskami, upojony dumą, wróciwszy na kwaterę i widząc jak moi koledzy, na których przed chwilą patrzałem z pogardą, w rodzicielskich objęciach, w tkliwych pieszczotach, rajskiéj słodyczy kosztują, wszystkich trosk zabywszy,—z rospaczą ciskałem pod nogi swoją nagrodę, i skrywszy się gdzie w ciemnym kącie gorzkiemi płakałem łzami! Ach, ten mój try-

umf nikogo nie cieszył; bo nie było komu do serca mię przytulić i tkliwy pocałunek złożyć na tém rozumném czole, które laurem obojętnie wieńczono! I grobowym głosem odzywały się w méj duszy słowa konającéj matki: „znajdziesz bogactwa i honory; ale nie znajdziesz macierzyńskiéj duszy, nie znajdziesz takiéj miłości, takiego szczęścia!“

Ale nie długo to rzewne usposobienie trwało. Po kilku leciech zlodowaciałem zupełnie; rozumowanie zagasiło ostatnią iskrę czułości, a raczéj żelazną dłonią ujęło wodze wszystkich uczuć i wzruszeń. Oto macie dowód.

W drugim roku praktyki mojéj, kiedy jeszcze dla nauki i dla wziętości nieraz leczyłem bezpłatnie, raz mię wezwano do małego dworku na odległém przedmieściu. Na zielonem tle sadu rysował się skromny domeczek, czysty, białutki, z firankami i wazonikami w oknach, pod któremi jaźminy i róże kwitły, a powoje i kraśne fasole, z obu stron ganeczku, pnąc się aż pod daszek między kolumnami i ścianą, tworzyły uroczą kwiecistą altankę. Tu właśnie, w starym fotelu siedziała chora. Musiała mieć około lat cztérdziestu. Wybladłe jéj lica, szlachetnych, niegdyś dziwnie pięknych rysów, nosiły ogniste plamki, ślady powitalnych pocałunków śmierci; na krucze jéj włosy przedwczesna siwizna srebrzystą narzuciła siatkę; białuchne, delikatne

jéj ręce, porysowane błękitnemi żyłkami, wycieńczone, przezroczyste prawie, leżały bezwładne na kolanach; w jednéj trzymała różyczkę, do drugiéj przylgnął usteczkami kilkoletni jasnowłosy, śliczny jak aniołek chłopczyna, na stołeczku u nóg jéj siedzący; szafirowe smętne jéj oczy, błyszczące gorączkowym ogniem pod ciemną, długą, jedwabistą rzęsą, z rzewliwém nieruchomém wejrzeniem, spoczywały na nim, a na szkarłatnych plamkach oblicza drżały dwie łzy ciche, jak dwie krople deszczu na różanych listkach, rzuconych burzą na marmurową twarz posągu. Tuż na ławeczce, pod kwiecistą ścianą powojów i fasoli, siedziało młodziuchne dziewczę, na którego widok jakieś niepojęte uczucie całą mą istność przejęło. Niepojęte, powiadam, bo nie mogę pojąć, dla czego ta twarzyczka nieporównanéj piękności, któréj świeża śnieżysta białość, przy czarnych pierścieniach pięknego warkoczu, zdawała się światłość rozlewać, ożywiona leciutkim rumieńcem, jak gdyby tylko odblaskiem różyczek zatkniętych w jéj włosach; dla czego te oczy wielkie i słodkie, czarne i błyszczące, jak mówi poeta, te usta, za których pocałunek rycerz średniowieczny sam jeden rzuciłby się na całe wojsko olbrzymów, trubadur dałby sobie oczy i serce wydrzeć, nie pojmuję powtarzam, dla czego cała ta postać, mogąca posłużyć za najdoskonalszy wzór plastycznéj piękności, obudziła we mnie nie zwierzęcą żądzę, lecz

jakieś uczucie rzewne, uroczyste, święte, jakiego niegdyś, dawno, bardzo dawno, doznałem, kiedy małém dziecięciem piérwszy raz z matką byłem w wiejskim kościołku, gdzie się znajdował prześliczny obraz Matki Boskiéj, słynący cudami, w które wierzyłem wtedy!

Lecz wracam do rzeczy. Dziewica odziana w białą muślinową sukienkę, skromnie zapiętą pod szyję, z różyczką w czarnym warkoczu, z cichym smutkiem i uroczystą powagą w pięknéj twarzyczce, głośno czytała matce, a gdym się zbliżył i stanął niepostrzeżony wstrzymany jakąś czcią niepojętą, czy trwogą, doszły mię słowa Pisma Ś.

„I rzekł do nich—baczcież a strzeżcie się wszelkiego łakomstwa, gdyż nie w dostatku czyim żywot jego jest, z tego co ma“... i daléj, aż do wzniosłego wiersza: „Przypatrzcie się liliom, jako rosną i nie pracują ani przędą: a powiadam wam ani Salomon we wszystkiéj swéj chwale nie był ubranym jako jedna z tych. A jeśli trawę, która dziś jest na polu, a jutro bywa w piec wrzucona, tak Bóg przyodziewa: jakoż więcéj was małéj wiary!“

W tém brytan, leżący u nóg dziewczęcia, warknął gniewliwie i skoczył w tę stronę, gdzie stałem za sztachetami ogródka. Chcąc niechcąc musiałem się zbliżyć, bo wszystkie oczy na mnie się zwróciły. Dziewczę zaczęło wołać na swego wiernego stróża, co stanąwszy przed fórtką zagrodził mi drogę, warcząc zajadle i wy-

szczérzając zęby; ale jéj wołanie było daremne. Wówczas chłopaczek rzucił się do niego, i objąwszy rączętami jego kudłatą szyję, wywrócił się z nim razem na ziemię, wołając do mnie:

„Niech się pan nie boi, ja mocno trzymam!“

Postąpiłem tedy, a brytan, leżąc przy swawolnym chłopcu, podnosząc głowę, śledził mię zaiskrzonemi oczyma i błyskał ostremi zęby, a razem skomlił żałośnie, jak gdyby prosząc o pozwolenie, by mógł mię po swojemu przywitać. Ale dziewczę przywołało sługę, i mój napastnik jak niepyszny poszedł na łańcuch, protestując się to żałośnym piskiem, to gniewném warczeniem.

Stanąwszy na ganku, oznajmiłem choréj kim jestem. Podziękowała mi z ujmującą godnością, żem raczył usłuchać jéj prośby; skinęła ręką, zapraszając mię do pokoju, i wsparłszy się na ramieniu córki, poszła powolnym krokiem za żwawym chłopaczkiem, który drzwi przed nią otwierał.

W małym saloniku było czysto i świeżo, aż lubo! wszystko wprawdzie skromne, ubogie nawet; ale nie woskowana podłoga tak biała, ale jasionowe meble, przykryte prostym perkalikiem, takie milutkie, ustawione tak zręcznie,—muślinowe firanki u małych okienek zawieszone tak zgrabnie,—kwiatki w wazonach i bukiety w szklankach takie roskoszne,— sztychy na ścianach w kartonowych ramkach takie gustowne: słowem we wszystkiém

tyle wykwintności i smaku, nawet w rzuceniu kilku książek na krągłym stoliku na pozór niedbale,— we wszystkiém tyle powabu, tyle uroku, że nawet w najbogatszym salonie nic podobnego nigdy nie spotkałem.

Po kilku słowach obojętnéj rozmowy, przystąpiłem do badania choréj. Mój Boże, mój Boże! jakimże wzrokiem jéj córka najmniejszy wyraz mego oblicza śledziła! Cóż to za potęga tego anielskiego spójrzenia, gdzie miłość i śmiertelna trwoga, skarga i modlitwa, rozpacz i nadzieja, w jedno niewymówne zlały się uczucie!... Wyraźnie czułem, jak mi się wdzierało aż do głębi mózgu i piersi, i potrzeba było mego zimnego rozumu, mojéj władzy nad sobą, by jednym wyrazem oblicza nie zabić téj biédnéj dziewczyny? Matka miała suchoty, i nie było już środka wrócić ją do zdrowia!

Zapisałem pektoralne zioła, a zalecając zwykłą w podobnym razie dietę i spokojność umysłu, pocieszałem dobrą nadzieją. Chora z cichém westchnieniem i smutnym uśmiechem nieznacznie wstrząsnęła głową; a gdy córka wyszła, by odesłać receptę do apteki, ona, wyprawiwszy chłopaczka niby po wodę, rzekła mi głosem pełnym niewymównéj wdzięczności.

— O! dziękuję panu! z całéj duszy dziękuję za te pocieszające słowa! może one wrócą spokojność mojéj Olesi! Lecz ja im wierzyć nie mogę!... ach! czuję aż nadto dobrze, jak z każdym dniem sił mi ubywa! a te chwile

wolne od cierpień, to tylko wybuchy gasnącéj już lampy życia mojego!... Biédna Olesia! biédny mój Antoś!... Wrócić mi zdrowie już nie w ludzkiéj mocy, ale są środki choć trochę przedłużyć konanie.... O panie! dobry mój panie! przedłuż je, choćby w najsroższych męczarniach, choć parę miesięcy, choć parę tygodni, parę godzin wreszcie!... może Bóg dobry w końcu się zlituje, może im zeszle jaką opiekę w ich ciężkiém sierocctwie, i da mi umrzeć spokojnie. Zrobisz to pan? zrobisz? nieprawdaż?—pytała, wpatrując się we mnie smutnemi oczyma, a potém, załamując ręce w najwyższéj boleści i zalewając się łzami, dodała:

— Ale czémże panu za to dobrodziejstwo odwdzięczę? biédna, zapomniana, odepchnięta od całéj rodziny?!... a choćbym wszystko, co tylko posiadam, oddała panu, tobym i jednę chwilę darowanego mi życia nie zapłaciła! Proszę więc, błagam jak żebraczka o jałmużnę, i jak żebraczka błogosławić cię będę, wzywając z Niebios zapłaty! I Bóg ci zapłaci, o! hojnie zapłaci, bo mi to życie nie na uciechy potrzebne! a ja, co tylko zdołam....

I wysilona mową i wzruszeniem, zamilkła, ciężko oddychając, i oczyma już tylko wzywając litości!

Mówiąc szczérą prawdę, tym razem szumny mój egoistyczny rozum nie dotrzymał placu, ależ bo wszystko nań się spiknęło! I ten uroczy obraz na ganku, i to anielskie dziéwczę, i prośba nieszczęsnéj matki, i głos samego Boga,

wołający na mnie przez usta czystéj dziewicy, czytającéj Pismo święte! A więc w dziwném jakiémś usposobieniu, w jakiéjś szczególnéj irrytacji nerwowéj, niekontent z samego siebie, czując cóś nakształt kataru w oczach i w nosie i cóś nakształt palpitacji w sercu, starałem się uspokoić swoję pacjentkę, obiecując częste odwiedziny, a w skutek ich zupełny jéj powrót do zdrowia.

Wróciły dzieci, a ja wkrótce pożegnałem ten cichy domek, choć mi się serdecznie chciało popatrzeć jeszcze na piękną Olesię; ale musiałem śpieszyć do chorego, co mi po dukacie za wizytę płacił.

A jednak Olesia mocno mię zajęła i gdyby nie ona, tobym nie wrócił do choréj, któréj uleczyć nie podobna było, a która nie mogła dostatecznie moich trudów opłacić. Widoczna więc, żem się zakochał, bo już głupstwa robić zaczynałem: miałem leczyć darmo, będąc pewnym, że nie wyleczę; traciłem więc czas i narażałem reputacją. A dawniéj zazwyczaj, gdy mię do podobnych chorych wzywano, to bez ogródek komukolwiek z rodziny oświadczałem, że nie ma co leczyć pacjenta, którego dzień śmierci przepowiedziawszy, odchodziłem z lekkiém sumieniem, z mocném przekonaniem, żem łaskę biédakom wyświadczył, nie narażając ich na daremne wydatki, a razem cieszyłem się serdecznie, że mi się zdarzyła zręczność okazać wielkość mojéj nieomylnéj nauki!... i miałem rozum, a tym razem zgłupiałem!

Nazajutrz odwiedziłem znowu swoją suchotnicę. Jak i dnia poprzedzającego, całą rodzinę zastałem na ganku: Antoś u nóg matczynych, oparłszy książeczkę na jéj kolanach, czytał; Olesia szyła. Brytan mi znowu zagrodził drogę, i powtórzyła się scena wczorajsza.

Powitano mię z niewymówną radością, zwłaszcza Olesia; bo moja pacjentka czuła się zdrówszą, a biédne dziéwczę sądziło, że to w skutek mego lekarstwa! Z pół godziny zeszło mi bardzo przyjemnie na pogadance; bo moje nowe znajome, przy piękném umysłowém ukształceniu, pełne były słodyczy i dowcipu, że nic już nie wspomnę o czarujących wdziękach Olesi. Kiedy je chciałem pożegnać, zatrzymały mię, prosząc na herbatę, i jeszcze z godzinę u nich spędziłem; bo tym razem nie miałem dukatowych wizyt, a zyskiwałem widok Olesi i szklankę herbaty.

Odtąd codziennym stałem się gościem u pani Regentowéj (tak się tytułowała moja pacjentka) i co dzień trafiałem na herbatę, którą bez najmniejszego skrupułu spijałem, jako miljonową cząstkę należnego mi honorarium. Myślałem sobie: nie wielki stąd im uszczerbek, a mnie lepiéj to jak nic, ziarnko do ziarnka zbierze się miarka.

Cała rodzina coraz się mocniéj do mnie przywiązywała, i coraz nowe, drobne na pozór przysługi mi oddając, starała się swą wdzięczność okazać; coraz więc miléj by-

ło mi w tym domku, coraz śmielszém okiem na Olesię patrzałem, któréj wdzięczność najtkliwszą była....

Brytan mię tylko zawzięcie ścigając, gniewał niewymównie, aż w końcu go otruć musiałem; lecz potém żal mi tego było, bo sam sobie przykrość sprawiłem. Był to ulubieniec i pieszczoch domowy; a więc jego strata wszystkich niezmiernie strapiła. Regentowa mocniéj zapadła, Antosiowi oczki zapuchły od płaczu; a biédna Olesia tak zesmutniała, że aż mnie złości brały, spoglądając na nią! I tak kilka wizyt miałem bardzo niemiłych. Dziwne ludziska! tak się do psa przywiązać!... co mi też nagadały o jego zaletach!... ile to wspomnień z nim się łączyło!... dziwne ludziska!... a jednak niedawno, jak mi mojego Brysia wilki porwały, to ja mężczyzna, ja rozumny człowiek, co tak zimném okiem na świat i na uczucia innych patrzałem,— i cóż powiecie? płakałem, moi panowie! płakałem jak dziécko!—Lecz wkrótce trochę zapomniano o stracie i wszystko wróciło do dawnego trybu.

W tym czasie jakiś stary urzędnik, który w domu pani Regentowéj najmował dwa pokoiki, opuścił służbę i wyniósł się na wieś. Dowiedziawszy się o tém, zrobiłem projekt bardzo rozumny. Postanowiłem prosić Regentowę o najęcie mi opuszczonéj kwatery, a myślałem sobie: powinnaby nie żądać odemnie zapłaty, a przynajmniéj wziąć mniéj niż od kogo innego, w ostatecznym zaś razie,

choć to będę miał w zysku, że pod jednym dachem z Olesią zamieszkam.

Kiedy, wybrawszy się z tą propozycją, zbliżyłem się do ganku, nie wiém dla czego przyszły mi na myśl słowa Pisma ś., które tu przy piérwszych odwiedzinach słyszałem:

„Baczcież, a strzeżcie się wszelakiego łakomstwa!“

Zrazu cóś nakształt wstydu w głębi duszy uczułem, lecz wkrótce, dzięki ścisłemu rozumowaniu, uśmiechnąłem się z swego dzieciństwa, i jeszcze bardziéj umocniłem się w swojém przedsięwzięciu, z którego wywnioskowałem oczywistą korzyść dla swéj suchotnicy. I oświadczając jéj swoje żądanie, dodałem, że właściwie mówiąc, czynię to dla ściślejszego jéj dozoru, bo się od innych pacjentów oddalam.

O gdybyście wiedzieli, jaką radością błysły na te słowa oczęta Olesi! jakim uroczym rumieńcem jéj liczko się powlekło! z jaką niespokojnością czekała odpowiedzi matki!... nie dziwilibyście się wcale, iż widząc to, takem był zgłupiał, że gdyby nawet Regentowa podwójnéj ceny za kwaterę chciała, na gorącym razie, na tobym przystał.

Ale rozumowanie moje tym razem mię nie zawiodło. Pani Regentowa, z rozrzewnieniem uściskając dłoń moję, jak o największą łaskę prosiła, bym raczył przyjąć u niéj mieszkanie bezpłatnie, a razem, bym nie wzgardził jéj

chlebem i solą. Z razu nibym się wzdragał, ale spostrzegłszy dwie brylantowe łezki na oczkach Olesi, przesłałem jéj spójrzenie, pełne głębokiéj myśli, i ofiarę przyjąłem.

Nazajutrz installowałem się na swojéj nowéj kwaterze, gdzie prawdziwy raj ziemski znalazłem. Otoczono mię najtkliwszém staraniem, najczulszą opieką, i nie tylko spełniano moje najmniejsze chęci, ale zgadywano najskrytsze myśli. Syn najpoczciwszy u najlepszéj matki nie doznałby tyle troskliwości, ile ja u tych zacnych ludzi. Ale pomijając wszelkie wygódki, ileż to miałem niewymównéj roskoszy!...

Prawda to niezaprzeczona, że i najzimniejsze serce bez powiernika obejść się nie może; bo jeśli nie współczucia, to podziwiania potrzebuje. Otoż ja dotychczas niemiałem nikogo, coby się moim rozumem zachwycał, mojém powodzeniem cieszył, coby łechtał pychę mojego umysłu szczérą admiracją i potakiwał zuchwałym rojeniom moim. Pani Regentowa i Olesia i tę mi roskosz zdarzyły.

A cóż wam mówić o miłości tego anioła?! o tych zachwycających chwilach, opromienionych jéj uroczém spójrzeniem, zaczarowanych harmonją jéj głosku, serdecznym jéj uściskiem, pocałunkiem roskosznym!!... Wszystko to miałem, a jednak serce nie wzięło zupełnéj góry nad głową, nie dało się rozrzewnić błagalném prawie zwie-

rzaniem się matki, domyślającéj się naszéj skłonności, że radaby za życia ustalić los córki i znaleźć dla niéj poczciwego męża, coby też i Antkowi ojca zastąpił; nie usłuchało głosu samego Boga, odrzuciło jego świętą łaskę, gdy tak piękną drogę przed niém otwierał. Bo czyż nie chwalebnie było osłodzić ostatnie chwile męczennicy i biédną jéj dziatwę od straszliwéj klęski samotnego sieroctwa ochronić? I dobrowolnie się tego szczęścia wyrzekłem, gdyż poszepnęła mi głowa, że głupstwo zrobię, gdy się samochcąc w jarzmo zaprzęgę, i na samym wstępie świetną karjerę swoję zagrodzę, skazując się na wieczne trudy i kłopoty.

A więc po roku rajskiego szczęścia, gdy mi ów magnat zrobił propozycją, o któréj wspomniałem, raz w nocy cichaczem wyniosłem się z pod tego dachu, gdzie tyle roskoszy doznałem, a gdzie za parę tygodni miała zawitać śmierć, z nędzą i rozpaczą i z całym swoim okropnym orszakiem.

Cóż moi panowie politycy-filozofowie, czy jest w waszych rozumnych prawach kara za taką zbrodnię? i czy byłem zbrodniarzem w obliczu ludzkiego prawa?

Professora swojego także nie pożegnałem, bo rachunki nasze zupełnie były skończone. A przy tém nie chciało mi się słyszeć zwykłéj jego piosenki, którą od roku ciągle powtarzał: „pojedź do ojca i zapłać mu za straty, które w gospodarstwie przez twą ucieczkę poniósł.“

I sam ja byłem przekonany, że tak zrobić trzeba; ale to odkładałem na potém, gdy większy zapas uzbieram.

Na nowém miejscu praktyka szła mi bardzo szczęśliwie. W kilka miesięcy takiéj nabyłem wziętości, że z najodleglejszych okolic do mnie się po radę chorzy udawali, a wszyscy moi koledzy po prostu w łeb wzięli. Bo też nie oszczędzałem ich wcale, i gdzie tylko mogłem, najsurowszą krytyką ćwiczyłem. Była to podłość nie lada; ale mój rozum i tu mię przed sumïeniem bronił i w maskę szlachetności stroił, dowodząc, że dla dobra społeczeństwa musiałem zdemaskować niecnych szarlatów, co życiem ludzkiém frymarczą. I kilka rodzin pozbawiwszy powszedniego chleba, spałem spokojnie na zdobytych laurach, uchodząc za najpoczciwszego z ludzi! Byli nawet i tacy, co mię litościwym zwali; bo kilka razy jeździłem bezpłatnie o mil kilkanaście, chociaż właściwie nie litość mię wiodła, ale chęć zbadania symptomatów dość rzadkiéj choroby. Jednak bywały zdarzenia, że i bez tego bodźca nie odmawiałem biédnym pomocy, gdy mię pod tę porę bogaci nie potrzebowali. Lecz gdy jednocześnie bogacz i ubogi mię wzywał, choćby piérwszy tylko do pryszcza na nosie, a drugi do krupu jedynego dziecka, bogacz miał zawsze pierwszeństwo. Bo rozumiałem: że biédni, przyzwyczajeni do nędzy wszelkiego rodzaju, łatwiéj znieść mogą najcięższą i moralną i fizyczną boleść, niżeli bogaci najlżejsze cierpienie; prócz

tego wielcy panowie nawet potrzebniejsi są społeczeństwu, niżeli owa chałastra.... A dzięki tym mądrym zasadom, głos wielkich panów, dominujący zwykle w opinji publicznéj, aż pod niebiosa mię wynosił i wszystkim wierzyć kazał, żem nazacniejszy i najlitościwszy w świecie.

W takim stanie rzeczy rychło zebrałem śliczny kapitalik, który się ciągle powiększał i ze stałych dochodów, i z praktyki nieustającéj. Mogłem już, bez najmniejszego prawie uszczerbku, w najszczęśliwszym bycie rodzinę swoję postawić; lecz ona zupełnie wyszła mi z pamięci. A gdy się i przypomniała, jam się jéj zaparł nikczemnie, odtrąciłem żebrzącą litości, i rózga Bożego gniewu chłostać mię wreszcie zaczęła!...

Raz, gdym się zabawiał w salonach mego pryncypała, dano wiedzieć, że jakiś nędzarz, zwąc się moim bratem, chce się widzieć ze mną. Ze zwykłą sobie przytomnością umysłu, ani się zmarszczywszy na przykre uczucie, co mi jak nożem wskróś serce przebodło, rozśmiałem się wesoło, wołając:

„Warjat być musi! ale ciekawym poznać tego braciszka, którego mi Pan Bóg tak niespodzianie z niebios tu zsyła. Niech go zaprowadzą do sali szpitalnéj, ja zaraz przyjdę.“

Wkrótce się udałem do swojéj audjencjonalnéj sali. Brat mój, w szaréj kapocie przepasanéj krajką, w powykrzywianyah i dziurawych bótach na nogach, z borsuczą

torbą na plecach, stał smutny w progu, wsparłszy się na kiju, na którym zawiesił wyszarzaną czapkę. Poznałem go od razu, choć tyle lat zeszło w rozłące, poznałem i po rysach twarzy, i po rodzinném znamieniu, które miał na czole. Byliśmy sam na sam. Gniewném spójrzeniem na pokłon jego odpowiedziawszy, spytałem: czegoby żądał?

On się wpatrzywszy we mnie osłupiałym wzrokiem: —„Julusiu!— jęknął ze łkaniem, i rzuciwszy kij swój na ziemię, padł mi na piersi, zachodząc się od płaczu.

Odtrąciłem go z gniewem, i powtórzyć nie zdołam owego potoku najdotkliwszych wyrzutów, jakiemi go, wściekły ze złości, obsypałem. A on stał, załamawszy ręce, w niewymównéj boleści, i rzewnie łkając, nieruchomych, błagających oczu nie zwodził ze mnie.

— Julusiu!— wyjąkał wreszcie, — daruj mi! daruj! to nie ze złego serca, to prosto z głupoty wstyd tobie zrobiłem! Sam nie wiém, jak się to stało, że się twym bratem przed ludźmi nazwałem! Bo gdzież mi do ciebie! Ale już nigdy tego nie powtórzę, samemu sobie nie powiem, chyba tylko Bogu, modląc się za ciebie!... Jabym tu nawet nie przyszedł, ale bo widzicie... ojciec się zapisał w jenodworcy, i ot niedawno hołowa nam powiedział, że na przyszły nabor oczered' na mnie przypada, boć to Jędrzej hołową, a on, jak wiécie, zdawna z tatusiem w przyjaźni, — to go i ostrzegał, że-

by cóś pomyślał, żeby się dla mnie zastępcy wystarał. Ot się tatuś dowiedział przez księdza proboszcza od tego pana, co to was był zabrał, kędy was szukać, i posłał mię tu do was, czy nie poratujecie nas jakim groszem? Ale to tak wiele na ten interes potrzeba, że i wymówić straszno! 2000 złotych!! Może wy i sami tyle nie macie?! ale gdybyście mieli, gdybyście dali, to ucałowawszy wasze drogie stopy, poszedłbym sobie natychmiast, błogosławiąc was i modląc się za was, póki życia stanie."

Szczérze wyznaję, że ta głęboka boleść mego prostodusznego brata trochę mię wzruszyła, i gdyby on nie był mym bratem, albo gdybym ja mniéj miał rozumu, tobym mu dopomógł: a tak odszedł tylko z rozpaczą i łzami! Nic nie dałem, bo mi to na rękę było, że go wziąć mieli w rekruty; bo mi rodzina moja wadziła na świecie, przypominając ludziom moje pochodzenie i wstyd mi przynosząc. Myślałem tedy: jak go wykupię, to temu końca nie będzie, bo w lada kłopocie w imię braterstwa do mnie się przywlecze. A jak zostanie sołdatem, jak zajdzie gdzieś na kraj świata, to już nazawsze spokojnym będę, bo staremu ojcu nie długo już tu p.-pasać. Prócz tego, czemużby on miał się uchylać od służby publicznéj, do któréj go prawo obowiązuje? i kiedy inni temu uledz muszą, dla czego on ma wyjątek sta-

nowić? A więc nie powinienem pomagać mu w tym razie, bo się do bezprawia przyczynię.

I brat mój poszedł w rekruty, a stary ojciec sam jeden w walącéj się chacie pozostał!

A za tę drugą najczarniejszą zbrodnię, czy można mię było w obliczu rozumu do sądu pociągnąć? Nie, moi panowie! ludzkie rozumne prawa ukarać mię za to nie mogły, i Bóg to wziął na siebie.

W parę tygodni po tém zdarzeniu, w przyległém miasteczku, gdzie miałem kilkunastu przyjezdnych pacjentów, jednego dnia umarło czterech, i to takich, o których rychłém wyzdrowieniu wszystkich zapewniałem. Na pozór nic w tém nadzwyczajnego nie było, bo każdy z tych konwalescentów dał sobie powód do zgubnéj recydywy: jeden się przeziębił, drugi nie zachował przepisanéj djety, trzeci to, czwarty owo; słowem, stało się to bardzo naturalnie, ale moi koledzy, których tak nielitościwie zabijałem w opinji publicznéj, skwapliwie pochwycili tę okoliczność, by mi z naddatkiem odpłacić. Łatwo znaleźli ucho u strapionych krewnych, zwłaszcza u pokrzywdzonych testamentami, i daléjże góry na mnie walić, i trąbić na cztéry wiatry o mojém niepowodzeniu!

Ja się uśmiéchałem z pogardą na te pociski, bo wtedy i na myśl mi nie przychodziło, że to Boża ręka kieruje niemi, ale w kilka miesięcy znowu kilkunastu chorych, za moim pasportem, na tamten świat się wynios-

ło. Coraz więc straszliwiéj szarpano mą sławę, i coraz gorzej szły mi interesa. Coraz mniéj miałem pacjentów, a kto się tylko do mnie udał po radę, niebawem do wieczności się przenosił. Zdawało się, że każde lekarstwo przezemnie podane, trucizną się stawało! Nie zdołam wyrazić, jak mię to jątrzyło! tém bardziéj, że po najściślejszém zbadaniu przyczyn, musiałem się prawie zawsze przyznać przed sobą, żem się omylił w zdeterminowaniu choroby, i nie tak ją traktował, jak było potrzeba!

Na dobitkę, jedynak mego pryncypała, jedénastoletni chłopak, z obżarstwa dostał niestrawności, i ni z tego ni z owego podziękował mi za opiekę, i ruszył ad patres!

To mnie dobiło. Żal nie zna miary, a przy tém, straciwszy najdroższego jedynaka, i słysząc jeszcze kilkunastu lekarzy wołających: „zabity! zabity!“ można się unieść, można się zapomnieć! Wypędzono mię tedy nie tylko z domu, lecz i z okolicy. Nie koniec na tém, posunięto zemstę aż do podłości, bo mi zatrzymano trzyletnią gażę z procentami. Nic nie pomógł kontrakt najformalniejszy, jeszcze mię nawet potępił: bo się obowiązałem dwa razy na tydzień objeżdżać wszystkie włości mego pryncypała, a świadkowie zeznali, że i raz w miesiąc tego nie czyniłem; obowiązałem się usposobić trzech cyrulików, i usposobiłem, ale im kazano nie umiéć nic wcale! Rzuciłem się na proces, bo w za-

wziętości zgłupiałem, a raczéj według przysłowia, Bóg chcąc mię ukarać, odebrał mi ten rozum, z którego tak się pyszniłem. A że pryncypałowi memu nie szło o pieniądze, lecz tylko o zemstę, wygrał więc sprawę i jeszcze aktorat ze mnie złupił!

Zebrawszy tedy resztki niegdyś ogromnego kapitału, przeniosłem się w te strony, jako najodleglejsze od miejsc, nieszczęściem i hańbą moją wsławionych.

Leki i tutaj mi się nie wiodło, i sumienie groźnym wołało głosem, bym praktyki zaprzestał; ale rozum stać kazał przy swojém. Jednak, gdy medycyna nie wielki czyniła mi dochód, postanowiłem jeszcze spekulować. Nająłem sobie obszerny folwark w prześlicznéj a żyznéj naddniestrzańskiéj okolicy, i w złotodajnym pszenicznym kraju zostałem rolnikiem. Mając łąki dostatek, kupiłem kilkanaście par wołów, tak do uprawy gruntów, jak i do wynajęcia pod Odeski transport; a również zaprowadziłem, nie wielką wprawdzie, ale najlepszéj rasy owczarnię; liczna zaś pasieka i piękne sady dopełniały reszty mego gospodarstwa. Prócz tego urządziłem kąpiele Pryśnica, które ściągały wielu amatorów; bo latem w moim folwarczku prawdziwie rajskie życie było! Okolica urocza, przechadzki czarujące, nabiał przewyborny, szparagi, ogórki, sałata, kurczęta, jagody i owoce wszelkiego rodzaju, od prostych czereśni do najpyszniejszych brzoskwiń, i miód białuchny z balsamiczną wonią, pra-

wie tak dobry, jak litewski lipiec, wszystko to było na zawołanie, a kąpiel, czy pod t u s z ą, czy w rzece, taka roskoszna, że się i nasycić trudno! Nie koniec na tém: prenumerowałem kilka dzienników, nająłem trzech wędrownych muzykantów, urządziłem bilar, miałem kawę, lody i różne chłodniki, a nawet na tę porę trzymałem kilka doskonałych wierzchowców. Calutkie więc lato mój szpital brzmiał wesołą wrzawą szczęśliwych pacjentów, których kuracja majowa nieraz aż do września trwała.

W takim stanie rzeczy potrzebowałem gospodyni, i prędko ją znalazłem. Była to osoba nie młoda i wcale nie ładna; ale cicha, łagodna, dobra, a co ważniejsza, mieszkając przy bogatych krewnych i rządząc ich domem jak ochmistrzyni, znała się na gospodarstwie; a co najważniejsza, miała kilka tysięcy rubli posagu. Łatwo mi było podobać się biednéj dziewczynie, która może nigdy tkliwego słówka nie słyszała, i z sercem zimném, jak marmurowa tablica artymetyczna, stanąłem wkrótce przed ołtarzem.

Trzy lata zbiegły niepostrzeżone w najzupełniejszém szczęściu. Wszystko mi sprzyjało: rola rodziła obficie, pasieka i owczarnia wiodły się wybornie, handeł pszenicą, wełną i miodem szedł najkorzystniéj, kąpiele ogromny zysk mi dawały, praktyka lekarska znów poszła szczęśliwie; a żona, kochająca mię do ubóstwienia, nie miała

innéj myśli i chęci, jak tylko moje myśli i chęci zgadywać i uprzedzać, a dwoje ślicznych dziateczek, miłym szczebiotém ożywiając mój domek, napełniały mi serce nieznaną dotąd roskoszą. Bóg litościwy, spełniając wszystkie moje życzenia, probował, czy kiedykolwiek będę miał zadość? czy też zobaczę Jego świętą rękę w tych darach? i czy przyjdzie mi na myśl podzielić się niemi z swym bliźnim? Niestety! jam wszędy widział swój rozum, zwąc nieszczęśliwych głupcami, a w przekonaniu, żem wszystko sam sobie winien, nie czułem obowiązku dopomagać innym. Miłość zaś bliźniego zasadzałem nie na tém, by drugiemu czynić to, czegobym dla siebie życzył; lecz tylko na tém, by mu nie czynić tego, co mi nie miło; — dobroczynność nie na tém, by swoje oddawać, lecz tylko na tém, by nic nikomu nie odbierać. Ofiary nie znałem wcale, bo rozum mię uczył, że to ostatnie głupstwo; bo dopomagać biedniejszym według możności, to znaczy ze wszystkiego się wyzuć. Bo mając np. sto złotych, jeślim obowiązany jeden z nich oddać bliźniemu, to i z 99 setną część takoż ofiarować muszę, i tak bez końca, aż póki sam z niczém nie pozostanę. A nawet i wtedy, według tych mądrych maksym postępując, pozbywszy się wszystkiego i mając tylko pracę, jeszczebym powinien dopomagać temu, kto i chleba nie ma, i pracować nie może. Nie życząc sobie dójść do téj ostateczności, nikomu nigdy nic nie dałem; a mieni-

łem się najpoczciwszym z ludzi dla tego tylko, żem nic nikomu nie wydarł, nikogo nie oszukał, słowa nie złamał, sługi nie skrzywdził, słowem żadnéj powinności nie chybił ; a nie chciałem wierzyć, że w tém tylko zasługa, co człek nad powinność, w ludzkiém znaczeniu braną, uczyni, że cnota w uczuciu, a nie w rachubie ! A gdy mię rozumowanie w takie ciemności zawiodło, Bóg mię błyskiem piorunu oświecił.

Czwartego roku zaraza wybiła mi owce i woły, i połowa pasieki wymarła, piątego zatonęły galary z pszenicą, zginęła reszta pasieki, grady oziminę zniszczyły, a w praktyce lekarskiéj zaowu zabijać zacząłem, i to od własnego najmilszego dziecka ! Słowem, jak dawniéj wszystko się wiodło, tak teraz na każdym kroku fatalność mię jakaś ścigała !

Poczciwa moja żona, widząc we wszystkiém wolę Pana Boga, znosiła te ciosy z rezygnacją prawdziwie chrześciańską, w modlitwie tylko szukając pociechy. A jeśli się trapiła, to nie poniesionemi stratami, tylko opłakanym stanem méj duszy: bo zimny mój rozum nie umiał zachować stoickiéj powagi, lecz miotał się i zżymał w ciągłych przeciwnościach. Pyszny wielkością swoją, ufny w swoje siły, cierpiał piekielne katusze, widząc, że wszystkie jego zabiegi, wszystkie najlogiczniejsze wysiłki dawniejszego szczęścia sprowadzić nie mogły !... I w dzikiéj rospaczy chodziłem jak obłąkany. A gdy się zda-

rzyła jaśniejsza chwila, to żona ostróżnie, trwożliwie, starała się myśl moję obrócić ku Bogu i skłonić mię do szukania pociechy w modlitwie. Ja się uśmiechałem szyderczo, jak pan Teodor przed chwilą, dowodząc, że modlitwa na nic się nie zdała ; bo Pan Bóg, obdarzywszy człeka rozumem i wolną wolą, już się w jego sprawy nie miesza!... Ona w boleśnem zażaleniu czasem się odważała przypomnieć mi karę za grzechy. Ja odpowiadałem, że kara nie od Boga, ale od nas samych pochodzi; że jéj ulegamy wtedy, kiedy nas własne przekonanie potępia, ja zaś nic sobie zarzucić nie mogę.— Żona płakała i modliła się znowu, szukając pomocy u Boga ; a ja się gryzłem i jątrzyłem, domagając się jéj u własnego rozumu.

Jednak bywały chwile, gdy myśl o karze Boskiéj pomimo woli wdzierała mi się do głowy, stawiąc mi przed oczy i biédną moją rodzinę, i biédną Olesię, i wszystkich odepchniętych nielitościwie od mojego serca zimną wolą rozumu. Wtedy, zamiast skruchy, jakaś mię wściekłość porywała ! i zamiast cobym miał zniżyć w pokorze swoje pyszne czoło, wzniosłem je zuchwale, wyzywając do walki swego Stworzyciela bluźnierstwem i niewiarą !... I usłuchał mię groźny przeciwnik!... lecz nim rzucił piorun w potępioną głowę, jeszcze ostrzegał, jeszcze, nieprzebrany w dobroci, jako równemu, jak bratu, podawał świętą swą prawicę na znak pojednania, lecz ja szalony odepchnąłem ją z pogardą ! !...

Tyle tu okropnych, nieprawdopodobnych wypadków się gromadzi, żeście mię gotowi o fałsz posądzić, i boleśne dzieje mojego żywota, wziąć za niezgrabną jakąś jezuicką powiastkę; ale niestety, wszystko to prawda, o! straszliwa prawda!

Raz, pod koniec lata, właśnie po owéj klęsce gradobicia, wracałem z pola wieczorem, smutny i gniewny, bo na dwa wozy cały plon zabrano, aż oto w dąbrowie zastąpił mi drogę jakiś.... co tam jakiś! — po prostu brat mój rodzony, w sołdackiéj staréj szynieli, kulawy, jednooki, nędzny, aż przykro patrzeć!

Tym razem bez łez i uniesień, bez prostaczéj trwogi, zbliżył się do mnie, i ujmując za rękę, rzekł mi drżącym wprawdzie głosem:

—Jak się masz bracie! teraz nie zrobiłem ci wstydu, nie byłem w twoim folwarku i nie nazwałem się twym bratem przed twoją żoną; powinieneś mi za to ślicznie podziękować! Gdybym był zdolny do pracy, tobym poprzestał na prostém Bóg zapłać; ale nędzny kaleka więcéj potrzebuje. Oto miły bracie, daj mi chléb łaskawy u siebie; weź mię na jakiego stróża, czy do pasieki, czy do sadu; a ja ci poczciwie, po bratersku służyć będę, i nikomu nie powiém, że jestem twym bratem. Nie prosiłbym ciebie o tę łaskę, gdyby nie to, żem nie tylko ojca, ale nawet śladu po jego chacie nie znalazł w naszym zaścianku!... Sam powiadają, poszedł

po żebraninie, grunt mu odebrali, bo czynszu nie miał czém płacić; a starą chatę zwalili! A ja mam taką głupią naturę, że nabiedowawszy się do syta pomiędzy cudzymi, chcę przynajmniéj skonać przy swoich! Oj nie mało też świata za tém schodziłem!... byłem aż na Rusi, szukając ciebie, i tam mi poradzili, kędy się udać. Pozwólże teraz mojéj biédnéj nodze odpocząć; a jak ci wstyd człowieka, to może wyczytasz w twoich mądrych książkach jaki czarodziejski sposób, żeby mię w psa obrócić: ja ci i za to nogi lizać będę, bylebyś mi pozwolił pozostać przy sobie.“

—Nie znam cię,—rzekłem,— i nie rozumiem twéj mowy, biédny człowiecze!

Dwie łzy bujne wybiegły mu na ogorzałe lice, upuścił mą rękę, westchnął, zachwiał smutnie głową, i spójrzawszy ku Niebu, powlekł się daléj nieborak.

W kilka dni potém wezwano mię do jakiegoś pana w sąsiedztwie, który niedawno przybył w nasze okolice, sądząc, że zmiana miejsca uleczy jego małżonkę.

Wybrałem się jednokonną linijką. Może o milę od domu, gdy, puściwszy stępo znużonego konia, w zamyśleniu nie zważałem co się w koło dzieje, nagle posłyszałem jakiś głos jękliwy:

— „Oj dobry panie! na miłość Boga! podwieźcie mię do wioski, żebym tu w lesie nie umarł!“

Spójrzałem: przy drodze, oparty o zwalone drzewo, leżał stary żebrak, którego oblicze przypomniało mi kogoś, jak gdyby z sennych widziadeł.... Naturalnie, żem udał głuchego, i zaciąwszy konia, umknął czém prędzéj. Bo jużciż głupstwobym zrobił, gdybym się wcził z jakimś włóczęgą, A jadąc z jednym, gdybym spotkał drugiego, to raz już puściwszy się na filantropją, musiałbym sam iść piechotą, by i tego podwieźć; a jakby poszło na szczęście, to trzeciego niósłbym na plecach!...

W takich dowcipnych rozmysłach stanąłem u celu swojéj podróży. Dwór wcale porządny i znać, że dostatni; ale pustką trąci, i ze wszystkiego widać, że długo był niezamieszkany i że niedawno się zaludnił. Oddawszy konia jakiemuś kozakowi, wszedłem do domu.

Przedpokój pusty, piérwszy pokój także; lecz obłoki dymu cygarowego świadczą o sąsiedztwie ludzi. I w saméj rzeczy, w trzecim znalazłem dwóch mi znajomych lekarzy, grających w preferansa z jakimś zgrzybiałym, trzęsącym się, obrzydliwym starcem, który był gospodarzem domu, a mężem choréj.

Jeden z doktorów rzekł mi po łacinie, że mię wezwano na konsyljum, ale właściwie tylko dla formy; bo choréj nic już nie trzeba prócz gromnicy w ręce, gdyż najdaléj o świcie suchoty zabiorą swoją ofiarę.

Po kilku ceremonjalnych słowach, szanowny gospodarz zaprosił mię do pacjentki, a przeprowadziwszy przez

kilka pustych pokojów, ukazał mi drzwi zamknięte i wrócił do preferansa.

Z jakiémś niezwykłém wzruszeniem duszy wszedłem do sypialni; ale zaledwie spójrzałem na chorą, pociemniało mi w oczach, zaszumiało w uszach, i serce piérwszy raz w życiu serdecznym ścisnęło się bolem, piérwszy raz w życiu gorzkie, palące łzy na twarz wybiegły !... była to Olesia ! !... Oparłem się o ścianę, bo czułem, jak nógi pode mną się chwiały, i w nieméj boleści, załamawszy ręce zdrętwiałe, oczu od konającéj oderwać nie mogłem !

I stanął mi w myśli ów uroczy dworek, i poczciwa matka w starym fotelu, i mała dziecinka tuląca się u nóg jéj z pieszczotą, i anioł-dziewica, anioł mego raju ziemskiego, wołająca Bożą przestrogę:

„Baczcież, a strzeżcie się wszelakiego łakomstwa!“

Wynędzniała, blada jak marmur, z posiniałemi ustami, z wyrazem straszliwéj boleści na czole jakby zamyśloném, leżała biedna suchotnica, opuszczona od wszystkich, a osłupiałe, szeroko rozwarte oczy, a oddech ciężki i prędki, i konwulsyjne rąk poruszenia, okropną zwiastowały prawdę! Ach! już te oczy w oblicze anioła śmierci tak się wpatrują, te ręce za jego uściskiem gonią, a te usteczka pod jego to pocałunkiem zsiniały!.... O, nie tak to było, nie tak! w owych czarodziejskich dniach naszéj miłości!!

Drzwi się przeciwległe zwolna rozwarły, i cichuteńko, na palcach, wszedł dwunastoletni chłopak z flaszeczką jakiejś mixtury. Spójrzał na mnie zdziwionym wzrokiem, żywy rumieniec oblał mu wybladłe lice, oczy łzami zabłysły.

—„Olesiu!—krzyknął,—pan Juljan!“ Chora zerwała się na łożu, skrzyżowała ręce na piersiach, spójrzała na mnie, i z rzewliwym, boleśnym jękiem upadła na pościel... i zgasły széroko rozwarte oczy, a jęk się skończył długiém, okropném, chrypliwém westchnieniem!..

Porwałem się jak obłąkany, i nic nie widząc prócz tych osłupiałych oczu, i nic nie słysząc prócz jéj ostatniego tchnienia, wybiegłem z tego przeklętego domu, rzuciłem się na drążki i ćwicząc biednego konia, pędziłem galopem jak gdyby śmierć za mną goniła!

Śród lasu nagle koń rzucił się w stronę, i zaczepiwszy osią o drzewo, stanął, parskając i słupiąc się z trwogą.

Na drodze leżał ów żebrak, którego podwieźć nie chciałem; leżał bez duszy, twarzą ku niebu, a na rozwartych oczach tlały dwie łzy bujne. A wiecież kto był ten żebrak?—Był to.....mój rodzony ojciec!....

Cóż uczyniłem? jak się wam zdaje? naturalnie, że uspokoiwszy konia, odplątawszy linijkę, ruszyłem daléj, szczęśliwie rzuciwszy trupa na drodze. Bo głowa mi rzekła, że umarłemu kadzidło nic nie pomoże, a wziąwszy zwłoki do domu, biedę sobie napy-

tam i śledztwo sprowadzę, które niemało mi grosza wyciągnie.

Nazajutrz wezwany przez Stanowego, przewodniczyłem exenterowaniu znalezionego trupa,—zimny jak nóż chirurga, co płatał piersi mego rodzonego ojca, jak piła, co jego czaszkę krajała!

Zimny!.... zimny na pozór, bo od śmierci Olesi całe piekło w mém sercu wrzało! Ale, szalony, jużem stanął do boju z Bogiem! jużem się nie zapierał, że widzę Jego karzącą rękę, ale postanowiłem nie zgiąć pod nią czoła!

W powrócie do domu już późnym wieczorem, zaskoczyła mię w połowie drogi straszliwa burza. I niebo i ziemia gorzały od błysków, od gromów się trzęsły, a wicher drzewa wyrywał z korzeniem i zdzierał strzechy z chatek wieśniaczych.

Nie mając gdzie się przytulić, jechałem daléj powolnym krokiem, bo dészcz zalewał mi oczy, a wiatr prawie obalał konia. Już byłem niedaleko swego folwarku, gdy błysk okropny oślepił mię prawie, i w téjże chwili, ogłuszony, runąłem z koniem na ziemię.

Gdy się podniosłem i przetarłem oczy, zgrzytnąłem z dzikim jękiem zębami, i jak szalony pędziłem pieszo do swego folwarku, bo dach swego domu spostrzegłem cały w płomieniach, a koń powstać nie mógł!

Przybiegłem. Czeladź, załamując ręce i wrzeszcząc w niebogłosy, snuła się w krąg domu, a nikt nie ratował, bo się nie godzi gasić piorunowego pożaru !... Żony ani dziecka na dworze nie było !... rzuciłem się w płomień i po gorejących wschodach wbiegłem na drugie piętro, by się do swego gabinetu dostać, gdzie leżał cały mój kapitał — w papierach ! lecz tam już wszystko ogień ogarnął ! Chciałem wracać nazad, płomień mi drogę zagrodził! Nieprzytomny sobie przypadłem do okna, wyparłem je pięściami, i zapomniawszy, że stoję na piętrze, skoczyłem....

Kiedy odzyskałem zmysły, ujrzałem się w chłopskiéj chacie, a przy mnie siedział brat mój poczciwy, płacząc gorzkiemi łzami....

Cóż wam mówić daléj ? straciłem wszystko : i żonę, i dziecko, i pieniądze, a zyskałem tylko kalectwo, bo w szalonym skoku połamałem nogi, wybiłem oko, i powykręcałem ręce !...

Kilka miesięcy przeleżałem w najokropniejszych męczarniach duszy i ciała ; a brat mój, po dwakroć odtrącony nikczemnie, nieodstępnie czuwał przy mojém łożu, strzegąc mnie, jak najtkliwsza matka strzeże drogiego dziecka.

Gdy wreszcie ustały bole, gdy czarna rozpacz nieco przycichła i wróciła rozwaga, przebiegając myślą całe moje życie, i zastanawiając się nad smutnym obecnym

stanem, musiałem wyznać przed sobą, że główną przyczyną wszystkich cierpień moich był rozum, nie oparty na wierzącém sercu, rozum ubóstwiony, z którym dziś zginąłbym w ostatniéj nędzy, gdyby nie ludzkie serce prostodusznego brata mojego, który mię czynem nauczył, że nie każdy w drugich siebie jedynie kocha, i dał mi poznać wielkość i świętość ofiary! Przekląłem więc ten nieszczęsny rozum, i z pokorném sercem upadłem na twarz przed miłosiernym Bogiem, żebrząc, by mię swą łaską oświecił, i uczułem święty głos w duszy: „pokuta!“ Pyszny i nielitościwy, postanowiłem w pokorze wzywać ludzkiéj litości; a modlitwa, którą niepotrzebną zwałem, z któréj nie szukałem nigdy pociechy w strapieniu, dzisiej mi daje ten chleb powszedni, co mię przy życiu trzyma! Ale, niestety, i dzisiaj dusza z niéj pociechy nie ma! wiara, zabita rozumowaniem, dotąd nie zmartwychwstała!

Bratu mojemu jakiś pan poczciwy dał tutaj służbę w pasiece, a on i mnie przyjął do swéj budy i dzieli się ze mną swą szatą i strawą, i biédny kaleka niańczy biédniejszego niedołęgę!

Otoż i wszystko: a teraz bądźcie mi zdrowi i zachowajcie w pamięci smutne dzieje mojego żywota. Dobra noc! a jak się kto pościele, tak się wyśpi.“

Rozesłaliśmy burki, wzięli tłómoczki pod głowy i ze znamieniem krzyża ś. wkrótce zasnęli, tylko Teodor długo się kręcił i przewracał, lecz pewno to komary spać mu nie dawały, a nie powieść żebraka, o któréj mówił nazajutrz, że jest najgłupszą apologją głupoty! Sądzę, że wiele czytelników moich to samo powtórzy, ale się pocieszam błogą nadzieją, że choć kilku znajdzie się takich, co zawołają z poetą:

Ejże! źle im bez serca!...

1852, Maj. Szpiczyńce.

# ŻUKOWY BOREK.

# ŻUKOWY BOREK

W. SYROKOMLI.

Odpowiedź na Gawędę „O moim domku."

---

Ej nad rzeką, nad głęboką,
Ponad sławnym Niemnem rzeką,
Od twéj chatki niedaleko,
Przed tą górą, przed wysoką,
Coś ją wspomniał Władysławie,
Przy rzeczułce i przy stawie,
Wkoło wodą otoczony,
Żółtym piaskiem wysypany,
Dla mnie miły, tobie znany,
Jest ostrowek.
Z jednéj strony

Siną falą stawek błyska ;
A do stawku przez bagniska,
Strojne w smołki i kosacze,
Bystréj rzeczki bieży woda ;
Nad nią smutna wierzba płacze,
W chmiel się stroi brzoza młoda,
W koralowy sznur kalina.
Daléj mostek obok młyna,
Który z łaski chleba, kaszy,
Szumem, hukiem i turkotem
Biedną dziatwę wiecznie straszy.
Z drugiéj strony, za Niemnową
Bystrą falą kryształową,
Gdzie granica dla spójrzenia,
Tam krajami nad wzgórkami
Niebios wsparły się sklepienia.
Na te wzgórki patrząc zdala,
Rzekłbyś, że tam morska fala,
Wnosząc grzbiety zapienione,
Tłucze w starych baszt zwaliska,
Mchem i cząbrem uwieńczone.
Z trzeciéj strony dzikie bory,
Stare dęby, jodły, chwoje,
Wiodą gwarne rozhowory,
Wspominają przeszłość swoję,
Wspominają czasy dawne,

Gdy nie znały czém topory,
Gdy ich strzegły bogi sławne;
A lud sławny, ich konary
Czcił, jak ołtarz swojéj wiary.
Z brzegu boru, w sinéj dali
Czy nie Bozi dwaj Anieli,
W czystém polu stoją w bieli,
A nad każdym się z nich pali
Złota gwiazdka? — Nie Anioły,
Nie, to stoją dwa kościoły; (*)
A te gwiazdki, te płomyki,
To nad niemi dwa krzyżyki
W słońcu błyszczą.
Z czwartéj strony
Leżą łąki i ostrowy,
Białe piaski i zagony,
I gaiki i dąbrowy,
I jeziorka... coraz nowy,
Zawsze miły widok oku,
Pełny krasy i uroku!
A przez gaik i przez niwę,
Czarną rolą, białym piaskiem,
Idzie dróżka krętym paskiem.

---

(*) W Stolpcach i w Swierżniu przyległych sobie, a od Żukowego-Borku o wiorst dziesięć położonych.

Ach! gdzież owe dni szczęśliwe,
Kiedym deptał tę drożynę,
Po jagody, po zwierzynę,
I po ryby, i po grzyby,
I do ciebie na gościnę?!
Gdzież dni owe? gdzie czas błogi?
Ach, przeminął! ach, zaginął!
Jak na dróżce ślad méj nogi,
Jak ślad wiosła na jeziorze!...
Na ostrowku, domek Boży
Na piaszczystym wzgórku stoi:
Mech schylone ściany stroi
I słomianą nizką strzechę....
O, ubogi domek Boży!
Jednak, z wiarą i pokorą,
Pokrzepienie i pociechę
Biedni ludzie i tu biorą;
Gdyż Bóg dobry promień łaski
I pod nizką zeszle strzechę,
Byle z wiarą a pokorą
Człek Go błagał o pociechę.
A dokoła piaski, piaski!
Naga, sucha ziemia wszystka,
Nigdzie trawki, ani listka!
Szare głazy z krzyżykami
Smutne stoją nad grobami,

Deska trumny nadpróchniała,
Lub kość z piasku sterczy biała.
Tylko jeden krzyż wyniosły
Stroją cztéry młode brzozki.
Jakże one tu wyrosły?
O, istotnie to cud Boski!
Spytaj ludzi, rzekną tobie
Biédna matka je sadziła,
Na dzieciny lubéj grobie,
Łzami swemi je poiła;
To i nie dziw, że wyrosły
Tak wysoko cztéry brzozki!
Do kościołka cztéry drogi,
Każda z innéj wiedzie strony:
Jedną chodzi lud ubogi,
Z poza rzeki, z małéj wioski.
Kiedy idzie tu w niedzielę,
To na chrzciny, na wesele;
Kiedy idzie w dzień roboczy
To łza gorzka gryzie oczy,
Ach, to boleść serce toczy!...
Drugą dróżką, z kijem w dłoni,
Stary dziadek, w wieczor, z rana,
Zwolna dąży do kościoła,
Szepcąc pacierz, w dzwonek dzwoni
I na modły ludzi woła.

Trzecia droga od plebana
W żółtym piasku wydeptana.
Czwarta dróżka, z za parkana
Tu wybiega furtką małą....
Co mi serce tak zadrżało?
Co mi oko tak się łzawi?...
Ach! bo, drogi Władysławie,
Tym parkanem otoczony
Mój roskoszny raj stracony!
Wieczny, wieczny z nim mi przedział,
Choć Bóg winy nie powiedział!
Myśl ma próżno się mozoli,
Próżno szuka, co mą winą?
A mnie tylko serce boli,
Tylko gorzkie łzy z ócz płyną!
Ach! bo drogi duszy bracie!
Jak ten dąb przy naszéj chacie
Duch i ciało wziął z téj roli,
Tak ja duszą, tak ja z ciałem
Ztąd wyrosłem. Bo ta gleba
Krew i kości dała moje,
Myśli moje, uczuć roje,
Bóg mój wielki z tego Nieba!
Niechże burza swém ramieniem
Cios wymierzy w dąb ten hoży,
To go wyrwie wnet z korzeniem,

I obali, i umorzy.
Minie dzionek, tydzień minie,
Zwiędną listki, wyschną potém
Potém wicher po dolinie
Porozprasza je przelotem.
O, zazdroszczę jego doli!
Ach! i do mnie burze biegły,
By mię porwać w świat rozległy;
Ale serce na téj roli
Tak się bujnie rozkrzewiło,
Tak się mocno wkorzeniło,
Że sposobu na nie niema!
Gdzie chcą, niech mnie wleką burze,
Sieć korzonków wciąż się trzyma
Przy rodzinnéj drogiéj stronie;
Ale duch się miota w łonie,
Jak męczennik na torturze!
Bo ta cała droga strona
Przyjaciółmi najlepszymi
Tak bogato zaludniona,
Że nie sposób myśli zwrócić,
Że nie sposób okiem rzucić,
By nie spotkać się wnet z nimi!
Wszystkich kmieci téj wiosczyny
Znam i z serca, i z postaci,
Jakby byli z méj rodziny...

I nie tylko ludzi braci:
Wiém gdzie jaki zwierz się chroni,
Jaka rybka w jakiéj toni,
Gdzie swe gniazdo wiją ptaki,
Gdzie rozkwita kwiatek jaki,
Gdzie grzyb jaki, gdzie jagoda,
Gdzie najczystsza w źródle woda,
Z jakim wiatrem, z jakiéj strony
Idzie burza i pogoda;
Bom tu z wszystkiém spokrewiony,
Bo mi matką ta przyroda!
Cóż więc teraz ta zagroda,
Z swym dziedzińcem i swym sadem
I z bocianiém gniazdem swojém,
Z jaskółeczek chyżém stadem,
I z gołąbków białym rojem?
Cóż więc ona? czyliż duszy
Aż do krwawych łez nie wzruszy?
Patrz, patrz, bracie ukochany!
Patrz na domku szare ściany:
Widzisz z jakim smutkiem rzewnym
Ku nam patrzą okienkami!
Tęsknią za mną, jestem pewnym...
Wietrzyk wzdycha pod świerkami,
Smutnie szumi trawa sucha,
I gołąbek smutnie grucha,

I pies dziko wyje w budzie....
A czy pomnisz, jak bywało
Wszystko rajskiém szczęściem grało?
Chodź do chaty!... ach, stój bracie
Inne czasy, inni ludzie,
Gospodarze nie ci sami;
Cudzy człowiek dziś w téj chacie
Może zamknąć drzwi przed nami!...
Chodź do serca, do mojego!
Nie mam domku dziś takiego,
Gdziebym cię, jak przed latami,
Z otwartemi ramionami,
Z jasném licem spotkał w progu
I uścisnął czule, szczerze;
Lecz mam serce, dzięki Bogu!
Los mi serca nie odbierze,
A jak z dawném sercem zajdziesz,
Dawny domek w sercu znajdziesz.
Oto sieni; z nich na prawo
Piérwszy pokój,— to dziecinny,—
Witam go źrzenicą łzawą!...
Tu mi przewiał wiek niewinny,
Jak kadzideł wonne dymy.
Tylem wspomnień tu zostawił!
Tum się uczył, tum się bawił,
Tu kleciłem piérwsze rymy;

Tu pieszczoty ojca, mamy,
Z braćmi zwady i pustoty....
Czasie błogi, czasie złoty!
Czemuś dzisiaj nie ten samy?
Idźmy daléj, prosto drzwiami;
To bawialny: białe ściany,
Jasne okna z firankami,
I jedlinką wysypany.
Tu, gdy z gośćmi Pan Bóg zdarzy
Radość sercu gospodarzy,
Ile ruchu, wrzawy ile!
Ach, jak chyżo lecą chwile!
Przy krupniczku gwarzą starzy,
Ej a młodzi!... młodzi... młodzi...
Dość, dość! oko łzą zachodzi!
Idźmy daléj. Z lewéj ręki
Pokoiczek jest maleńki:
Tu rodziców stoją łoża,
Biały stolik pod oknami,
Zarzucony papierami;
A nad oknem Matka Boża.
Bracie! klęknij ze mną razem
Przed cudownym tym obrazem;
A gdy w duszy twojéj troska,
Gdy łza gorzka gryzie oko:
Jak cierń wyjmie troskę z duszy,

Ranę zgoi ci głęboką,
I pociechą łzę osuszy
Przenajświętsza Matka Boska.
Wszakże znasz tych dwoje ludzi,
Których drogie mi wspomnienie
Cześć głęboką w sercu budzi
I uświęca to schronienie,
Gdzie tak wiele dni przeżyli?
Znasz ich życie, jak i moje:
Ciągłe troski, ciągłe boje,
A wytchnienia ni pół chwili!
Jednak idąc drogą z cierni,
Świętéj cnocie prawowierni,
Czyż choć jeden krok zboczyli
I choć jedną skargą w męce
Usta swoje czy skazili?
Nigdy, nigdy! bo złożyli
Serce w Bożéj Matki ręce.
I jam przed Nią, w tém ukryciu,
Do najpiérwszych modłów w życiu
Niegdyś rączki składał małe,
Szepcąc słowa połamane,
Tylko Bogu zrozumiałe,
Tylko sercu matki znane.
Dziś tak jasne moje słowa,
Dziś tak głośne moje jęki!

Czemuż w sercu srogie męki,
W wiecznéj walce z troską głowa?
A podówczas, miły Boże!
Jak się żyło! wspomnieć miło!
W sercu tyle szczęścia było!
W głowie takie myśli hoże!...
Jeszcze chwilkę, bracie drogi!
Pozwól niech te święte progi,
Święte świętém mi wspomnieniem,
Ucałuję z uniesieniem,
I niech z gorzkich łez strumieniem
I ból z duszy spłynie srogi....
Teraz idźmy. Znowu z lewa....
O nie idźmy, bracie miły!
Czyż nie czujesz jak powiewa
Ztamtąd straszny chłód mogiły?
Ach, śmierć była za tym progiem?
O, uchodźmy! bo gotowy
Duch bluźnierstwem walczyć z Bogiem,
Za cios sercu zbyt surowy!...
Wróć, obejrzmy znów te kątki,
Gdzie weselsze mam pamiątki,
Gdzie i tobie być przyjemnie.
Chodź na ganku spocząć nieco.
Patrz: pod niebem orły lecą,
Rybka pluska w czystym Niemnie.

Ej, polećmy tak myślami,
Jak te orły pod gwiazdami!
Ej, popłyńmy ze swobodą,
Jak te rybki tam pod wodą!
A gdy wreszcie myśl się znuży,
Opowiemy sobie wzajem,
Jakim ona biegła krajem,
Co widziała w swéj podróży...
Może nudno ci już ze mną?
Może serce ci dokucza
Chęcią wracać potajemną?
Odprowadzę do Załucza, (*)
Pójdźmy!....
Boże! dobry Boże!
Ach! gdzie była myśl skrzydlata?
Po co buja, po co lata,
Kiedy ciało więzi krata
Konieczności niezłamana!
Ach, ta przeszłość malowana
Już raz drugi nie zaświeci!...
Władysławie, szczęścia dziecie!
Już ci serce w żalu tonie,
Że w rodzinnéj, lubéj stronie,
Z pod runącéj przejdziesz strzechy

(*) Mieszkanie Syrokomli.

W progi domku świeże, nowe,
Gdzie otoczą twoję głowę
Nowe szczęście i uciechy;
Gdzie przyjaciół i rodziny
Też co wprzódy miłe lica,
Taż przy domku okolica,
Tylko z okien widok inny!
Gdy pamiątek boli strata,
Spójrz, gdzie była dawna chata,
To powstaną w sercu twojém,
Zaigrają szumnym rojem!...
A cóż ze mną? Z owéj chatki,
Z drogich objęć ojca, matki,
Gdy wyszedłem raz ostatni;
Nie przeczułem biedną duszą,
Że splątany w losów matni,
Co mi szczęście moje skruszą,
Już nie wrócę w domek drogi!
Że-j rodzice go porzucą,
I nie wrócą, ej nie wrócą!...
Gdybym przeczuł, tobym progi
Łzami memi zlał rzewnemi,
Tobym z Niemna nabrał wody,
Tobym garstkę wziął téj ziemi!...
Nie przeczułem takiéj szkody,
Nie przeczułem smutnéj straty!

I dziś tułacz, dziś bez chaty,
Tylko w sercu mam pamiątki,
Skruszonego szczęścia szczątki,
I to niebo przed oczami,
Co jaśniało tam nad nami!
I śród ludzi w poniewierce,
Gdy mi duszę boleść tłoczy;
To ze łzami patrzę w serce,
Lub na niebo zwracam oczy.
Z serca, z Nieba czerpię siły
I nadzieję, i pociechę:
Znajdę kiedyś własną strzechę,
Znajdę kiedyś domek miły—
Małą chatkę pod jedliną,
Pod zieloną, pod darniną,
I odpocznę w niéj dowoli,
Cicho, błogo, słodko, miło!...
O gdyby to w Litwie było!...
Ej! dość tego! serce boli!

1848 r. 9 marca
**na Podolu.**

# PIOSNKA RODZINNA.

IGNACEMU CHODŹCE

w dowód najgłębszego szacunku

I NA PAMIĄTKĘ GOŚCINY SWOJÉJ w DZIEWIĘTNIACH

poświęca

Autor.

# DO IGNACEGO CHODŹKI.

Lat niezliczonych zbolały tęsknotą,
Tułacz, w rodzinne powrócony progi,
Pieśń, jako mirrę, kadzidło i złoto
Składam, by uczcić swe domowe bogi.

O! pieśń to wielka, uroczysta, święta,
Hymn archanielski na jasnym Syonie!
W niéj cudem szczęścia dusza wniebowzięta
W najserdeczniejsze swoje struny dzwoni.

Wszystkie radości, wszystkie serca bole,
Wszystkie nadzieje i zawodu męki,
I całą dolę, i całą niedolę
W rzewnych akordów przeistacza dźwięki.

Ojczystą ziemię i grzędę domową,
I błogosławieństw rodzicielskich wiano,
Wszystko co w życiu sercem ukochano,
Wszystkie świętości przeistaczam w słowo.

Lecz z niebios szczęścia mego i wesela,
Pieśń moja, płynąc nad rodzinną niwą,
Znajdzież słuchaczy drużynę życzliwą?
Znajdzież współczucie, co grajka ośmiela?

O! zdawien dawna gościnna tam strzecha,
I zdawien dawna Litwini serdeczni!
Śród nich grajkowi błogo i bezpiecznie,
Śród nich głos serca nie zginie bez echa.

O najwierniejszy pomiędzy Litwiny!
Coś w sercu swojém, jak w świętéj skarbnicy
Zawarłszy czystą treść naszéj ziemicy,
Dał światu poznać jéj cnoty i czyny!

Po Bogu w Niebie, po ojczystéj chacie,
Bądź ty najpierwszym méj pieśni słuchaczem:
Niech ci w niéj serce dług najświętszy spłaci,
Za ową radość, co w życiu tułaczém

Znało w tęsknocie, trudzie i boleści,
Gdy rajskim jakimś urokiem owiana,

Dzięki ksiąg twoich cudotwórczéj treści,
Wciąż mu świeciła Litwa ukochana.

Ileżto razy, zachwycony niemi,
Rzuciwszy ciało to w jego niewoli,
Duch mój rozwijał dzielny lot sokoli,
I rzeźwy bujał śród rodzinnéj ziemi!

A więc w Borunach, gdzie szkolna gromadka,
Płatał niewinne figielki i psoty;
W błogosławionym Domku twego Dziadka
Czcił święte wzory nieskażonéj cnoty;

Na Brzegach Wilji z wesołą drużyną
Gonił za zwierzem, lub w gościnnym dworze
Hulał ochoczo, miód spijał i wino,
Odbijanego wiódł Litwinki hoże.

Albo na płytach falą unoszony,
Z sternikiem stare przypominał czasy,
Lub z zachwyceniem witał pełny krasy
Cudnych widoków szereg nieskończony.

Albo z Kwestarzem od dworka do dworka
Sławną dropiatą ruszał z prowodyrem,
I wszędy sercem przyjmowany szczérem,
Garnął ofiary do woza i worka,

Błogo mi było w tym uroczym świecie,
Stworzonym słowa twojego potęgą!...
I nieraz marząc tak nad twoją księgą,
Słodkiemi łzami płakałem jak dziecię.

Bo gdy zagrały mi rodzinne zdroje,
Gdy zaszumiały puszcz rodzinnych sosny,
Litewskich ptasząt chór dźwięknął radośny,
Zaszczebiotały litewskie dziewoje;

Gdym cnót litewskich odetchnął świętością,
To biedne serce w błogiém omamieniu
Mniemało jawę widzieć w swém marzeniu,
I łkałem, rzewną przejęty lubością:

Jakbym wrócony z ciężkiego wygnania,
Do nóg się rzucił rodzicom w zachwycie,
Jakbym tą jedną chwilą powitania,
Wszystek trud życia okupił sowicie.

Dziś wymarzone ziściwszy rozkosze,
Za urok marzeń tobie składam dziękę,
I radość moję ująwszy w piosenkę,
W serdecznym darze tobie ją przynoszę.

Ale nietylko płacę długi stare,
Dzisiaj na nowo me serce ci dłużne....

Żebrak, gdy świętą odbierze jałmużnę,
Modlitwą zwykle odwdzięcza ofiarę.

Więc moja piosnka, to niby modlitwa,
Za tę jałmużnę najświętszą na ziemi,
Wziętą w twym domu, gdzie mi cała Litwa
Na raz się dała ujrzeć z cnoty swemi.

Więc pieśń ta k'tobie sama się wyrywa,
Bo śpiewa Litwę, któréjś ty ozdobą,
Bo czysta, prosta, i rzewna i tkliwa,
Jako to serce, które rządzi tobą.

Przyjm-że ją sercem, gdy z serca wysnuta,
A niech się razem to w niéj upamiętni,
Że mi jéj piérwsza, droga dla mnie nuta,
Zabrzmiała w duszy u ciebie w Dziewiętni.

W owéj Dziewiętni, co u Litwy całéj,
Godna serdecznéj miłości i cześci,
Jako świątynia i cnoty, i chwały,
I drogich wspomnień, które w sobie mieści.

Dzisiaj mam w duszy jéj obraz u oczy,
I kiedy błogiém marzeniem się bawię,
Kiedy czarowne sny roję na jawie,
To wnet i ona staje mi przed oczy.

I świeci niby w tęczy wykąpany
Stary ów dworzec, ze swym starym ładem,
I starém dobrem, i ze starym sadem,
Kędy aleje, cieniste altany

Gwarzą poważnie z wiatrem w rozhoworze,
Snać wspominając owe święte dłonie,
Co na ojczystym sadząc je zagonie,
Błogosławieństwo na nie zlały Boże;

Aby w ich cieniu, z cnót wieńcem na czole,
Sędziwy prawnuk, swoich wnucząt grono
Zlecając Bogu myślą rozmodloną,
Dziś błogosławił na podobnąż dolę.

A może bliższe przyszły na myśl sprawy?
Może powtarza staruszka altana,
Echo wesołéj rowieśników wrzawy:
Głos Ignacego, Edwarda, Juljana? (*)

Niegdyś tu nieraz przyjaciele młodzi
Dzielny bój toczą w parnaskiéj gonitwie,
Niegdyś niejedna ztąd piosnka wychodzi,
By wdzięczném echem biedz po całéj Litwie.

---

(*) Ignacy Chodźko, Edward Odyniec, Juljan Korsak.

A ówże w ziemię zaklęsły głaz szary,
Gdzie mech już pokrył wyrzeźbione słowa?
Toćże to ołtarz serdecznéj ofiary,
Swięte pod sobą relikwije chowa.

Trzech tych przyjaciół chwalebne imiona
Tam zachowane leżą w pargaminie,
Trzech zatém mężów pamięć uwieczniona,
Którymi dumni chlubią się Litwini.

A oweż brzozy, trzy piękne siostrzyce,
Wdzięczne i hoże mimo wiek podeszły,
Cóż się tak razem w jedno grono zeszły?
Jakie tam sobie szepcą tajemnice?

Niby westchnienia słychać, niby śmiechy,....
Ejże doprawdy przysłuchać się warto...
Przypominają minione uciechy,
Przypominają zmarłą drużkę czwartą,

Z którą wespoły dźwigały ochoczo,
Pod swych konarów namiotem zielonym,
Niby rusałek kolebkę uroczą,
Wdzięczny krużganek, zwany Helikonem.

Gwarzą, jak niegdyś, gdy duszę wieszczową,
Kiedy miłości świętym ogniem płonie,

Jedno dziewicy ukochanéj słowo
Rajem otacza na tym Helikonie.

Tylu pamiątek urokiem owiany,
Twojém życzliwém wiedziony ramieniem,
Przy owym głazie, śród owéj altany,
Co pięć pokoleń darzyła swym cieniem,

Przy Helikońskich brzozach w tym ogrodzie,
Taką niebiańską, dziwną błogość czułem,
Iż pieśń cudowną w méj duszy osnułem;
Czemuż, niestety, inna w świat wychodzi,

Choć twojem piórem, u twego stolika,
Wyjąłem z serca najpierwsze jéj zwrótki?
O czemuż święty ów zapał tak krótki?
Czemuż natchnienie błyskawicą znika?

Czemuż nie dłuższa u ciebie gościna?
Kto wié, azali między temi drzewy,
Gdzie niegdyś wieszczów gwarzyła drużyna,
Same ptaszęta uroczemi śpiewy

Wdzięczniejszéj nuty mnieby nie podały?
Dziś się ratuję i dźwigam złudzeniem,
I darmo tutaj goniąc za natchnieniem,
Duszą w Dziewiętnie przenoszę się cały.

I oto witam twą cichą pracownię,
Witam twój l a m u s, ten s k a r b i e c l i t e w s k i,
Co samą nazwą już świadczy wymownie,
Czém jest dla Litwy. Do grobowéj deski

Przechowam w sercu o nim pamięć tkliwą!
Ach! bo ten skromny, ten prosty budynek,
Kędy po pracy twój z piórem spoczynek,
Tak mi twą duszę odzwierciedla żywo!

Nie sybaryckie jakieś g a b i n e t y,
Strojne w zamorskie świecidełka złote,
L a m u s pracownią dla mędrca poety,
Co wsławił zacną litewską prostotę,

Szare tu ściany, z tarliczną podłogą,
Ze skromniutkiemi sprzęty do około,
A z łaski Bożéj w domu nie ubogo!
Lecz żadne w świecie bogactwo nie zdoła

Wyrównać skarbom, co się tutaj mieszczą!...
Dobrze nazwany, tak, skarbiec to szczery,
Bo nad klejnoty droższe te papiery,
Na któreś przelał twoję duszę wieszczą!

Tam to dla ducha mojego gościna,
Tam się przenoszę dziś z moją piosenką:

I stary ogród widzę przez okienko,
I słyszę turkot i szum ode młyna.

I zachwycony tym rzewnym obrazem,
Czuję w mém sercu wieszczy ogień święty,
Gdyby go w słowa tchnąć tak jednym razem!...
Niestety, znika w iskry rozpryśnięty;

I archanielska owa pieśń mniemana,
Brzmi jak niewdzięczna, pospolita nuta!...
Przyjm jednak sercem, gdy z serca wysnuta,
I twojém drogiém wspomnieniem owiana.

1856 r. 15 grudnia.

# PIOSNKA RODZINNA.

Litwo moja! Litwo droga!
Wymodlona, wypłakana,
Wycierpiana mi u Boga,
Ziemio moja obiecana!

Dziś na Ojców świętym progu,
We łzach słodkich na twarz padam,
I hołd wielki w modłach Bogu,
Hołd mój w pieśni tobie składam.

Długo, długo, za łez strugą,
Jak za morzem stałaś mi!
W cudzéj stronie, z bolem w łonie
Duch o tobie wiecznie śni.

I choć w kraju tym, jak w raju,
I współczucia człowiek syt;
Sercu chłodno, duszy głodno,
I wygnańczy ciężki zbyt!

Czarodziejkoż moja złota!
Rajska moja niezabudko!
Coś w zaraniu dni żywota
Kwitła jednę chwilę krótką!

Cóż mi wrosłaś tak do duszy?
Zkąd uroczy czar twój ten,
Że twych wspomnień nic nie zgłuszy,
Że ich pełne jaw i sen?

Czemu w ciężkich trosk męczarni,
Jak ptak w burzy, duch znużony;
Niby w namiot drzew zielony,
Na spoczynek tam się garnie,

Gdzie nad Niemnem, Wilją, Słuczą,
Między piaski i topiele,
W dzikich borach wichry huczą,
Ponad niwą mgła się ściele;

Gdzie lud w czarnéj chatce siedzi,
Siły krzepi chlebem czarnym,

Nieraz w głodzie, często w biedzie,
Przygnębiony trudem marnym?...

Czemu wciąż się myśl tam błąka,
Czem jéj droga owa strona,
Kędy Niemen i Jaczonka
Wzięły wyspę w swe ramiona?

Gdzie śród fali piasków płonnych,
Sterczy kilka lichych zrębów,
Kilka sosen i jarzębów,
I czeremszyn kilka wonnych?

Czemu w owéj rajskiéj chwili,
Kiedy słodząc życia nędzę,
Anioł nieba mi przychyli
I da osnuć marzeń przędzę;

To wnet w oczach ta jedyna,
Ta wysepka ukochana?
Słychać wody szmer u młyna,
Słychać klekoty bociana.

U kapliczki dzwonek dzwoni,
Szepcą pacierz stare sosny,
A za Niemnem gdzieś na błoni
Słychać trzódki ryk donośny.

I poważnie a wspaniale,
Przez Niemnową bystrą falę
Mkną wiciny, spławy drzewa,
I wesoły flisak śpiewa.

A rój dziatwy w koszulinie
Po wybrzeżu biegnie piaskiem,
I wesołym wita wrzaskiem
Każdy statek, co nadpłynie.

A w téj zgrai, któż to przodem,
Z gołą główką, z wędką w dłoni,
Bosą nóżką raźno goni,
Niezrażony deszczem, chłodem?

Byćże może?!... jak Bóg w Niebie!
Wszakci widzę tu sam siebie!
Ach! sam siebie, bo ten dworek,
To mój drogi Żukow-borek!

Bo piasczysta ta wysepka,
To młodości méj kolebka,
To gniazdeczko me różane,
Gdziem sny prześnił młodociane,

Gdzie duch skrzydła wziął sokole,
Zkąd rozwinął polot rzeźki

Na niedolę, czy na dolę,
W kraj ten cudny, kraj niebieski...

Czarodziejskież to zacisze!
Jak za drzwiami tam u Boga
Człek swobodą, szczęściem dysze,
Wiecznie kwitnie radość błoga.

I nietrzeba skarbów świata,
Ni przepychu, ani cześci;
Ubożuchna, nizka chata,
Cały skarb tam szczęścia mieści.

Dobrzy, zacni ludzie wszyscy,
Bez zawiści i bez dumy,
Zawsze sobie sercem blizcy,
Niby swaty, niby kumy.

Nikt nie liczy bratnich groszy,
Ani rodu ma na względzie
Ani strojem się panoszy,
A poczciwy poczczon wszędzie.

Bracia moi! czyż wierzycie?
Czy za bajkę macie pieśnię?...
Wierzcie, wierzcie, bom nie we śnie,
Lecz na jawie znał to życie!

Póki w srebrnéj swéj obręczy
Niemen trzymał tam mój świat,
Wierzył w ludzi duch młodzieńczy,
Każdy człek mu był jak brat.

Lecz zza Niemna, zza Jaczonki,
Gdy pobiegłem w dal na trud,
Wnet minęły rajskie dzionki,
Bo dziedzięctwa zniknął cud!

Szkoda! szkoda!... Nuż ma pieśni,
Na weselny zabrzmij strój!
Ejże wskrześnij w duszy, wskrześnij
Czarodziejski światku mój!

Niech zagrają dźwięczne wody,
Niech zaszumią stare drzewa,
Jaskółeczka niech zaśpiewa
U okienka méj zagrody.

Świeci, świeci drogi światek!
I przy ojców stoją chacie
Dobrze znane mi postacie
Starych druhów z młodych latek.

Prosta chatka, ludzie prości,
Skromne, ciche, proste życie....

Chcecież poznać?... czyż uczcicie,
Czyż uznacie me świętości?

Szare zręby jedlinowe,
Chatka nizka i maleńka,
Lecz ojcowska droga ręka
Plan kreśliła na budowę.

Ojciec pierwszym był tu cieślą:
Sam dał pierwsze podwaliny,
Polecając rzewną myślą
Bogu szczęście swéj rodziny.

Cześć-że tobie cieślo drogi!
Święte były twoje modły!
Nieraz troski nam dobodły,
Ale nigdy za twe progi

Nie wchodziła chuć ladaca,
Grzeszna skarga, wyrzekanie;
Zawsze zgoda, miłość, praca,
I bądź wola Twoja Panie!

A z Dzieciątkiem Matka Boża
I wybranych Pańskich grono,
W które domek przystrojono,
Ach! to święta serca stróża!

Niby żywi — nie obrazki,
Wciąż przytomni w majestacie,
Bożą chwałę mnożą w chacie,
Mnożą skarby Bożéj łaski.

A więc do nas, gościu drogi!
Do nas wdowo i sieroto!
Wszystkiém co ma dom ubogi,
Podzielimy się z ochotą.

Ach! i sercem się podzielim,
Byle ulgę przynieść komu;
Ból ukoim, rozweselim,
Gość nam w domu, Bóg nam w domu!

A przy chatce, o mój Boże!
Cóż to kwiecia, przepych jaki!
Jakie lilje, jakie róże!
Jakie piękne astry, maki!

Boże drzewko ze szałwiją,
Swieża ruta z konufjorem....
Te się wdzięczą, te wonieją,
Te nam strojem, te doktorem.

Skromne kwiatki, skromne ziółka,
Jest piękniejszych wiele w świecie;

Lecz z nich miodek zbierze pszczółka,
Dziewczę w warkocz je zaplecie.

Z nich na ołtarz do kościoła
Takie cudne snopki, wieńce!....
O! nic zrównać im nie zdoła,
Bo je drogiéj matki ręce

Zasiewały na te grzędy,
Ona czułą straż ich trzyma.
O! jest dosyć kwiatów wszędy,
Ale takich dla mnie niéma.

A za kwieciem, tam przy płocie,
Tam w zielonym tym namiocie
Z młodych brzozek i jedliny,
Jaki pyszny tron z darniny!

Znajdęż kędy drugi taki?
Znajdęż chwilę taką drugą,
Jak ta, kiedyśmy dzieciaki,
Wszyscy bracia, długo, długo

Krzątając się tam z mozołem,
Ukończyli sprawę walną,
I z radością tryumfalną
Do rodziców biegli społem.

I rodzice przyszli mili,
I usiedli na darniówce,
I z uśmiechem pochwalili,
Pogłaskali nas po główce;

A my u nóg w jedném gronie,
Wzajem splotłszy się rączęty.....
O mój Boze! Boże święty!
Już tam chyba przy Twym tronie

Znajdziem drugą taką chwilę,
Tak się grono nasze zgarnie....
Dziś i marzyć o tém marnie:
Ten daleko, ów w mogile!....

Ejże dosyć!... Cóż sąsiedzi?...
Tam nad rzeczką paroch siedzi
W starym domku pochylonym,
Z żoną, z dziatwy liczném gronem.

Pełen wiary i prostoty,
I pokory wielkiéj ducha,
W księgach świętych słucha joty,
W życiu serca swego słucha.

Czyta w starym swoim mszale
I lud Boży błogosławi;

I ku Bożéj wiodąc chwale,
Wzór mu żywy w sobie stawi:

Jak w cichości i pokorze
Krzyż swój ciężki nosić wiernie,
I jak depcąc ostre ciernie,
W miłosierdzie ufać Boże.

A związany z dobrym ludem
Wspólną dolą i niedolą,
Wspólną wiarą, wspólnym trudem,
Z nim się dzieli chlebem, solą.

I nie wzgardzi chatką czarną,
I na prostą siądzie ławę,
Aby z kmieciem dzieląc strawę,
Siać miłości bratniéj ziarno.

On i u nas gość ochoczy,
Rad gawędzi u komina,
I w warcaby wojnę toczy,
I w ćwika się walnie zcina...

Dobra dusza!... biedny człowiek!...
Co za smutny życia kres!
Gdy go wspomnę, to mi z powiek
Rwą się gwałtem zdroje łez!

Dziwny człowiek! tak mu z laty
Wrosły w duszę stare mszały,
Stare dzwony i ornaty
I cerkiewny przybór cały;

Że gdy dostał nowe sprzęty
Boży domek odnowiony,
Nowe mszały, ołtarz święty,
Nowe szaty, krzyż i dzwony;

Taki żal go wziął z téj zmiany,
Taki nóż mu przebił serce,
Że w ostatniéj zgasł iskierce
Rozum, krwią serdeczną zlany.

I już nie zna dziatwy, żony,
Ani wiernéj swéj gromady:
Strój w nieładzie, włos zburzony,
Wynędzniały, drżący, blady,

I milczący, jak grób czarny,
Z postawioną w słup źrenicą,
Błądzi niby duch cmentarny
Po mogiłach, pod kaplicą.

I tak długo cierpiał, długo,
Aż się wreszcie Bóg użalił

Nad nieszczęsnym swoim sługą,
Co go prostém sercem chwalił;

Dał dopełnić cierpień miary
I odpocząć w cichym grobie;
A w serdecznéj lud żałobie
Wdział na niego ornat stary.

Pokój tobie! niech ze świata
W ten zakątek twój grobowy
Głos tych dzwonów nie dolata,
Niech się nie śni mszał ten nowy!

Niech tam duszy ci nie rani
Twojéj wdowy płacz serdeczny
I sierotek rzewne łkanie!
Pokój tobie! pokój wieczny!...

Ejże biedne, biedne dzieci!
Opłakana dola wasza,
Jak tych ptasząt śród zamieci,
Bez ziarneczka, bez poddasza!...

Gdzież się podział błogi czas,
Gdy ochocze nasze kółko
Z głośnym śmiechem biegło w las,
Lub igrało nad rzeczułką?

Biedni, biedni! cierpień tyle,
Taka błędna życia droga,
Poniewierka taka sroga,
Lub przedwczesny sen w mogile!...

O wyż moi, wy rowieśni!
Gdy już przeszłość ta nie wskrześnie,
Daj wam Boże lekką ziemię,
Ciężkiéj doli lekkie brzemię!...

---

O magiczna moja księgo,
Serce moje, przemień kartę!
Niech przed zaklęć twych potęgą
Staną grobów drzwi otwarte...

Widzę... widzę rosochatą
Starą sosnę, co wciąż gwarzy
Ponad starą nizką chatą,
Gdzie Piotr stary gospodarzy.

Siódmy krzyżyk barki gniecie,
Szron przypruszył czarną brodę;
Jednak dziaduś na tym świecie
Ma czém spłacić swą gospodę.

Przy cerkiewce wciąż na stróży,
On jéj kluczem zaszczycony,
Codzień w głośne bije dzwony,
Parochowi do mszy służy.

Drżącym głosem on z nim pieje,
Błogosławiąc pary młode;
Przy chrzcie świętym on oleje
I święconą trzyma wodę.

A gdy sądzą tak Niebiosa,
To i rydel weźmie w rękę,
Dół wykopie, i wyciosa
Prosty krzyżyk i trumienkę.

A cmentarnych gruntów świadom,
Rządzi niemi wiernie, szczerze,
I najlepiéj już wybierze,
Co dać krewnym, co sąsiadom?

A kto w życiu komu miły,
Kto w miłości swéj stateczny,
Tym mogiłę u mogiły
Ściele dziaduś na sen wieczny.

A gdy z cerkwi do dom wraca,
To głód zbywszy lichą strawą,

Za robotę chwyta żwawo,
Bo wytchnieniem jemu — praca.

A więc słomę i rokitę
Wziąwszy w pomoc do fabryki,
Plecie króbki i koszyki
I kobiałki znakomite.

Albo prosty liść tabaczny
W proch uciera taki smaczny,
Że go sławią w niebogłosy
Okoliczne wszystkie nosy.

Lub zasiadłszy w ciemne krzaki
U Niemnowéj bystréj toni,
W głąb' zdradliwe rzuca haki,
Zbójca karpi i okoni.

I tak sobie pomalutku
Dziad domierza swoich latek,
Bez goryczy i bez smutku,
Widząc blizki dni ostatek.

Troska tylko jest jedyna,
Którą we łzach Bogu zwierza,
Sroga troska, że ma syna,
K r ó l e w i c z a — Kazimierza!

Wartoż poznać królewica,
Bo figura to nielada;
Bo nietylko ta osada,
Zna go cała okolica.

Jego berłem młotek szewski,
Szewski warsztat jego tronem;
Ale tytuł wziął królewski
Razem z świętym swym Patronem.

Póki we łbie nie wrą szumy
Kartoflanéj gorzalichy,
Nasz Kazimierz skromny, cichy,
Od królewskiéj wolny dumy.

Cały dzionek przy swéj ławie
Bez wytchnienia młotkiem młóci,
I pobożne pieśni nuci,
Lub ucieszne skazki prawi.

Więc bywało, gdy go tata
Na robotę w dom sprowadzi,
Zmykam w wieczór do czeladzi,
I do jego lgnę warsztata.

A przy pieśni i gawędzie,
Jest i dla mnie dość roboty:

Chodzą boso psy i koty,
Niechże temu koniec będzie.

Więc za uszy i do miary!
Jakże wrzeszczą te bestyje!
Cyt! wszak zacne mam zamiary,
Wszakże bóty wam uszyję...

Ale błogi czas ten krótki,
Już się straszny kryzys zbliża;
Jakieś trwogi, jakieś smutki
Dręczą duszę Kazimiérza.

Śmiech wesoły coraz rzadszy;
Niema skazek; zadumany,
Przez okienko raz wraz patrzy
Gdzie karczemne brudne ściany.

I wnet, jakbyś klasnął biczem,
Opuszczony warsztat stoi;
Już Kazimierz Królewiczem,
I już dziwne dziwy broi.

Już głos jego słychać wszędy;
Już dzień cały po wysepce
Klnąc i łając w piasku depce,
Do arendy, to z arendy.

Już z żydami się warcholi,
Tłucze okna, łamie stołki,
Drze kaftany i jarmółki,
Pędzi kozy do niewoli.

Albo wpadnie jak szalony,
Wlekąc wody ceber spory,
I nuż chlustać na wsze strony,
Święcić karczmę, chrzcić bachory.

Albo goni złego ducha
Tak zawzięcie i tak szczerze,
Że aż z betów leci pierze,
Aż z antałków wódka bucha!

Gwałt! harmider! Izraele
Na swych śmieciach walczą śmiele;
Biadać, królewiczu, biada!
Tyś sam jeden, ich gromada!

Kogóż los twój nie rozczuli?
Tyś na gorzkie jabłko zbity,
I wyzuty już z kality,
I odarty do koszuli!

Same wrogi, choć zażarte,
Litując się nad twą dolą,

Wziąć na kredyt ci pozwolą,
Na osłodę wódki kwartę.

Tak przemocą przygnębiony,
Gdy mu żalu pełna dusza,
Na mogiłki z flaszką rusza
Do przyjaciół i do żony.

A nasz cmentarz, Jezu Chryste!
Jakiéjż pełen okropności!
Całe wzgórze to piasczyste
To niby stos ludzkich kości!

Jak tam widzisz Niemna brzegi
Strojne w drobnych muszel śniegi,
Tak to wzgórze stoi w bieli
Trupich czaszek i piszczeli.

A jednakże, jak wieść słynie,
Nie tak było z niém przed laty:
Na zielonéj tu darninie
Rosły drzewka, krzewy, kwiaty.

Taka była tam pięknota,
Rzewnéj jakiéjś krasy tyle,
Że aż brała cię ochota
Tam choć zaraz ledz w mogile!

Lecz z za rzeczki, z blizkiéj wioski
Przywieziono grzeszne ciało...
Bogacz to był jakich mało,
Lecz złe o nim szły pogłoski.

Niby z djabłem miał sojusze,
Niby z jego zapomogi
Zebrał sobie skarb ów mnogi,
Dawszy w zamian grzeszną duszę.....

Bóg to jeden tego świadom,
Ile prawdy w téj gawędzie ?
Lecz bywało, biednym dziadom
Grosza nie da, kijem pędzi!

Ni sieroty, ani wdowy
Nie przygarnie w ciężkiéj doli;
Nikt z nim nie jadł chleba, soli,
Nikt nie słyszał wdzięcznéj mowy.

W cerkwi jego przez wiek długi
Nie widzieli Chrześcijanie;
Bez duchownéj zmarł posługi
I straszliwe miał skonanie.

Więc Bożego gniewu pewni,
Doradzali wszyscy społem,

Nie grześć zwłok tych pod kościołem.
Lecz się hańby zlękli krewni:

I nuż w prośby, nuż w pokłony,
Nuż w perswazye i lamenty,
Aż ustąpił ksiądz zmiękczony
I zezwolił na grób święty.

Ksiądz zezwolił, lecz Bóg w Niebie
Snać wyroki dał przeciwne,
Bo na grzesznym tym pogrzebie
Lud oglądał dziwy dziwne.

Pośród gromów i wichury,
Wszystkie świece zgasły w ręku,
I u dzwonów w pierwszym dźwięku,
Jak podcięte, pękły sznury.

Zgasły światła, zgłuchły dzwony,
I pieśń zgłuchła pogrzebowa,
Psałterz porwał wichr szalony,
Trwoga ścięła w uściech słowa.

Więc w popłochu grzeszne zwłoki
Bez święcenia i pacierza
Zagrzebano w dół głęboki,
Jak p o h a ń c a, jakby zwierza.

Lecz, o siło niepojęta!
Rychło potém sprośne cielsko,
Co się dało w moc djabelską,
Wyrzuciła ziemia święta!

Spadły wichry na mogiły
I nuż szarpać w dzikim szale,
Nuż w nich grzebać, jak szakale,
Nim grzesznika nie dobyły,

Nim wszech grobów nie otwarły,
By był wolen wszelki zmarły
Z znieważonéj świętéj ziemi
Z kośćmi wynieść się swojemi.

Odtąd, jako Niemna brzegi
Strojne w białych muszel śniegi,
Tak to wzgórze stoi w bieli
Trupich czaszek i piszczeli.

---

Pośród tego mogilnika
Nasz królewic w nocnéj ciszy,
Nakształt J a n k a c m e n t a r n i k a,
Szuka starych towarzyszy.

Od mogiły do mogiły
Chodzi wkoło z swoją flaszką,

I ucztuje z trupią czaszką:
„W ręce twoje, bracie miły.“

I czarkę za czarką leje,
To na groby, to znów w gardło,
Wspominając dawne dzieje,
Wywołując przeszłość zmarłą.

Lub jak G r e y w d u m a n i u swojem,
Poetyczne snuje wnioski,
Nieboszczyków z cichéj wioski
Bohaterskim zdobiąc strojem.

Wstają króle i rycerze,
Wielkie pany i biskupi,
Tłum się wkoło flaszki kupi
I z kolei czarkę bierze.

„Pijcie bracia z dobréj woli,
Bo w mogile pono bieda,
Wielcy, mali, równo goli,
A bez grosza żyd wam nie da.

„Waćpan, gdybyś był hetmanem,
Żyw, gorzałkę piłbyś dzbanem:
Ale dzisiaj sprawa licha!
Nie dostaniesz i kielicha.

„Waćpan, biskup, czy pan wielki,
Miódbyś słodki dżgał z butelki,
Lecz zalazłszy w grób ten głuchy,
Nie skosztujesz i s i w u c h y!

„Więc nie gardźcie! w ręce wasze!
Nuż za zdrowie Kazimierza!“
Potem, pustą stłukłszy flaszę,
„Na kolana! do pacierza!“

I w głos wielki: „Swięty Boże!
Swięty, Mocny, Nieśmiertelny!“
Grzmi w niebiosy śpiew naczelny
W nieboszczyków wielkim chorze.

„Amen!“ i już cmentarz pusty
A Kazimierz rozciągniony
Na mogile swojéj żony,
Gorącemi lgnie doń usty.

I tak resztę przetrwa nocy
Na pieszczocie z swą niebogą,
Płacząc na swą dolę srogą,
I na ciężki byt sierocy.

A o świcie zwykłe życie:
Z arendarzem walna bitwa,

I cmentarna uczta gwarna,
Święty Boże i modlitwa.

---

Raz, za życia jeszcze żony,
Po mogilnéj téj biesiedzie,
Srodze jakoś rozczulony,
Do dom z sobą druha wiedzie.

Noc jesienna z zawieruchą,
Na cmentarzu źle za katy!
„Pójdźmy, bracie, spać do chaty,
Tam i ciepło, tam i sucho!“

I pod połą druha tuli,
I do chatki wszedłszy skrycie,
Śpiącéj twardo swéj Hanuli
Upowite skradłszy dziécię,

Do kolebki je przenosi,
A na łoże, na puchowe,
Obok siebie trupią głowę
Na spoczynek przy niéj prosi.

Gość grobowy rad z gościny;
I śpią smaczno ten i ten,
Lecz kwilącéj głos dzieciny
Czułéj matki przerwie sen.

Więc na łono już gotowa
Wziąć pieszczotkę swą maleńką,
Gdy w pociemku sięga ręką,
W rękę wpada—trupia głowa!

Jęk boleśny, straszny, dziki,
Zbudził ze snu chatkę całą;
Popłoch, trwoga, płacz i krzyki:
Ognia! ognia! co się stało?

Co się stało?.... o mój Boże!
Gość grobowy wdzięczny czule,
Na mogiłki wziął Hanulę,
By odpłacić łożem łoże!

Strach ją w niemoc rzucił wielką,
I nie przeszły dwa miesiące,
Na jéj grobie już z butelką
Lął królewicz łzy gorące.

---

Tak więc hula bez spoczynku,
Aż już wszystkie swe kopyty,
Szydła, noże, złoży w szynku,
I arendarz nieużyty,

Prośbą, groźbą, niewzruszony,
Zbrojnie gotów na raz wszelki,
Do napaści i obrony,
Nie da wódki ni kropelki.

Więc znów próżen wszelkiéj pychy,
Nasz Kazimierz smutny, cichy,
Siada biedak do warsztata
I pantofle żydom łata.

Wielki człowiek!.... o zaiste!....
Wielkie w duszy swéj miał skarby,
Żeby serce to ogniste
Wziął rozsądek w silne karby.

Żeby inna w życiu meta,
Żeby umysł oświecony,
Z tą fantazją—toż poeta!
A dziś—pijak, szewc szalony!....

---

Patrzcież, jeszcze postać nowa:
Sucha, długa, przygarbiona,
Snieżne włosy na ramiona
I ku piersiom zwisła głowa.

Blade lica niby z głazu,
Pacierz tylko szepcą wargi,
Oczy martwe, lecz od razu
Wielką boleść znać bez skargi.

Bo ta trupia odrętwiałość
I tych zmarszczek sieć pajęcza,
Jasno świadczą, jaka żałość
Biedną starca pierś udręcza.

Przyodziany w liche szmaty,
W jakiś niby kubrak siny,
Strojny cały, jakby w kwiaty,
W różnobarwnych łat seciny;

Ma na piersiach szkaplerz święty,
A siekierę u popręgi,
W ręku kij, pod pachą księgi.
Pod ogromną króbką zgięty.

Okoliczne zwiedza wioski,
W imię Boże ludzi wita,
I za suchy chleb dziadowski
Ewangelje święte czyta.

A gdzie sercem przyjmą dziada,
I ugoszczą w chatce szczerze,

Tam już króbkę swą rozkłada:
I w krzyżyki, i w szkaplerze,

I w rożańce, ojca, matkę
I dziateczki, i czeladkę
Strojąc, tak się modli rzewnie,
Tak serdecznie, że Bóg pewnie

Słyszy w Niebie głos żebraczy,
I w litości swéj bez granic,
Cudotwórczą moc zlać raczy
Na ten szkaplerz i różaniec.

Więc dziadkowi wszędy radzi,
Nikt gościny mu nie skąpi,
Lecz dziad mało kędy wstąpi,
I to długo nie zawadzi,

Bo mu zawsze w drogę śpieszno,
Bo wiek cały tak bez chaty,
Tułać światem duszę grzeszną,
Swięte każą mu obiaty.

Nie kalectwo, nie biédota,
Nie próżniacza chętka zdrożna
Smutnym starcem tak dziś miota;
Lecz pielgrzymka to pobożna.

A od Mira do Nieświża,
Niema w całéj okolicy
Ni kościołka, ni kaplicy,
Ni takiego niema krzyża,

Gdzieby choć raz co miesiąca,
Ukorzona, we łzach cała
Dusza jego bolejąca
Na cud Boży nie czekała.

A nie w jednéj też świątyni
Ma swój ołtarz ulubiony,
Gdzie z najdalszéj dąży strony
I najczulsze wota czyni;

Gdzie w odpusty ze swéj kramy
Wydobywszy złote lamy,
I bursztyny, i korale,
Stroi obraz okazale;

I upadłszy na twarz w skrusze,
Długo, długo z Niebem gada,
Zleca Bogu grzeszną duszę;
Lecz daremne modły dziada!

Niema cudu, ból ten samy,
Więc do króbki złote lamy,

I bursztyny, i korale!
Nieśmy indziéj Bogu żale!...

Może Niebo gdzie łaskawsze,
Lub szczęśliwszy kątek ziemi?...
Darmo! zawsze jedno brzemie,
Jedna boleść w sercu zawsze!

Może jacy niecni cieśle
Te ołtarze Bogu wznieśli?
Lub skalało świątyń progi
Świętokradztwo jakie srogie?

Nowy jakiś krzyżyk może
Lub kapliczka na ustroni,
Miłosierdzie ściągnie Boże,
Cudem Niebios się osłoni?

A więc z wiarą i nadzieją,
Choć już ręce stare mdleją,
Ciosa belki w głuchym lesie,
Na zgarbionych barkach niesie.

I gdzie wzgórza lub krynice,
Stawia krzyże i kaplice,
A w nagrodę znoju, trudu,
W modłach rzewnych czeka cudu.

Marna praca i pacierze!
Niema cudu, ból jednaki!
Ale dziaduś w dobréj wierze
Idzie daléj swemi szlaki.

W dawnych się świątyniach korzy,
Zdobi ołtarz swemi dary,
Lub kapliczki u rozdroży
Kleci biedny pątnik stary.

---

A za wioską tam przy lesie
Stoi chatka spustoszała,
Co przed laty, jak wieść niesie,
Rajem być dla starca miała.

Ściany pokrył mech już siwy,
Runął w próchno dach przegniły,
Dzikie osty i pokrzywy
Wszystkie zręby otoczyły.

Pleśń w okienkach szyby mroczy.
Co ponuro i złowrogo
Patrzą jakby trupie oczy,
Aż przejmują duszę trwogą.

Jak zacięte trupie usta,
Drzwi na wieki się zawarły...
Straszna, dzika chatka pusta,
Jak w rozpaczy grzesznik zmarły!

A stajenka i obórka,
Spróchniałemi padłszy ściany,
Leżą w zielsku śród podwórka,
Jak mogiły, czy kurhany.

I dokoła cisz grobowa;
Nawet wróbli gwarne rzesze
Nie odpoczną tam na strzesze,
Nie zapłacze nawet sowa.

Tylko w sadzie pod oknami,
Kościotrupy — stare grusze,
Gdy wiatr miota konarami,
Jak czyscowe jęczą dusze.

Straszno!... ale te zwaliska,
To nie martwe, zimne drewna;
To istota człeku blizka
I przyjazna i pokrewna.

I nie same burze, słoty,
Spustoszyły tę zagrodę;

Miała ona swe kłopoty
I serdeczną swą przygodę.

Wdzięczna człeku, co ją wznosi,
Dać mu w sobie szczęście rada;
Gdy człek zmarniał w ciężkim losie,
Ona z żalu w gruzy pada.

---

Przed półwiekiem, dawniéj może,
Nasz zgarbiony dziad, znękany,
Był to chłopiec malowany,
A miłował dziewczę hoże.

Lecz bogaty w krasę lica
I w serdeczny skarb przemnogi,
Na zagrodzie syn szlachcica,
Jaś w chudobę był ubogi.

A u dziewki, jak w piosence,
Cztéry woły jak sokoły,
Dość w oborze i w stajence,
Pełne śpichrze i stodoły.

Jedynaczka matki wdowy
Tłum chłopaków k'sobie nęci,

Co szalejąc bez pamięci,
W ogień dla niéj biedz gotowy.

Lecz najmilszy Janek Zosi,
I mateczka jemu rada;
Lecz z Jankowym ojcem biada!
Darmo chłopak się mu prosi,

Darmo we łzach ściska nogi,
Dziad uparty ani słucha:
„Nie dla Ciebie to dziewucha;
Ona p a n i, tyś ubogi.

„A chcesz ptaszki, miéjże klatkę,
Miejże dla niéj piękne ziarno...
Pójdzież ona w naszą chatkę,
Ubożuchną, nizką, czarną?...

„Ja zaś nie chcę, by mi chłopiec
Szedł na łaskę za p r y m a k a,
By miał prawo ktoś mu dopiec,
Że go karmi jak żebraka.“

Jak się zaciął dziwak stary,
Ani rady! Biedny Janek,
Gotów sercem na ofiary,
Rzuca z płaczem swój zaścianek;

Żegna łzami swą jedyną,
Ściska nogi dobréj matki,
I w świat rusza gdzieś z wiciną,
Po swe szczęście — po dostatki.

---

Ani wieści, ani słuchu,
Przepadł jakby kamień w wodę!
Gorzko płacze dziewczę młode,
Ojciec modli się pocichu.

Zosia z żalu ledwie żywa,
Wypatrzyła za nim oczki!
Czy to kotek się umywa,
Czy na płocie skrzeczą sroczki,

Na podwórko wnet wybiega,
Ponad Niemen śpieszy siny,
Smutna chodzi koło brzega.
Czeka w trwodze na wiciny.

Przy wesołym płyną śpiewie
Do rodzinnéj flisy ziemi;
Ale Janka niema z niemi,
I nic żaden o nim nie wie!

Odkąd poszedł, Zosia stawi
Z cienką przędzą trzecie krośna,
Po raz trzeci brzmi żałośna
Pieśń lecących w świat żórawi.

Bujny wicher po raz trzeci
Miota liśćmi pożółkłemi;
A wciąż tęskna myśl jéj leci
Ptakiem, wiatrem w dal po ziemi.

W modłach się ku Niebu wzbija
I o Janku szuka wieści;
Lecz ni Chrystus, ni Maryja
Nie litują się boleści!...

On nie wraca!... Śród tęsknicy,
Jak w niewoli czas przechodzi!
Darmo nęcą chłopcy młodzi,
Dziewczę nie chce wieczornicy,

Od wesołéj uczty stroni,
Na głos skrzypki łkać gotowa,
Doma swoję żałość chowa,
I przystępu gościom broni.

Cały dzionek wszystka w oku,
Cały wieczór w słuchu wszystka,

Dójrzy drobną muszkę w mroku,
Słyszy lada szelest listka....

Szkoda oczu, słuchu szkoda!
Ale dziewczę wierzy jeszcze;
Bo w miłości dusza młoda
Ma przeczucia i sny wieszcze.

A więc śniła dziś o brzasku,
Że Jan święty, co u boku
Ma sokoła na obrazku,
Dał się widzieć jéj w obłoku.

Patrzał chwilę na jéj łezki,
W oczach błyska litość tkliwa,
Skinął,—alić ptak niebieski
Od nóg jego wnet się zrywa.

I mknąc ku niéj przez błękity,
Złoty pierścień trzyma w dziobie,
A na szyi ku ozdobie
Ma wianuszek z mirtu wity...

Wróci Janek! Tak nieboga
W wieczór marzy u prząśnicy,
Ale zawsze łza w źrenicy,
Zawsze w duszy boleść sroga!

A żal matki któż wypowie ?...
Przez łzy patrzy na swe dziecię
I złorzeczy może skrycie
Nieszczęśliwéj Janka głowie...

Cyt!... warknęły wierne psiska...
Słychać tętent... skrzypią wrota...
Dziewczę dłońmi piersi ściska,
Bo się w bólu serce miota !...

Słychać kroki... ot już w sieni !...
Tchu już braknie !... cudu, Boże !
Kto bądź niech się w Janka zmieni,
Bo tak serce pęknąć może !...

Cudu, Boże ! zmiłowania !...
I bez myśli, jak myśl chyża,
Ku obrazom, i śród łkania
Padła na twarz u stóp krzyża...

I cud stał się ! sen ziszczony !
On to ! on to wytęskniony !
U nóg matki, u nóg Zosi
Rzewnym płaczem się zanosi.

„A witajcież, o jedyne
Ptaszki rajskie, złote moje !...

Ach! myślałem, że w łez zdroje
Z téj tęsknoty się rozpłynę!

„Tyle czasu! Boże miły!
Te trzy lata, to wiek cały!...
Czyście tutaj choć tęskniły?
Czy choć kiedy wspominały?...

„I tęskniła, i płakała,
Bez słów liczko odpowiada,
Taka łzawa, taka blada
Gołąbeczka moja biała!“

Matce, Zosi rzewne łkanie
Tłumi oddech, tłumi słowa;
Jeden wykrzyk, cała mowa,
Całe z serca powitanie.

I w łez czystych rosie świętéj
Cała błogość rajskiéj chwili,
Zanim w duszy wniebowziętéj
Myśl z uczuciem się przesili....

A jak pszczółki z brzaskiem słońca
Rojem z ula mkną ku lipie,
Tak z ust potém już bez końca
Tłum się gwarnych pytań sypie:

„Gdzieżeś bywał? W cudzéj ziemi
Doznał szczęścia, czy też biedy?
Czy choć tęsknił za swojemi?
Czy choć w smutku wspomniał kiedy?“

Długa powieść, smutne dzieje!
Zawędrował na kraj świata,
A przebolał przez trzy lata,
Co przez wiek nie odboleje!

Och! bo ciężko w cudzym kraju,
Gdzie człek nie zna ani mowy,
Ani wiary, ni zwyczaju,
Za grosz kark swój dać w okowy.

Ciężko z srogim bolem w łonie
Na wiatr smutne ronić jęki,
Ni życzliwéj nie mieć ręki,
Coby krwawy znój ze skroni

Nam otarła, kroplę wody
Na spalone dała usta!...
Ludne sioła, wielkie grody,
A dla serca ziemia pusta!...

Ej, nie pusta! biedne serce!
Jakby w czyscu dusza grzeszna!

Obcym żałość jego śmieszna,
I łzy święte w poniewierce!

A więc tylko Bóg z wysoka
Widział boleść jego duszy:
Wiatr bywało łzy mu z oka
I ze skroni znój osuszy;

A skowronka szczebiot tkliwy
Przypomina mu co rano
I ojczyste drogie niwy,
I Zosieńkę ukochaną.

Nie upada więc na sile,
I nadzieją słodząc życie,
Liczy dzionki, liczy chwile,
Liczy skrzętnie grosz w kalicie.

I oto już dola w trzosie!
Okupione srogie znoje!
Już mieć będzie chatkę swoję,
Już mieć będzie swoję Zosię!

Niechno tylko zima minie,
A wraz z kwieciem w rannéj wiośnie,
Cudem domek sam wyrośnie,
Sam po tęczy z Niebios spłynie.

---

Już wiośniane słonko świeci,
Z pieśnią gniazda wiją ptacy,
Z pieśnią biegnie Jaś do pracy,
W imię Bożę chatkę kleci.

Cudem, cudem domek rośnie!
Taki śliczny, wycacany!
Jeszcze tydzień, a radośnie
Raj obejmie swemi ściany...

Tydzień minął: chatka nowa
W drzwi na oścież gości prosi...
Biednaż, Janku, twoja głowa!
Nie wprowadzisz tam swéj Zosi!...

Bóg jéj zsyła inną dolę,
Ejże inną chatkę zdarza!
Pod jedliną, śród cmentarza,
Cztery deski w ciemnym dole!

Legła w grobie, a z nią razem
Cały Janka piękny świat,
Cała krasa młodych lat
Pod grobowym legły głazem!

Odtąd jednym już cmentarzem
Wszystka jemu ziemia stoi,

A on wiernym jéj grabarzem
Przy mogile Zosi swojéj.

Bez bluźnierstwa, bez rozpaczy,
Z pożegnaniem domek pusty
Czarnym krzyżem na drzwiach znaczy;
Składa kraśne swoje chusty:

Złote lamy składa w skrzynię,
I korale, i bursztyny,
Co z dalekiéj niósł krainy
Na podarek swéj dziewczynie.

Strój żebraczy na się bierze,
Bierze topór za popręgę.
W rękę kij, pod pachę księgę,
Na pierś krzyżyk i szkaplerze;

I z swym kramem na tułactwo
O żebranym rusza chlebie,
Niosąc ból swój i bogactwo
Na ofiarę Bogu w Niebie.

Bo tam Zosia jego droga!...
Jéj miał oddać życie całe,
Więc to życie już dla Boga.
I na Jego tylko chwałę.

I te lamy i korale,
Co miał złożyć Zosi w darze,
To już tylko na ołtarze,
Już ku Bożéj tylko chwale.

Więc w pokorze i żałobie,
W modłach łzami zlewa lice,
Stawia krzyże i kaplice,
I obrazy święte zdobi.

A w nagrodę bolu, trudu,
Za ofiary i łez tyle,
Wciąż Bożego czeka cudu;
A tym cudem — sen w mogile!

Lecz przed ludźmi żal swój chowa,
Ani jęku, ani skargi;
Tylko pacierz szepcą wargi,
Błogosławieństw tylko słowa.

Lecz ta trupia odrętwiałość
I tych zmarszczek sieć pajęcza,
Jasno świadczą jaka żałość
Biedną starca pierś udręcza.

I nie dziwy, ej nie dziwy!
Kto znał w życiu takie bole,

Kto w grób złożył całą dolę,
To już pewno nieszczęśliwy!

I nie dziwy, ej nie dziwy,
Że ów dworek pustoszeje!
Gdzie grób szczęścia i nadziei,
Tam dach pewno nieszczęśliwy!...

---

Dawne to już, dawne lata
Jak go znałem, liku niéma;
A ten starzec i ta chata
Wciąż mi stoją przed oczyma!

Wciąż mi smutne ich koleje
Własne życie przypomina:
Bo czyż jedna już ruina
Moich marzeń tak marnieje?

Ileż razy serce młode,
Czarodziejskich zaklęć siłą,
Pośród rajskich niw zagrodę
Dla nadziei swéj wznosiło!

Ach! a ileż razy ona,
Zamiast tam w téj chatce u mnie
Sny me ziścić — niespełniona
W przeddzień cudu legła w trumnie!

Więc, jak starzec, w méj piosence
Próg swych marzeń krzyżem znaczę,
I zawody me tułacze,
I mą boleść Bogu święcę.

Lecz się marzą cuda nowe,
Znów nadzieja się przymila...
Może błyśnie szczęsna chwila,
W jaw się zmienią sny różowe ?...

Ejże darmo !... razby przecie
Dać niedoli za wygraną,
Gdy już w Niebie zapisano
Bym ku innéj zdążał mecie.

Dosyć, dosyć téj ciesielki !
Napowietrznych gmachów dosyć !
Snać mi tylko krzyże wznosić,
Przy nich złożyć skarb mój wszelki.

Cześć-że tobie, smutny dziadu,
Z twoim kramem i toporem !
Dość nauki, dość przykładu —
W duchu pójdę twoim torem...

---

Ejże piosnko niebogo,
Rzewna moja ptaszyno !

Cóż ci kwilić tak błogo
Nad tą wspomnień krainą?

Ze cmentarza pamiątek
Powróć, powróć do ludzi!
Bo ten łzawy wciąż wątek
Twych słuchaczy zanudzi...

Kiedyż rady bo niéma!
Na téj niwie grobowéj,
Niby pszczółkę cię trzyma
Kwiecie w rosie miodowéj.

Pijże sobie do syta,
Szczebiocz daléj szczęśliwa!
Jedna dusza życzliwa,
To-j nagroda sowita!

Ej nie jedna! niemało
Jest na świecie niedoli;
Kogo serce bolało,
Rad ci ucha pozwoli,

I życzliwą drużyną
Otoczą cię słuchacze;
A więc śpiewaj, ptaszyno,
Swe niedole tułacze!

Więc znów świeci mój światek,
Ta wysepka jedyna,
Raj dziecięcych mych latek,
Cudów, czarów kraina!

Cudów, czarów; bo wszędy
Tam dziw nowy się iści:
Z drzew piosenki, gawędy
Lecą z szelestem liści.

Czarodziejskie tam zdroje:
Człek z nich jedną kropelką
Ból najsroższy ukoi
I urośnie w moc wielką.

Jak przemyje w nich oczy,
To świat czarny przed chwilą,
Rajski blask mu otoczy,
Niebiosa się przychylą.

Nawet, słyszę, przed laty,
Jeden upior straszliwy
Z nich się napił, i żywy
Z grobu wrócił do chaty.

Każda trawka tam licha,
Każdy kamyk i pyłek,

I kość nawet z mogiłek,
Wszystko życiem oddycha!

Wszystko mowę ma cudną,
Wszystko gwarzy, szczebiota,
A zrozumieć nietrudno,
Byle szczera ochota.

Toż nie dziwy, druhowie,
Że się piosnka przewleka,
Kiedy sercem zdaleka
Ztamtąd wieści wciąż łowię.

Gdyby mi się nadarzył
Słuchacz sercem do miary,
Wiek bym cały mu gwarzył
Owe cuda i czary.

Lecz już dosyć z téj strony!
Nie ten jeden zakątek
Tak mi z duszą skrewniony.
Wielki świat mych pamiątek!

Wszystek jasny, uroczy,
Wszystek cudem mi świeci,
W przeszłość idąc, myśl kroczy
Wciąż śród kwieci a kwieci!

Snać mię matka dzieciną
Tak zaklęła w kolebce,
Że, gdzie na cierń nadepcę,
Gdzie łzy gorzkie popłyną,

Kwiat wykwita z pod nogi;
I już człeku się zdawa,
Że te ciernie i głogi,
To sen tylko, nie jawa!

Więc w świat daléj przez kwiaty!...
Ach nie! jeszcze choć chwilka!
Na rodzinnéj próg chaty
Jeszcze rzewnych łez kilka.

Jeszcze chwilkę, chwileczkę...
Śpieszmy w las ten zielony,
Tam przez kładki za rzeczkę,
Z serdecznemi pokłony.

O, mój Boże jedyny!
Cóż tu wspomnień dokoła!
Ztąd porzeczki, maliny,
Grzyby, kwiaty i zioła.

Ztąd poziomki, orzechy,
Ztąd gniazdeczka ptaszęce,

Tutaj serce dziecięce
Tyle miało uciechy!

Tu w zacisznéj ustroni,
Między jodły i sosny,
Opuszczony, żałosny
Boży domek się chroni.

Jedna grzeszna mogiła,
Tam przyjąwszy w swe łono
Dziecineczkę niechrzczoną,
Święte miejsce skaziła.

I żal matki niebogi,
Co chrzcząc łzami, ją grzebie,
W świecie znalazł sąd srogi!....
Czy tak samo i w Niebie?...

Więc kościołek zamknięto
Swiętokradztwem skażony.
Odtąd nawet we święto
Nie zagrały tu dzwony.

I przechodnie strwożeni
Mijają go z pośpiechem,
Bo dzieciny kwilenie
Wciąż tam rzewném brzmi echem.

Nasze gronko, bywało,
Przy kaplicy w zabawie,
Szparą we drzwiach ciekawie
W głąb' zagląda nieśmiało.

Tam w ołtarzu Maryja
Ponad światem wzniesiona,
Rozpostarłszy ramiona,
Swą purpurę rozwija,

I okrywa nią czule
Wielkich panów i kmieci,
I biskupy, i króle,
I niewiasty, i dzieci,

Co skupione w tłum mnogi
Ku Niéj wznoszą powieki,
Jéj się ścielą pod nogi,
Żebrząc świętéj opieki.

Więc, bywało, pod drzwiami
Długo, długo tak klęczę,
W święte lice, jak w tęczę
Patrząc ciągle ze łzami.

Bo się nieraz wymarzy,
Że Najświętsza Królowa

Posmutniała na twarzy
I zapłakać gotowa;

Że się trapi i troska
O tę pustą świątnicę,
Gdzie ustała cześć Boska,
Wyschły łaski krynice!

Rada w radę chłopięta,
I po drzewach w okienko;
Z drzwi zapora już zdjęta—
Witaj R a n n a J u t r z e n k o!

Odtąd wiosną i latem
Przyjdziem w każdy poranek
Zdobić ołtarz Twój kwiatem,
Niecić święty kaganek.

I zielonym a j e r e m
Ścieląc domek Twój cały,
Sercem modlić się szczerem,
Spiewać dla Cię hymn chwały.

A Ty, Niebios Królowo!
Uwielbiona przed wieki,
Ty nam rozwiń nad głową
Płaszcz cudownéj opieki.

I jak tutaj w obrazie
Garniesz rzeszę niezmierną,
W każdym ciężkim nam razie
Bądź ucieczką tak wierną.

A więc wiosną i w lecie,
Do kapliczki co ranek
Biegłem niecić kaganek,
Stroić ołtarz we kwiecie,

Składać serce w ofierze;
I przyklękły w pokorze,
Za dziecięce pacierze
Cuda brałem tam Boże.

Nieraz w wiary prostocie,
Zachwycone źrenice
Patrząc w Maryi lice,
Widzą uśmiech dobroci

Jak Jéj usta umila,
Jak promienią się oczy!...
Gdyby dziś taka chwila,
Taki zachwyt uroczy!...

---

Jeszcze chwilka!... sąsiadom
Niech się sercem poruczę.

Tam za górą Załucze....
Któż z was, bracia, nie świadom

Tego dworku imienia,
Gdzie słowiczek litewski
Stroił głosek swój rzeski
Na urocze te pienia,

Które oto kraj cały
Sercem chwyta, wzruszony,
Czy szlą Bogu pokłony,
Czy praojcom hymn chwały,

Czy zaścianków i wiosek
Łzawe echa roznoszą;
Bo uroczy ten głosek
Dziś nam chlubą, roskoszą!

Bo miłością i wiarą
I nadzieją brzmi błogą,
Z prawdą, z cnotą prastarą
Nową wiodąc nas drogą.

Już odgadliście pewno
Wioskowego lirnika
Co to lirą swą śpiewną
Wskróś nam duszę przenika?

Skromne, niziutkie progi
Ubożuchnéj téj chaty,
Syrokomla nasz drogi
Ubogacił przed laty:

Ej, nie srebrem, nie złotem,
Nie fortuny szczodrotą,
A słowiczym szczebiotem,
Co dźwięczniejszy nad złoto.

Tu, pacholę nieletnie—
Chluba matki, rodzica,
Już swą przyszłość nam świetnie
G w i a z d e c z k a m i rozświeca (*),

Aż, jak w bajce olbrzymy,
Większy w każdą godzinę,
Zdobył całą krainę
Przez G a w ę d y i R y m y.

A my sercem i słuchem
Przy Załuczu na straży,
Co wyśpiewa, wygwarzy,
Porywamy w lot duchem.

---

(*) T r z y g w i a z d k i, gawęda, drugi z kolei utwór poetyczny Syrokomli, ogłoszony w Athenaeum.

W tém Załuczu, bywało,
Toż to dla mnie gościna,
Toż uciecha jedyna,
Gdy z rodziną swą całą

Z Żukowego tam Borka
Zawędrujem w niedzielę!...
W progach bo tego dworka
Było czaru tak wiele!

Taka duszy poczciwość,
Obyczaju prostota,
Ludziom taka życzliwość,
Staropolska skróś cnota!

Toż wesoło a gwarnie,
Radzą z sobą coś starzy,
Młodzież k'sobie się garnie,
A chichoce, a gwarzy.

Bo dziewczęta — szczebiotki,
Syrokomli siostrzyce,
Z ustek leją czar słodki,
Sypią iskry z źrenicy.

A choć panny i chłopcy
Istna dziatwa to jeszcze,

Tym i owym nie obcy
Ow serduszka głos wieszczy,

Co zawczasu ostrzeże,
Gdzie skarb szczęścia jest prawy,
I zkąd pochop człek bierze
I do cnoty i sławy.

Więc chłopaki w zawody
I na rozum, i ramie
Każdy niby ów młody
Rycerz, wierny swéj damie.

A przechadzkiż nad Niemnem,
To ze strzelbą, to z wędką,
Zawsze z piosnką, gawędką,
Ze zwierzeniem wzajemnem

Nowych Muzy swéj darów,
Co już pachną wawrzynem,
Nowych, świetnych zamiarów,
Co się staną wnet czynem.

Ejże, błogie te dzieje
Gdzieś przepadły bez wieści!
Dziś, gdy dusza boleje,
Człek wspomnieniem ją pieści;

Widzi ślady na toni
Dawno z morzem zmieszane,
Echa w powietrzu goni,
Tak już dawno rozwiane!

I Załucze to całe,
Dziś już może zwaliska,
Wiecznie w duszy méj trwałe,
Dawnym wdziękiem rozbłyska.

I jak jawą się cieszę
„Starym domkiem pochyłym, (1).
Z mchem zielonym na strzesze,
Z ogródeczkiem tuż miłym,“

„Gdzie bzy, agrest, maliny,
I kwiatuszki, i ziółko,
A przy płocie jedyny
Ul wciąż gęstą brzmi pszczółką.“

„I drogiego lirnika
Widzę, jak się mozoli,
Jak mu w ręku motyka
Czyści kwiecie z kąkoli.“

---

(1) Strofy zamknięte w cudzysłowie są alluzją do gawędy Syrokomli p. t. O moim starym domku.

„Widzę jako tu marzy,
Buja wzrokiem gdzieś w dali;
A w źrenicy i twarzy
Wieszczy płomień się pali.“

„I w tęczowe kolory
Stroi kącik domowy,
Nadniemeńskie ostrowy,
I te łąki i bory.“

„Widzę: w cichéj izdebce,
Patrząc w Niebo otwarte,
Rzuca chyżo na kartę,
Co tam Anioł mu szepce.“

„Widzę nitki pajęcze
Ponad stołem; bywało
Wzrok w nie wlepiał jak w tęczę,
Marząc z duszą zbolałą.“

„Komin, świadek wesoły
Naszych gawęd śród zimy,
Gdzie szły z fajek popioły,
Często gęsto i rymy.“

„I ten ganek, ławeczki
Gdzie nas w wieczór majowy

Szmer dolatał z dąbrowy
I słowika piosneczki;“

I woń trawy na łące,
I pieśń smętna żniwiarzy,
I tych głosów tysiące,
Któremi noc wciąż gwarzy;

Których chaos się tłoczy
Zewsząd w duszę wieszczową,
Zanim natchnienia słowo
Świat z ich stworzy uroczy.

Tam i dzisiaj gwar taki:
Szumią łąki i gaje,
I prorocze wciąż znaki
Niebo ziemi podaje.

Lecz już ducha nie stało,
Coby Boże tworzywo
Ujął w dźwięczną pieśń żywą,
Jak to dawniéj bywało,

Gdy nasz Lirnk wioskowy
Brał to w duszę natchnioną,
I swą Litwę rodzoną
Poił czarem téj mowy,

„Którą mu podpowiada
Chór skrzydlatych pieśniarzy,
A brzęk raźny kosarzy
W dźwięczne takty układa.“ *)

I na któréj rozkazy,
Pośród piasków, bagniska,
Rajskie kwiecie zabłyska,
Życiem martwe tchną głazy;

A kmieć znojem oblany
Wstydzi swoje oszczerce,
Dziwi jasne swe pany,
Że ma rozum i serce.

---

O mój rzewny lirniku!
O mój bracie ty drogi,
Coś w tym cichym kąciku
Znał los ciężki i błogi!

Gdy się dusza twa brata
Z tą tu ziemią i niebem;
Ciężkoż, ciężko w kraj świata
Iść za inszym gdzieś chlebem!

---

*) Alluzja do wstępnéj gawędy p. t. Do braci Litwinów.

I święcone te ściany
Łzą przeczystą, serdeczną,
Żegnać, Boże kochany!
Na rozłąkę już wieczną!

Rzucić drogie ustronie,
Kędy pierwszy blask chwały,
Gdzie przy dziecku i żonie
Był ci niegdyś świat cały!!

Ha! nie walczyć nam z Bogiem,
Nie ominąć swéj doli!
Serce boli, nie boli,
Zróbmy krzyżyk nad progiem.

I w świat daléj tułacze,
Niby z szatrą cygany.....
Niech nasz zagon kochany
Orzą inni oracze;

A my zewsząd i zawsze,
Czy to w radość bogaci,
Czy w zawody najkrwawsze,
Duchem ku naszéj chacie

Śpieszmy, druhu jedyny,
Na serdeczne te gody,

Na wzajemne gościny,
Wznawiać sobie wiek młody.

A niech dusza przez wieki
W najrzewniejszym pokłonie,
Bożéj wzywa opieki
Na to drogie ustronie.

Jak wzywała w czas owy,
Gdyś z mogiły twych dziatek,
Próg żegnając domowy,
Świętych uczuć ostatek

Tchnął w głos jeden rzewliwy,
W błogosławieństw modlitwę:
„Na rodzoną swą Litwę,
Na jéj łąki i niwy.

„Na kłos każdy osobno,
Wszystkie wód jéj kropelki,
Każdą trawkę jéj drobną,
I na Boży twór wszelki.“ (*).

A teraz krzyż na wrota,
Krzyż na serce i ramie,

(*) Patrz „Wędrówki po moich niegdyś okolicach“ p. Syrokomlę.

W świat! a wszędy Bóg z nami
I ta wspomnień nić złota!

---

Żegnała nieboga, żegnała mię droga
Matka modłami rzewnemi,
I główkę mą w dłonie tuliła na łonie,
I łzami święciła swemi...

Czas chłopcu do szkoły, na ciężkie mozoły,
Na cięższe serca męczarnie;
Bo w owym tam tłumie kto zechce? kto umie?
Kto go jak matka przygarnie?

Lecz darmo! tak trzeba... ach Ojcze nasz z nieba,
Bądź Ojcem biednéj dziecinie!
O Matko wsławiona, z Twojego niech łona
Matczyna miłość nań spłynie!

Za skarb mu daj cały: nie marny blask chwały,
Nie rozum do pychy skory,
Lecz droższe sto razy, daj serce bez skazy,
Pełne miłości, pokory.

Wléj moc w nie cudowną, by wszyscy zarówno
Za miłość, miłość mu dali;

Niech będzie nią silny, nią tylko niemylny,
A Boga pokorą chwali.

O! wielka i święta, wskróś łzami przejęta
Była modlitwa matczyna.
Dziecięciu tam w szkole nie troski, nie bole,
Lecz jakby droga rodzina:

Z miłością rodzica, mistrz dobry oświeca
Umysł i serce bogaci;
I szkolna doń rzesza z miłością pośpiesza,
Ile serc, tylu ma braci.

I wszystek mądrości skarb w bratniéj miłości,
W niéj cała ducha potęga,
W niéj szczęście ma całe i wszystką w niéj chwałę,
W niéj sercem Niebios dosięga.

Nie sztukaż, nie sztuka, że łatwa nauka,
Że jasne życia zaranie!
Lecz w drugiéj tam szkole, na łez tym padole,
Miłość za wszystko czy stanie?...

To wiarą chłopięcia... Czy w życia odmęcie
Kotwicy innéj nie chwyci?
Bóg zgadnie jedyny! lecz w modłach matczyny
Duch ciągle na niebios szczycie...

O bracia, o mili! wy coście uczyli
Téj świętéj wiary, w dni one,
Myśl moja w kraj świata za wami ulata,
Was szuka serce stęknione;

K'wam śpieszy z piosenką, i z rzewną podzięką
Ku waszym sercom się garnie:
Za święte zasady, za święte przykłady,
Co w życiu nie poszły marnie.

Bo dzisiaj, jak wprzódy, miłością duch młody,
Miłością czysty, dziecięci,
Przez trudy i bole nie zrażon, jak w szkole,
Miłością ludzką się święci.

I wszystek mądrości skarb w ludzkiéj miłości,
W niéj cała jego potęga,
W niéj szczęście ma całe i wszystką w niéj chwałę,
W niéj z ziemi Niebios dosięga.

I świata mu szkoła choć trudna, wesoła,
I doświadczenie — mistrz srogi,
Choć straszy go chłodem i ciężkim zawodem,
Utwierdza, nie zbija z drogi.

Koczownik bezdomny, wciąż drogi téj pomny,
Jeno swój namiot rozwinie,

Miłością poświęci, już ludzi przynęci,
Już szczęsny, jakby w rodzinie !...

W rodzinie ? !... Druhowie ! w ostatniém ust słowie,
W ostatniém tchnieniu mych piersi,
Z modlitwą serdeczną, na pamięć, na wieczną,
Wspomnę was, moi najszczersi !

I waszem wspomnieniem, i waszem imieniem
Podwoje Niebios otworzę ;
Lecz miłość rodzinna — o inna to, inna !
Stać za nią wasza nie może !

Com uczcił na świecie — to kornie jak dziecię ;
Com kochał — to sercem brata ;
Więc czci i pokory, i miłości wzory
Rodzinna dała mi chata.

Więc dwie te miłości : rodziny, ludzkości —
To zdrój i morze wspaniałe ;
Zdrój w skromnym zakresie posługę swą niesie,
Morze ogarnia świat cały.

Lecz w świat kto pogoni po morskiéj téj toni,
Jeśli, nim z portu wypłynie,
Na podróż napoju nie weźmie ze droju,
Z pragnienia zginie, ej zginie !

Do mojéj żeglugi, z rodzinnéj swéj strugi
Jam czerpał, czerpał obficie!
Lecz jeszcze zamało, i rychło nie stało,
I wiecznem pragnieniem życie.

Bo nawie méj żagle poszarpał wiatr nagle,
Darmo się wiosło zapienia!
Zdrój zawsze daleki; a pośród téj spieki,
W morzu nie zgaszę pragnienia!...

---

A znacie wy, druhy, Podolską ziemicę,
O któréj wieszcz śpiewa: że jednym tam łanem
Kraj cały, i cały lud wielkim tam panem,
I wdzięczne ma serce, i wdzięczne ma lice?

O, piękny to kraik! tam niebo bez chmurki,
Tam ziemia się zdaje roskosznym ogrodem,
Tam wina latorośl przystraja pagórki,
A rzeki tam płyną i mlekiem i miodem.

Tam wiatr, co od Krymu przynosi tumany,
Pieśń nuci bojową i dumy rzewliwe,
A wtórem mu dźwięczą dwa bardy sędziwe:
Dniestr z Bohem, w skaliste bijąc teorbany.

A w pieśniach i dumach brzmią wielkie imiona:
Żółkiewskich, Sobieskich, Jeremich, Bohdana;
Drży ziemia, rączemi kopyty zdeptana,
Od wrzasku dzikiego drży niebios zasłona.

A dumy szeroko wciąż płyną i płyną,
Jak niegdyś krwi wrzącéj płynęły potoki;
Szeroko, rozgłośnie imiona te słyną,
Co stoją niezłomne jak groźne opoki.

Od złotéj tam Bramy po morską głębinę,
Od Dniepru wybrzeży po śnieżne Krępaki,
Z mogiłę, w mogiłę, z ruiny w ruinę,
Pieśń leci i leci w staréj sławy szlaki...

I cały kraj dziwnym urokiem owiany:
Te jary głębokie, te strome urwiska,
Po których się potok spieniony w dół ciska,
Te wdzięczne dąbrowy, bezbrzeżne te łany,

Te sioła, kwitnące jabłonią, czereśnią,
Te ciche, ustronne pasieki futory,
Zwaliska okryte szarego mchu pleśnią,
Samotne mogiły i białe te dwory,

Czarowna téj duszy wspaniałéj powłoka,
Co sławną przeszłością zaklęta, w niéj drzemie,

Poezyi krasą obleka tę ziemię,
Roskoszą napełnia dla serca i oka.

A ludzie? jak wszędy: nie całkiem anioły,
Nie całkiem złe duchy, nie wszyscy zrównani;
Jak wszędy, tak tutaj: złe z dobrem napoły,
Ni wszystko się chwali, ni wszystko się gani;

Nie każdy graf podły, a szlachcic poczciwy,
Nie każdy się samą podłością bogaci.
Niech w Niebie Bóg sądzi: kto prawy, kto krzywy,
A w synach swéj matki, rad kochać człek braci.

Ja znałem i zacnych, i dobrych tam wielu,
Co chlebem i sercem dzielili się ze mną;
Jam kochał, kochany miłością wzajemną,
Miał druha w złéj doli, nietylko w weselu.

I długim lat ciągiem, na męża, młodzieniec
Dojrzawszy tam w duchu, ogniwy świętemi
Związałem się z ludźmi i z cząstką tą ziemi;
A przecież bolałem, tęskniłem, jak jeniec.

Bo sercu przytomna wciąż Litwa jedyna,
I woła nań w krzyku wędrownych żórawi,
I w szmerze je sosny żałobnym zaklina,
I we mgle jesiennéj oblicze swe łzawi.

A żalu już żadna modlitwa nie koi
I ducha nie krzepi; bo jedne mi leki:
Niech uścisk rodziców me serce uzbroi,
Ich ręka niech bole zażegna na wieki.

---

Aż po długiéj lat kolei
I żałoby i tęsknoty,
I zawodów i nadziei,
Błysnął szczęścia promień złoty;

Otom w Litwie!... na kolana!...
Czołem ć biję, o ty droga,
Wymodlona mi u Boga,
Ziemio moja obiecana!

Otom w domu!... łzami święcę
Rodzicielskiéj chatki próg,
I radości łzy dziecięce
U rodziców leję nóg.

Błogosławcież o jedyni!
Błogosławcie głowie méj!
Kto wié, ile lat przeminie,
Nim się ujrzym w chatce téj?

Kto wié, czy ten krzyż serdeczny,
Nie na całe życie już,
I w mogile na sen wieczny,
Duszy mojéj ma być stróż?

Błogosławcież na przygody,
Na poczciwy wszelki plon,
Na ofiary, na zawody,
I na życie, i na skon.

Błogosławcie najgoręcéj
Na miłości ludzkiéj cud,
A z nią będę nawet w męce
Błogosławił życia trud.

Ej gościnaż mi, gościna!
Chyba w raju znowu tak!
Jam szczęśliwy jak dziecina,
Jak ta rybka, jak ten ptak!

Wszystko cieszy i zachwyca,
I rozrzewnia duszę mą;
Choć to inna okolica,
Nie Żukowy Borek to.

Lecz i tutaj droga strona,
Już ją serce ukochało;

Bo mu zdawna uświęcona
Ot tą jedną chatką małą.

I nie jedną, a wszystkiemi,
Żadna jemu nie ostatnia;
Bo poczciwy lud téj ziemi,
Bo tu wszędy Litwa bratnia.

Choć uboga, przecież syta;
Nie zazdrości obcym chleba,
Mając ile człeku trzeba,
O przepychy się nie pyta.

Kamieniste orze piaski,
Siéw w jałową rzuca rolę,
W Boże ręce składa dolę,
I nie ginie z Bożéj łaski.

Ach, bo cały kraj tu Boży!
Tu kościołków mnogie wieże,
Gęste krzyże u rozdroży,
I kapliczka zdroju strzeże,

I krzyż strzeże serca ludu:
Więc Bóg wiernym swoim sprzyja;
I nie skąpią łaski cudu
Jezus Chrystus i Maryja.

I gdy zasiéw zginie marnie,
Puste gumna i śpichlerze;
To do Boga człek się garnie
I z rąk Jego żywność bierze.

Bo ma z Bożéj tu opieki:
W lasach tuczne zwierząt trzody,
Ptastwo, grzyby i jagody,
I ryb smacznych pełne rzeki.

A tak kocha swoje piaski,
Swoje bagna i moczary,
Że za wszystkie świata blaski,
I za wszystkie szczęścia dary.

Nie zamienia dymnéj chaty,
Ni jałowéj swojéj roli;
I choć w nędzy, tém bogaty
Że się d o m a tak mozoli.

Człeku tyle tutaj świata,
Ile niebios sklep nakryje;
Środkiem ziemi jego chata,
Daléj długo nie wyżyje.

A jak pójdzie kto na spławie,
Argonauta to już drugi!

Powróciwszy z swéj żeglugi,
Dziwne dziwy ludziom prawi.

I słuchając go, sąsiedzi
Ze zdumieniem chwieją głową,
Lecz, choć cudne to i owo,
Lepiéj gdy człek d o m a siedzi.

Gdy szczęśliwy swym zagonem,
Własną skibę wiernie sprawia,
I choć jeden raz przed zgonem
Zdąży pielgrzym do Bucławia. (*)

Gdzie Z a r a n n a G w i a z d a płonie,
Czyste serce w wotach złożyć,
By w rodzinnéj drogiéj stronie
Dała mu i wieku dożyć.

---

Jam Maryję w O s t r é j - B r a m i e,
Na S n i p i s z k a c h Zbawcę ludu
Serdecznemi błagał łzami,
Żebrząc łaski, żebrząc cudu.

---

(*)Bucław miasteczko w Wilejskim powiecie, słynące cudownym obrazem Najświętszéj Panny.

Życia, pracy między swemi,
I mogiły w swojéj ziemi.
Ale inne mi wyroki:
„Idź pielgrzymie w świat szeroki!

A nim słyszysz bratnią mowę,
Póki widzisz bratnie lice,
Porzuć żal swój i tęsknicę,
Wdzięczny Bogu uchyl głowę.

Znaj się kornym Bożym sługą,
I narzędziem w ręku Pana;
Gdy ci taka służba dana,
Snać niegodnyś pełnić drugą.

Baczże pilnie gdzieś postawion,
Bądź narzędziem godném ręki
Nie bluźń Bogu twemi jęki,
Lecz niech będzie błogosławion.“

A więc w pokorze i cześci
Biorę krzyż swój na ramiona...
O Matko siedmiu boleści,
Bądź mym bolem pochwalona!

Chryste! naucz wzorem świętym
Poświęceniem święcić życie;

Naucz, z czołem nieugiętém
Na Golgoty stanąć szczycie!

Znowu, znowu na Podole!...
Biedna dusza, jak ptaszyna,
Gdy swawolne jéj pacholę
Skrzydła gwałtem porozpina,

I w dwie strony tęży w bolu,—
W dwie tęsknoty się rozpada:
Toby w Litwie zostać rada,
To znów lecieć ku Podolu!

I tu moi, i tam blizcy;
Człek tych zyska, tamtych straci!...
Gdyby w jedném gronie wszyscy!
Gdyby wszyscy w jednéj chacie!

Ej, szaloneż to żądanie!
Jedna rada: duch od ziemi!
Pod gwiazdami pod jasnemi,
Złożmy świętych obcowanie.

Na Podolu, czy na Litwie,
Niech się współka nasza święci
W każdéj zacnéj myśli, chęci,
I w ofierze i w modlitwie....

A więc żegnaj kraju drogi!
We łzach, usty gorącemi
Już całuję proch twéj ziemi,
I domowe święte progi,

I rodziców biédnych nogi,
I do serca braci garnę...
Marne skargi i łzy marne!
Czas do drogi! czas do drogi!

Bądźcie zdrowi! W upominek
Wezmę w serce to ustronie,
Ot ten cały Zawiszynek,
I te piaski i to błonie,

I ten młynek z tą rzeczułką,
I kapliczkę tę omszoną,
I domowe całe grono,
I sąsiadów zacnych kółko

Wezmę drogich skarbów skrzynię—
W cztery deski jedlinowe
Ziół święconych w téj krainie,
Na wieczysty sen pod głowę.

Garstkę piasku na powieki,
I téj wody z Wilji rzeki,

Co mi łzami przeczystemi
Grób poświęci w obcéj ziemi...

W obcéj ziemi ?... grób ? !... o Panie !
Przebacz ustom,co zbluźniły,
Przebacz łask Twych zapoznanie !
Ja ztąd wezmę nowe siły,

Skrę ze Znicza wezmę jasną,
Ognie w sercu nią rozpalę,
Co już nigdy nie wygasną
Na Twéj służbie, ku Twéj chwale !

A zkąd wezwiesz mię ku Sobie,
W jakiéj ziemi kości złożę,
Bądź w tém wola Twoja, Boże !
Niechaj tylko o mym grobie

Zechcą wiedzieć bracia moi,
Wart niech będzie ich pamięci,
Niech go szczera łza poświęci,
Dobréj sławy kwiat przystroi.

Więc błogosław Twemu słudze,
Krzep miłością ludzką siły ;
Niech się w pracy méj nie trudzę,
Niech nie tęsknię do mogiły,

Choćby nawet pod jedliną,
Nad Niemnową bystrą falą;
W bolu, znoju niech dni płyną,
Niech Cię tylko wiernie chwalą!

---

# DZIECIOBÓJCA.

## Obrazek z wiejskiego żywota.

Było to przy końcu maja. Pogodny wieczor, zajrzawszy przez otwarte okno do mojéj chatki, oderwał mię od książki i gwałtem na przechadzkę pociągnął. Przywdziawszy więc słomiany kapelusz i uzbroiwszy się gruszkowym kijem, ruszyłem bez celu, ot tak, gdzie nogi poniosą, i ani się spostrzegłem, jak przez grobelkę i mostek wyszedłem na pocztową drogę, wysadzoną staremi wierzbami, ciągnącą się wzdłuż stawu między łąką i niwą, do ciemnéj dąbrowy przytykającą.

Zrazu pogrążony w zadumie, nie zwracałem uwagi na otaczające mnie cuda, i tylko machinalnie sięgając do kapelusza, odpowiadałem: na wieki wieków amen, pozdrawiającym mię w imię Zbawiciela, wracającym z pola wieśniakom, i szedłem daléj i daléj. Lecz gdy uroczysty głos dzwonu, wzywający na Anioł-Pański, obudził mię z dumania, gdy ze znamieniem krzyża

podniosłem oczy ku niebu, zaczęta modlitwa skonała na ustach, dusza padła na twarz przed tronem Boga, stanąłem w osłupieniu!.... Cóż to za urocza była owa chwila! Chwila nieszporów całéj natury w wielkim natury kościele. Pod lazurową kopułą wspaniałą, skowronki dzwoniły niwom, gajom, łąkom i rzece na pacierze, Boże anioły zapalały lampy, a na zachodzie stał cudowny ołtarz z obrazem Stwórcy Przedwiecznego, przysłoniętym świetną purpurową gazą; słowik uroczysty hymn śpiewał; wietrzyk, wstrząsając kwieciste turybularze, rozlewał wonne kadzidła, a ludy i drzew, i kwiatów, i kłosów, i fali pokłon oddawały Bogu i ciche modły szeptały. I mimowolnie i łzą i westchnieniem cześć Stwórcy oddałem; a jak brzoza w gaju, jak kłos na niwie, trawka na łące, fala na rzece pod przelotem wiatru, duch mój padł na twarz pod przelotem uroczystych myśli:

Marzyłem cudnie, srodze mię zbudzono.

Zbudzono brzękiem łańcucha!.... Z niebios przeniosłem wzrok na ziemię, i spostrzegłem o kilkadziesiąt kroków od siebie, nieopodal od jakiejś chatki, pod krzyżem na rozdrożu, między dwóma żołnierzami stojącymi z bronią na ramieniu, klęczącego starca, który oczy i ręce wznosząc ku niebu, zdawał się modlić głęboko. Kajdany, które miał na nogach, zbudziły mię z dumań, sil-

niejsze zrobiwszy wrażenie, niźli dźwięk dzwonu na Anioł-Pański, co jeszcze nie ustał.

Cóż to za zbrodniarz, pomyślałem sobie, który na dźwięk kościelnego dzwonu, z tak głęboką skruchą pada na kolana?

I niepohamowaną zdjęty ciekawością, zwolna zwróciłem się ku tamtéj stronie, by mimo figury przechodząc,z blizka się przypatrzyć interesującéj mię postaci.

Przeszedłem niepostrzeżony, i niepostrzeżony usiadłem na przyzbie chatki przeciw krzyża, i oczu od starca oderwać nie mogłem.

Mógł on mieć najmniéj lat sześćdziesiąt, pięknéj budowy, odziany biało, z białą jak śnieg brodą spadającą na piersi, z kilką kędziorami białych jak śnieg włosów rozwianemi po obnażonéj szyi, z pięknem lecz bladém jak u trupa obliczem i błękitnemi jak niebo oczyma, pod siwemi brwiami na wyniosłém czole,— na klęczkach pod krzyżem, z rękami i łzawém wejrzeniem wzniesionemi ku niebu, z ciężkim łańcuchem na nogach, oblany złotym odblaskiem zachodu, zdawał mi się jakąś nadziemską postacią, apoteozą nieszczęsnego chłopa.

I modlił się, modlił gorąco; rzewne łzy, spadając mu na siwą brodę, świeciły jak kropla rosy na mchu pokrywającym zwalony burzą pień starego dębu.

Mój Boże!—myślałem sobie,—czyliż podobna, aby ten człowiek mógł być zbrodniarzem?... Biada wam sędzio-

wie, jeśliście go już potępili, boście potępili niewinnie! Sam stanę na strasznym sądzie świadkiem nieprawości waszéj!

Podniósł się zwolna, i z głową smutnie zwieszoną postępując między żołnierzami, zbliżył się do chatki, pod którą siedziałem.

Powstałem, i uchylając kapelusza:—Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!— rzekłem.

Jak gdyby iskrą elektryczną tknięty starzec zadrżał cały, i z zadziwieniem zwrócił na mnie oczy, dziwnym ożywione blaskiem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!— rzekłem raz jeszcze, podchodząc ku niemu. Czy nie mógłbym wam czém usłużyć, dziaduniu?

Łzy mu potokiem rzuciły się z oczu, porwał mię za rękę, i cisnąc ją do zimnych ust swoich, wołał rzewnym głosem, przerywanym łkaniem:

„Bóg zapłać, dobry mój panie! Bóg zapłać za przyjazne słowo!... Nic mi nie potrzeba!... potrzeba mogiły cichéj, krzyża nad mogiłą i modłów za duszę. Mogiły dać mi nie możecie; to pomódlcie się czasem,— to, kiedy wieczorém posłyszycie ten dzwonek, mówiąc Anioł-Pański, wspomnijcie Koźmę biédnego! A za przyjazne słowo, a za litościwe serce Bóg wam zapłaci!... O! to wy nie wiecie, i bogdajbyście nigdy nie doznali tego, jak to ciężko sercu, kiedy człek cierpi niewinnie! i jak jesz-

cze cierpi!... Od wioski do wioski, od miasta do miasta, w kajdany okuty, jak zbójca jaki, wlokę się nieszczęśliwy starzec niedołęga, a ludzie po drodze palcami wskazują, ze strachem, gniewem, przekleństwem lub urąganiem spoglądając na mnie!.., Sto mil już przeszedłem, a dotąd nikt jeszcze litośnie nie spójrzał, nikt nie pozdrowił w Imię Pana Boga!,.. Wy jedni tylko, wy jedni! I błogosławię was, jak Boga w niebie; alem niewinny, niewinny, dobry mój panie!"

I znowu łzy rzewne rzuciły się z oczu starcowi, i znowu ująwszy mą rękę, tulił do ust drżących,

Żołnierze, poczciwe jakieś ludziska, łagodnie słuchali skarg biédnego starca, nie przerywając mu przykremi słowy. Wiedząc z doświadczenia co za ulga sercu, gdy może przed kim żale swe wynurzyć, prosiłem ich, aby zechcieli przyjąć kieliszek wódki i zakąskę, a pozwolili starcowi o swéj niedoli pogwarzyć.

Zgodzili się chętnie, usiedli na przyzbie i wzięli się do jadła, oświadczywszy, że tutaj będą nocować. Starzec usiadł przy mnie, kilka chwil dumał, czy marzył, smutnie chwiejąc czołem wspartém na dłoni; nareszcie westchnął głęboko, spójrzał ku południowéj stronie, łzę zrzucił z oka i tak mówić zaczął:

„Patrzcie, dobry panie, hen tam, między południem a wschodem, te dwie gwiazdeczki, jak sobie miarkuję, to jak raz nad moją chatą świecą. Było ich trzy niegdyś,

i świeciły jasno i wesoło, jak oczy Bożych aniołów; nigdy tak chmury nieba nie zawlekały, by dla nich chocia malutkiéj, chocia na minutkę szczelinki nie było; to też wesoła i jasna była nasza dola! Przed rokiem zagasła jedna, gwiazdka mego Janka; Matka Przenajświętsza wzięła ją z jego duszeczką do raju, moja tylko świeci i méj biednéj Zoni, jakby krwią oblane, bo też i krwawa nasza smutna dola!“

„A w tamtéj stronie, mój miły panocze, to kraj Podolski. Ach! żebyście widzieli nasze drogie sioło! nasze chatki czyste, bielusieńkie, co po górach siedzą śród kwitnących sadów, jakby orły białe, jarami się ciągną, jak łabędzi stado, i życiem i weselem grają, jak młody rój pod słońcem. O! bo też doprawdy za starego pana (daj mu Boże niebieskie królowanie) wioska nasza była, jak w najlepsze lato pasieka odborna; a w każdéj chacie szczęścia i radości, jak plastrów miodu w ulach na podkopach, a biegliśmy do pracy, jak pszczoły po ciepłym deszczu na hreczkę lub gaj lipowy w kwiecie. A pan choć brał miodek, nie mieliśmy krzywdy; a w złą godzinę, to i nas hodował. Panował nad nami, jak ojciec nad dziećmi, nie jak pan nad chłopem; to też i zwaliśmy go nie panem, lecz bat'kiem, a panią, matką nie panią. Lecz panicz nie był nam bratem. Nie był nawet i panem. Kto inny, jak chciał, tak panował za niego, a on mu na wszystko pozwalał i skarg

naszych nie słuchał. Poszliśmy tedy w straszną poniewierkę; a lada komu wolno było nad nami i przewodzić i znęcać się bez winy. Paniczowi nic z tego nie przybywało, kto inny w pierze porastał, a on tylko marniał wraz z nami!

Oj nie tak było za starego pana! Bat'ko nasz w sercu nas nosił; ból nasz on pierwiéj poczuł, niżeli płacz posłyszał. Pamiętam, panie, dziesięć lat temu, wybrany przez niego Hryhor na ekonoma naszéj wioski, myślał, że się mu przypodoba, nam dokuczając, i wsiadł na nas od razu. Oj ciężko nam było nieprzywykłym do tego! Nie wypadało jakoś skarżyć się na swojego. Starsi upominali go i grozili, ale nic to nie pomogło,— ba jeszcze gorzéj nam było. To i radziła gromada, coby tu począć? A nim uradziła, już bat'ko nasz o wszystkiém dokładnie wiedział, już sam z sobą uradził, i, jak dziś pamiętam, w sobotę przed Świętą Trójcą, wezwał gromadę do siebie, a z nią i Hryhora. Mój miły Boże! cóż to się działo! Piérwszy i jedyny raz w życiu widziałem naszego bat'ka tak zagniewanego! Co to tam z Hryhorem dziać się musiało, kiedy ja niewinny, prosto obumarłem ze strachu! Zrazu to jakby iskry leciały z oczu, a głos był taki, jakby grom w chmurach; lecz nagle łzy mu puściły się potokiem i przygasiły ogień oczu i oblicza, i głos rozmiękczyły:

— „Ach! niepocziwy! mówił — czyż ja na to ciebie

postawił nad bracią, nad mojemi dziećmi, żebyś ich katował. Alboż ty nie wiesz, że ciało ich, to moje ciało, że serce ich, to moje serce, że co ich boli, to mnie boli! Także to ty chciałeś mi służyć, pozbawiając mnie miłości moich dobrych dziatek, krzywdząc ich w imieniu mojém! A ja myślałem, że brata postawiwszy nad braćmi, świętą sprawiedliwość mieć będę; że chłopek chłopkiem tak jak Bóg przykazał kierować będzie; że i ja i wy lepiéj z nim wyjdziecie niźli z szlachcicem, obcym wam sercem.“

A potém zwróciwszy się do nas:

„Panowie gromada! sami naznaczcie mu karę za to, że nie miłował was jak braci.“

A myśmy padli mu do nóg i rzekli:

—Wybaczcie bat'ku! i niech mu Bóg tak wybaczy, tylko nam dajcie innego!

—„To kogoż chcecie?— zapytał pan, a oblicze jego świeciło, jak majowe słonko.

A wtedy cała gromada....

Tu starzec powstał, z dumą wzniósł czoło i dłonią podparł się w boki.

„A wtedy cała gromada krzyknęła:— Koźmę! Koźmę dajcie nam bat'ku!

I drżące słowa w łkaniu utonęły; padł wysilony na przyzbę, i twarz ukrywszy w dłoniach, szlochał jak dziecko.

Po chwili tak daléj mówił:

„Tak, serdeczny panie, cała gromada, jak jeden głos, mnie wykrzyknęła!“

„Odtąd nie było dnia, żebym u pana wieczorem, w jego własnym pokoju, z godzinę nie pogawędził sam na sam. Och! co to było za serce! Ośm lat mu służyłem, jak chyba Bogu już służyć będę; miłowali mnie ludzie, a ich uczyłem dobrego pana miłować. I kiedy, siedm lat temu, pan zawołał nas znowu do siebie, aby nam powiedzieć, że chce nam dać wolność, tośmy z głośnym płaczem upadli mu do nóg, błagając, by nam ojciec nasz daléj panował, i nie wypuszczał nas z swojéj opieki. Oj! nie, nie przeczuliśmy co z syna będzie.“

„Wybaczcie, panocze, staremu gadule! Już was znudziłem pewno, a jeszcze i nie zacząłem prawić o swéj własnéj biédzie. Ale już posłuchajcie do końca cierpliwie, a Bóg wam zapłaci; bo to lżéj sercu, jak się człek człeku litościwemu poskarży.“

„Bóg mnie błogosławił. Miałem grunt parowy, dwa silne pługi i cztéry chabety, orałem za skibę uboższym sąsiadom; a z pańską pszeniczką chodząc do Odessy, nieraz i swojéj trochę się sprzedało. Miałem oprócz tego z półkopy owieczek i kilkoro krówek, a cztéry karmne wieprzaki co rok na jarmarku. Nie koniec na tém: do mnie po węgierki ludzie o kilka mil jeździli, a żydzi się darli za mój piękny miodek, bo sto pni co rok kła-

dłem do t e m n i k a , a drugie tyle w półbeczki. To i nie dziw, że grosz się w skrzyni gromadził przy Bożéj łasce.

„Ożeniłem się jak raz ósmego lata po wojnie z Francuzem. Bóg zdarzył mi żonę bogobojną, poczciwą, cichą a pracowitą, dobrą gospodynię, dobrą matkę dzieciom. Przed ową straszną zarazą, co to ją ludzie c h o l e r ą zwali, miałem już trzech chłopców i dwie dzieweczki. Wszystkie się w matkę udały: najstarszy miał już lat dziesięć, najstarsza dziewięć, i serce mi rosło z radości, kiedy bywało, wróciwszy z pola, obaczę jak moja dziatwa żwawo się uwija, zabawkę z pracy zrobiwszy: jedno krówki poi, drugie podwórko zamiata, trzecie rozsadę w ogrodzie polewa, najmłódsze nawet kureczki z kurczętami od jastrzębia strzeże, bo najstarszy chłopiec to już i drew narąbać umiał i woły do pługa zaprządz, a nieraz nawet ze mną w pole chadzał, i konie na nocleg wodził, choć i potrzeby tego nie było, bo dwóch n a j m i t ó w i dwie n a j m i c z k i miałem.

„Przyszła godzina Bożego gniewu! Ach! dobry panie, trudno wypowiedzieć, trudno wyobrazić, co się wówczas działo!.... Widzieliście tę straszną plagę zaprzeszłego lata; ale to Pan Bóg tylko napominał nie karał. A wtedy... Boże mój, Boże, siedm dni tylko straszna gościa pogościła u nas, siedm dni dzwony oddzwo-

niły, pieśni żałobne brzmiały i płącz nie ustawał rzewny, a trzy morgi pola krzyżami się zasiało, trzy części wioski pustkami stanęły! i nie było chaty, gdzieby nie postała ona, gdzieby nie zabrała kogoś, mnie tylko, mnie Bóg ochronił!

I znowu starzec zakrył oczy i zamilkł, a z gwałtownego poruszenia piersi znać było, że żal łez falą w serce mu udrzał. Po chwili westchnął i tak daléj mówił:

„Czy to źli ludzie urzekli mi moję dolę! dziwiąc się i wykrzykując: szczęśliwy! szczęśliwy! (Ach! bo to szczęście bardzo płochliwy ptaszek! ostróżnie przy niém chodzić potrzeba; a nie, to zaraz pyrchnie!), czy to ja grzeszny nie umiałem godnie podziękować Bogu za zmiłowanie Jego nadzwyczajne; sam już ja nie wiém! Ale minął już tydzień od ustania zarazy, kiedy straszna gościa, jakby przypomniawszy sobie, że u mnie jeszcze nie była, wróciła, by zajrzeć i do mojéj chaty.

„Jak dziś pamiętam, w niedzielę z południa.... wróciłem z cerkwi, a chocia modliłem się gorąco, chocia kochany nasz dobrodziéj pocieszał nas Bożém słowem, ucząc, byśmy dziękowali Bogu za to, że nas przy życiu zachował, byśmy w modlitwie wspominali zmarłych, ale nie zapominali się w żalu, a po dawnemu ochoczo biegli do pracy, i poprawę życia zrobili, by drugi raz gniewu Bożego nie ściągnąć, (prawił serdeczny, a łzy mu gradem sypały się z oczu, bo i sam dziatki pochował,— i

wszyscyśmy płakali, na twarz upadłszy w pokorze); chocia wróciwszy zasiadłem z całą siemją zdrową i wesołą boży dar spożywać; jednak cóś mi na sercu tak było ciężko, tak ciężko, że i łyżki strawy przełknąć nie mogłem, a łzy kto wié czego, ciągle się po oczach snuły, i mimo woli w uszach odzywało się ciągle, nocne, żałośne wycie naszego Żuczka i hukanie sowy na dachu. Żona wesoło krzątała się przy stole, dziatki szczebiotały jak ptaszęta w maju, żwawo się zwijając koło pirogów z czereszniami ze śmietaną; ja tylko jeden siedziałem smutny, jakby kto na mnie u r o k i nasłał.

„Oj przeczuwała moja biédna dusza!.... Ostapek mój nagle zajęczał, posiniał, pozieleniał cały i upadł na ziemię, tarzając się z bolu. Jak szalony wybiegłem z chaty, i ręce łamiąc, i włosy rwąc na głowie; wołałem biegąc przez wioskę: ratujcie! ratujcie nas dobrzy ludzie! I nic nie odpowiadając na pytanie: co się przydarzyło? biegłem do dworu i państwu do nóg upadłszy: ratujcie! wołałem.

„Oni oboje z doktorem i dobrodziejem naszym przez cały czas zarazy, i nie dosypiali, i nie dojadali, ale od chaty do chaty chodząc, nosili ratunek dla duszy i ciała. I teraz, rzuciwszy gości, z doktorem i z lekarstwami, nie czekając koni, biegli w ślad za mną litościwi państwo. Oj śpiesznie biegli aż się zadychali, ale nie wyprzedzili śmierci!....

„Biegliśmy do chaty. Tam już było kilku sąsiadów d a sąsiadek; odcierali octem i spirytusem, d a ogrzewali rozpalonemi cegłami Maryjkę i Hryhorka, a dobrodziéj klęczał przy trupie Ostapka i modlitwy mówił. Matka rzuciła się państwu pod nogi, i obejmując je rękami, i całując i oblewając łzami, dzikim krzyczała głosem: ratujcie! ratujcie! Nie wstała już biédna! zczerniała jak ziemia, oczy stanęły słupem, i łza nie k a n ę ł a!.... Przybiegła moja Olanka, by ją od stóp pańskich oderwać, i sama przy niéj upadła, jęcząc i zębami zgrzytając z boleści!.... Janek tylko najmłódszy, siedział w kącie pod piecem i płakał, nie wiedząc czego, a ja, nieprzytomny, szalony, tylko włosy rwałem i piersi tłukłem pięściami!

„I doktor, i państwo, i nasz dobrodziéj; i dobrzy sąsiedzi, sami się zalewając łzami, robili wszystko co tylko mogli, by biédnych chorych ratować:— wszystko napróżno! Straszna śmierć brała jedno po drugiém!... już tylko matka została i wszyscy z ratunkiem rzucili się do niéj.

„Pobiegłem do komory. Tam w skrzyni leżało u mnie ze dwa garnce karbowańców, zabrałem je w poły, przyniosłem doktorowi i ukląkłszy przed nim, jak przed obrazem świętym: panie, prosiłem— oto całe moje bogactwo, wszystka moje praca krwawa, weźcie to wszystko, tylko mi żonę ratujcie! weźcie i woły, weźcie i ko-

nie, i całą chudobę, zabierzcie sobie pasiekę, dwieście pni pasieki! i trzy stérty zboża, wszystko sobie weźcie, ot i tę siermięgę, ot i tę koszulę nawet; tylko ją ratujcie! miły, serdeczny panie! ratujcie! ratujcie!— I wysypawszy mu karbowańce pod nogi, całowałem jego kolana ze łzami.

„Poczciwa dusza! rzewnemi zalał się łzami, i zda się duszęby oddał, żeby ją ratować!... we trojgu z państwem własnemi rękami odcierali ją i podawali jéj lekarstwa, a dobrodziéj się modlił. Przypełzłem do niego na klęczkach i stopy jego całując, wołałem: Ojcze! dobrodzieju! zlitujcie się nademną!... może wy jaką modlitwę znacie! może uprosicie Boga! zlitujcie się Ojcze miłoserdny! — I on się modlił, płacząc i czołem bijąc przed obrazem!... Lecz Bóg zagniewany modlitwy nie wysłuchał i lekom moc odjął!... skonała biédna Hanna moja! my tylko z Jankiem zostali sieroty.

„Nazajutrz dobrzy sąsiedzi zrobili cztéry trumny, zaprzęgli po parze czarnych wołów do dwóch wozów, zabrali moje pociechy i ruszyli w drogę za księdzem z pieśnią żałobną. Zawieźli na cmentarz, i wszystkie czworo w jednym wielkim grobie pod zielonym dębem złożyli.

„Ja sam już nie wiém, co się ze mną stało? Czy to łzy wszystkie już wypłakałem, czy serce w kamień się obróciło, czy dusza obumarła z wielkiego żalu... jakbym nic nie czuł, jakbym nic nie widział, szedłem za grobem

jak śpiący; ani łzy jednéj, ani pacierza, ani jednego słówka, jakby ze skały.

„Ludzie się rozeszli, oddawszy chrześcijańską posługę; ja tylko jeden zostałem pod dębem, a przy mnie poczciwy Żuczek. Widząc to ludzie, wrócili, zaczęli cóś mówić, perswadować; ja nie ruszałem się z miejsca. Przyszedł i Dobrodziéj, i takoż cóś mi przekładał; ja nic nie rozumiałem, jakbym nic nie słyszał, i nic nie widział. Chcieli mię gwałtem do domu prowadzić; ja się ująłem dęba tak silnie, że żadnym sposobem oderwać nie mogli, Żuczek ich tylko pokaleczył jeszcze.

„Poszli, ja zostałem; Żuczek położył się na mogile, wył przez noc całą; ja stałem pod dębem jak otrętwiały.

„Rankiem bez myśli, powlokłem się do chaty, i nie zajrzawszy do środka, usiadłem na progu; Żuczek położył się przy moich nogach, i, smutnie patrząc mi w oczy, zawył czasami żałośnie.

„Przyszła Horpyna, poczciwa moja sąsiadka, przyjaciółka nieboszczki Hanny, prowadząc Janka za rękę. Nieboże, spostrzegłszy mnie, z radością rzuciło się do mnie na szyję, zaczęło obejmować i całować, pytając gdzie matka, bracia i siostry?

„Nagle, jakbym odżył, przejrzałem, posłyszałem i pojąłem; a serce tak zabolało, tak zabolało, jakby je kto na wskróś ostrym nożem przebił! Zacząłem płakać głośno i zawodzić; i ani pieszczoty Janka, ani pocieszające słowa

sąsiadów w żalu mię ukoić nie mogły. Płakałem dzień cały, płakałem noc całą, nie wstając z progu.

„Nazajutrz rano przyszedł pan z panią, i po swojemu zaczęli mi perswadować i w żalu koić, i jakoś doprawdy niby lżéj mi się zrobiło. Zacząłem niby to się krzątać koło gospodarstwa; ale gdzież tam mogłem co zrobić, kiedy mi światu nie było widać za łzami! Bo gdziem tylko zajrzał, wszędy przedemną stały drogie postacie méj żony i dziatek. Czy kwoczka zagdacze, czy krówka zaryczy, czy jagnię zabeczy: zaraz mi moje pociechy drogie na myśl przychodzą, i łzy zalewają oczy. A tu jeszcze Żuczek nieboraczysko, słaniając się z głodu, chodzi z kąta w kątek, i ciągle wyje! Tylko jak bywało z smutku powlekę się płakać na cmentarz; to on poweseleje, zaszczeka radośnie i wskok za mną bieży, a potém położywszy się na mogile smutnie z a w y w a. To tak biedaczysko za Ostapkiem płakało, bo się oni taki razem zhodowali; to też i zdechło wkrótce na cmentarzu.

„Tak szły dni za dniami; gospodarstwo marniało, chudoba ginęła; a ja, to w progu chaty, to na mogile, to z gorzką myślą, to z gorzkiemi łzami.

„Ot jednego razu, według zwyczaju, poszedłem płakać na cmentarz. Nie wiém już ile nocy nie spałem, ile dni prawie nie jadłem; wiém tyko, że ledwie nogi włóczyłem z osłabienia. Płacząc d a rozmawiając z mogiłą, i skarżąc się na sieroctwo swoje, przesiedziałem pod dębem aż

do świtania, nie zmrużywszy oka, ale o świcie sen mię jakoś zmorzył a rozżalona dusza, wykradłszy się z ciała, na tamten świat poszła.

„I zdało mi się, że z kosą na ramieniu, torbą na plecach, i z hlakiem wody u pasa, szedłem siano kosić nad rzekę. Słonko tylko co wstawać zaczynało, i ledwie połowę swego jasnego oblicza pokazało światu, a rozścielając promienie po łące, jakby jakie nitki złotéj pajęczyny, nizało na nie różnobarwiste kropelki rosy, jak piękne paciorki od cudownego obrazu Bogarodzicy; a jaskółki, gzygzając raźno, chwytały je w locie z kwiateczków i ziołek. Skowronki dzwoniły, słowiczek szczebiotał, wilgi poświstywały i z u z u l a kukała. Przechodząc koło figury, ukląkłem. Pomodliłem się Bogu, i jakoś mi było tak lekko, tak zdrowo tak radośnie w sercu, że mimowoli jak ptaszę zacząłem wesołą piosnkę, zadzwoniłem w kosę kamiennym bruskiem, i wyostrzywszy jak brzytwę, zapuściłem ją w zieloną a bujną trawę, i szedłem daléj a daléj wzdłuż brzegu rzeki z pracą i pieśnią. Zdawało mi się, że już z dziesięć godzin robiłem, a słonko ciągle na miejscu stało; rzeźwiący wietrzyk skakał po łące, ptaszęta śpiewały a miedzy mojéj przydybać nie mogłem. A z każdym krokiem piękniejsza trawa na łące, czystsza woda w rzece, błękitniejsze niebiosa, milsze ptasząt śpiewy. Nareszcie wszedłem w dąbrowę i zdawało mi się, że to była moja; ale osłupiałem z podziwu, kiedy spostrzegłem, co

się w niéj działo... Już ja wam tego nie wypowiém!... musiał to być raj, miły panocze... Upadłem na twarz oślepiony cudowną jasnością, oczarowany anielskiemi głosy, i zacząłem modlić się i płakać. Aż tu ktoś na mnie zawołał: — Wstań Koźmo! i patrzaj i słuchaj, a uważaj pilnie co obaczysz, i co posłyszysz. Powstałem. Przy mnie stał Michał-Archanioł; — poznałem go od razu, bo jak raz był taki, jak u nas w cerkwi na carskich wrotach wymalowany, ze złocistemi skrzydłami, i z błyszczącym mieczem, i w błyszczącéj stalowéj zbroicy...

„Rajskiego ogrodu ja wam nie opiszę, bo z czémże go porównam i zkąd słów wezmę, kiedy na ziemi nic takiego nie ma?! Wiém tylko, że się ciągnął długo i szeroko, bo aż o brzegi nieba dokoła się opierał; a niebo to nie było zwyczajnie niebo, ale przezroczyste jakby szkło najczystsze, i widać przez nie było anioły Boże, i Apostołów, i Matkę Najświętszą, i Chrystusa Pana, i Ducha Świętego w jakiéjś złotéj jasności, którą całe niebiosa gorzały, a która w środku niebieskiego grona świeciła najmocniéj, jakby sto słońc razem!... musiało to być oblicze samego Boga....

„W rajskim ogrodzie narodu moc niezliczona! a u każdego jak śnieg białusieńkie szaty, a lice jak u anioła, a oczy jak gwiazdy złote, i wszyscy, padłszy na kolana i patrząc w owę jasność wielką, śpiewają jakąś pieśń świętą, a taką miłą, a taką radośną, że wiek byś jéj słu-

chał i wieki słuchaćbyś pragnął, o całym zapomniawszy świecie.

„Jak się moje oczy oswoiły z rajską jasnością; spostrzegłem, że tuż koło mnie klęczała moja Hanna, a przy niéj i dziatek troje. I na nich były jak śnieg białe szaty, i lice jak u aniołów, i oczy jak gwiazdy złote, ale nie śpiewali pieśni z innemi, a w twarzy czarny smutek leżał, a oczy łzami świeciły! Z żalu się wziąłem za głowę, zacząłem płakać i wyrzekać głośno: o Hanno moja czyliż Bóg miłoserdny nie zmiłował się nad tobą, że troskasz się tam, gdzie inni się radują? A ona rzekła: Bóg się zlitował, i mybyśmy się radowali z innemi; ale ty radość nam psujesz, trapiąc się i w żalu tonąc, a zabywając pracy, a zabywając Janka biédnego, którego Bóg tobie na pociechę jeszcze zostawił. Zostaw umarłych Bogu, a żywym służ cnotliwą pracą, i nie mogiłę łzami, a pole poczciwym potem idź zlewać.

„Tu otwarłem oczy.... z dęba zerwały się cztéry gołąbki i znikły w obłokach; a słonko dobrze już wstało. Padłem na kolana podziękować Bogu za to, że mi zesłał duszeczki mojéj żony i dziatek, by mię ostrzegły o grzechu. Ostatni raz ucałowałem i łzami zlałem drogą mogiłę i śpiesznie ruszyłem do domu. Najpiérwéj zabrałem od dobréj sąsiadki mojego Janka umyłem go, ubrałem, uczesałem, zmówiłem z nim pacierz, nakarmiłem, a potém pobiegłem po wsi szukać najmitów, i znalazłszy,

rzuciłem się do dworu, by pana przeprosić, żem się zaniedbał w pracy; przebaczył mi, jak dobry ojciec dziecięciu i jeszcze słówko pociechy powiedział. Wróciwszy naprawiłem bezładzie koło chaty.

„Nazajutrz z dwóma parobkami na łące zagrałem w kosy, a sen wczorajszy ciągle stał mi w myślach i siły krzepił. Odtąd znowu wszystko poszło po dawnemu; wróciło zdrowie, i dostatek dawnym popłynął korytem, mniéj tylko było radości, mniéj wesela w chacie i w sercu!

„Miałem ja wtedy ledwie lat czterdzieści, i dobrzy sąsiedzi raili, bym drugi raz się ożenił, ale mi ciągle jeszcze żal za nieboszczką było!... a przytém żal było i Janka, bo to powiadają ludzie: macoszyne serce, a zimowe słonko to wszystko jedno. Podziękowałem im za uprzejmą radę, a żony nie wziąłem i sam się stałem Janczyną matką... i więcéj jak matką, bo on był dla mnie i moją Hanną, i moim Ostapkiem, i moją Olanką, i moim Hryhorkiem i Maryjką moją! całą radością, całém szczęściem mojém! To też go i strzegłem jak źrzenicy w oku! Bywało, czyli to w pole, czy to na łąkę, czy do lasu, czy to na tok pański, on za mną wszędzie, na krok nieodstępny; a z mała patrząc na mą szczérą pracę, wcześnie się pracy wyuczył, i w szóstym już roku był silny i roztropny jak dziesięciolatek, a hoży, aż miło patrzeć!

„Smutno mi tylko było, że jak przyjdzie jesień, a zima, to on niebożątko nie ma z kim poigrać, poswawolić.

Latem to się dziatwa zbierała na moje podwórko, na zabawy; a on między niemi rej bywało wodzi, a nawet i starszymi komenderuje. Ono to i zimą nieraz wieczorami przybiegały chłopięta do mojéj chaty boraszkować da skazki prawić; ale nie na długo. A jak bywało rozejdą się po domach, a on zostanie sam jeden, to mnie aż serce krwią się oblewa, jak na nieboraka spójrzę! Zacznę mu prawić to, sio, to stare sprawy, to skazki, to zagadki; ale nie potrafię nigdy tak go rozśmieszyć, ucieszyć, jak to równieśniki jego. I mimowoli znów mi przyjdą na myśl niebożątka moje z mogiły, i gorzka łza kanie!

„Ej! myślałem sobie—żeby mi Ojciec niebieski choć sierotę jaką darował, tak jak Artemowi staremu!

„Artem, panocze, był to sobie poczciwy dziadyga sześćdziesięcioletni. Pańszczyzny już nie robił, a siedział u syna, co już i sam miał dwóch tęgich chłopaków i dwie córki zamężne. Dobrze im się działo, było i szczęście, były i dostatki, ale jak przyszła zaraza, tak jednéj nocy z całéj siemienistéj chaty, sam tylko Artem pozostał, a dzieci i wnuki straszna śmierć zagarnęła od razu! Tylko co nie umarł z żalu starowina!... Chciał potém pójść z lirą po żebraninię, ale mu nasz Dobrodziéj jakoś wytłómaczył, że się nie godzi po jałmużnę zdrowe ręce wyciągać, tém bardziéj, że miał i zapas grosiwa niezgorszy i chudobę piękną i stérty na toku: radził, by się

postarał najmitów i gospodarował szczęśliwie. Ale dziad uparł się przy swojém: ot nie, i nie! gospodarować nie chciał, pieniądze i chudobę oddał na chwałę Bożą, sterty podarował biédnym, a sam się zrobił pastuchem.

„Trzeciéj już może niedzieli po zarazie, wieczorem siedziałem sobie na przyzbie pod chatą, huśtając swojego Janka na kolanach, a właśnie w tę porę szła trzoda z paszy. Nadbiegła i moja chudobka; Janko, choć miał dopiero trzy latka, skoczył otworzyć wrota, przynajmniéj jemu się zdawało, że otworzy, i zająć do obory krówki i owieczki; a tymczasem przywlekł się i stary Artem, niosąc cóś na ręku. Myślałem, że jakie jagnię zachérlało, i powiedziałem w duchu: ot poczciwy stary! nosi się jak z dzieckiem! Ale kiedy spójrzę, aż on doprawdy dziecinę niesie w pieluszkach jeszcze, i lula i przyśpiewuje, jakby niańka jaka.

— „Dobry wieczór! rzekłem, kumie Artemie. A co to niesiecie?

— „Podarunek Boży! Artem odpowiada. Żal Bogu stało starego sieroty, to i zesłał pociechę.

— „Zkądże ta dziecina?

„Artem siadł ze mną na przyzbie, i tuląc kwilące niebożątko, całe przydarzenie powiedział, a tak to było:

„Przechodząc z trzódką pod brzozą koło figury, co to ją ludzie od cholery postawili, patrzy, aż no leży jakaś

kobiécina, ubrana cóś jakby z szlachecka, a na jéj łonie dzieciątko w pieluszkach. Biedaczka Bogu już ducha oddała, zsiniała i poczerniała jak ziemia, a jeszcze do serca dziecinę tuliła skostniałemi rękami, a niebożątko wpiło się usteczkami w jéj zimne piersi, i biédne nie czuło śmierci! i miły mój panie, z trupa nie wyssało śmierci.... Co to jak Bóg Wszechmocny zechce poratować kogo!...."

„Tymczasem kiedy mi Artem tak prawi, zeszli się sąsiedzi i sąsiadki, zaczęli się dopytywać i dziwić, zaczęli się naradzać co z dziecięciem zrobić? I uradziliśmy wszyscy pójść do Dobrodzieja, prosić by nieboszczkę po chrześcijańsku pochował, dziecinę na wszelki przypadek ochrzcił, i co z nią zrobić, poradził. A nasz Artemisko jak się rozpłacze, jak zacznie wyrzekać, jak zacznie nas prosić, byśmy mu nie odbierali jego Znachodki, którą mu wyraźnie Pan Bóg podarował, byśmy uprosili Dobrodzieja, aby ją jemu przysądził, tak aż nam wszystkim łzy w oczach stanęły! Ja nawet, cobym połowę całego bogactwa rad oddał za tę dziecinkę, westchnąłem tylko i pocieszyłem dobrą nadzieją starego Artema.

„Ochrzciliśmy dziewczynkę i daliśmy jéj imię Zonia, a nieboszczkę jéj matkę pogrzebliśmy po chrześcijańsku na swoim cmentarzu, tuż przy mogile mojéj żony i dziatek. Zonia dostała się Artemowi, co ją taki i do chrztu trzymał. Dobrodziéj nasz chciał takoż wziąść ją do siebie, ale jak zaczął Artem całować go po nogach, jak za-

czął płakać, jakeśmy wszyscy zaczęli prosić, by ją staremu zostawił, tak się i zgodził, i jeszcze cóś niby na mamkę podarował.

„Już to taki cała gromada chciała cóś zrzucić się Artemowi na sierotkę; ale on nic nie przyjął. Uparł się koniecznie sam z siebie ją wyhodować, nawet mamki nie chciał; ale za księże pieniądze kupił sobie krówkę; zrobił s y s e ł k ę, i parzoném mlékiem sam karmił dziecinę.“

Stary Artemisko po prostu oszalał z radości! Bywało to i śmiech i sercu lubo patrzeć, na niego! Nie wiem zkąd się u niego brały i siły, i czas, i rozum do tego! Bo to i z trzodą chodzi, i pieluszki wypierze, i dziecinkę wykąpie, spowije, nakarmi; a wszystko tak mu gładko idzie, jakby cały swój wiek był mamką! A rusza za trzodą, to kołyskę zarzuci na plecy i przyśpiewuje, a nie wiém już zkąd się u niego brały te piosneczki dziwne niesłychane, a takie pocieszne, że aż się za boki weźmiesz, posłyszawszy! A wprowadzi trzódkę na paszę, to kołyskę przyczepi do drzewa, siądzie na pieńku, kapelusz plecie, Zonię kołysze i piosnkę śpiewa. A miał cztéry tęgie kundysy, z których każdy wilka by podążał, to te mu jak chłopcy trzody pilnowały, a on sobie b a j d u r z y!“

„Tak zeszła wiosna i lato, i aż do późnéj jesieni. Zonia już wyszła z pieluszek, wyładniała jak aniołek Bo-

ży, zaczęła i nóżki stawiać i słówka składać. Oj! co to za radość była Artemowi, jak ją raz piérwszy posłyszał mówiącą: dziaduniu! jak ją na nóżkach obaczył! Wróciwszy z trzodą, żadnéj chaty nie minął, do każdego gospodarza zajść musiał, by mu się swoją radością pochwalić. Przyszedł i do mnie, namówił Janka do zabawy z Zonią, stał, oparł się o ścianę, a patrząc jak jego pociecha wstała na nóżki, złożył ręce na piersiach jak do pacierza, i patrząc w nią jak w tęczę, i chwiejąc posiwiałą głową, śmiał się radośnie, a łzy mu, jak groch, sypały się z oczu. A mnie cóś tak tęskno się zrobiło i chłód ścisnął serce,—od zimnéj mogiły powiało na nie!... Pozazdrościłem biédnemu Artemowi Zoni jego drogiéj!. A jak ją wziął na ręce i wyszedł z chaty, a Janko mój, wyciągając za nią rączynki, zaczął rzewnie płakać, to i mnie z żalu serce zabolało! Pobiegłem za Artemem, zacząłem go prosić i namawiać, by do mojéj chaty przeniósł się na zimę, ale się niedał uprosić. Nie nacieszył się jeszcze Znachodką swoją i ludziom jéj zazdrościł!

„Dopiéro aż czwartéj zimy nakłonił się na moję prośbę, i przyjął u mnie gościnę. I nie żałował tego, bo i sam miał z kim pobaraszkować i Zonia miała z kim poigrać. Bywało obadwa aż do łez się śmiejemy, patrząc jak dziatwa się bawi! Janko już wtedy miał siódmy roczek i żwawy był chłopiec; to Zoni różne wymyślał zabawki, i kar-

mił ją, i stroił, i pacierz z nią mówił, i na ręku nosiła, i lubiły się dziatki, jak dwie turkaweczki.“

„Za to, jak przyszła wiosna, jak piérwszy raz trzódka ruszyła w pole, a za nią Artem i Zonia, mój biédny Janko zachodził się od płaczu, prosząc mnie koniecznie, bym ja i jemu pójść z nimi pozwolił. I pozwoliłem; bo i ja stary, gotówbym pobiedz za Zonią, — taka to była serdeczna dziecina! Pozwoliłem i drugi, i trzeci raz, i dziesiąty, lecz potém strach mi się zrobiło, by z Jankiem bezemnie co złego się nie stało, i choć przeciw sercu, coraz rzadziéj i rzadziéj dawałem mu wolę. Zrazu trapiło się niebożę i popłakiwało; ale jak mu rzekłem, że mnie staremu tęskno bez niego, tak już ani wspomniał o trzodzie. Ej! bo to było serduszko miękkie i słodkie, jak świeży plastr miodu lipowego!... To tylko wieczorem, jak trzódka powraca, wybieży bywało aż pod trzecią chatę, nabrawszy pełną pazuchę gruszek, a jabłuszek, a śliwek, a różnych zabawek; a spotkawszy Zonię, z a m a n i do naszéj chaty, i już aż do późnéj nocy igrają; a stary Artem b a n d u r z y ze mną na przyzbie jak mnie roboty nie ma; a nie, to sobie siadłszy, niby to kapelusz, albo koszyk plecie, a na prawdę bawi się z dziećmi stary dzieciuch.

„Na zimę znowu osiadł w mojéj chacie. Tak przez cztéry roki. A Zonia rosła i w lata i w rozum, i w krasę; rosła jak jabłonka dzika, którą Bóg hoduje, słonkiem

ogrzewa, rosą polewa, i mchem mięciutkim z północy odziewa, deszczem obmywa, a wiatrem bujne kosy rozczesuje. Bywało jak wraca z trzodą, ubrawszy się w kwieciste wianeczki, albo pod jesień w żółte, kraśne i sine liście brzozowe a osinowe, i sznury korali z szypszyny, a biegąc z zieloną rószczką za owcami, przyśpiewuje sobie, jak ptaszątko jakie,— to nie było człeka, co by nie stanął i nie podziwił się na nią i dobrego słówka nie powiedział! Miała już lat ośm i prawą ręką Artemowi była, gdzie tam prawą ręką! Dziad już się dobrze posunął, już i nie zdużał, już i nie dowidział i nie dosłyszał; to ona za niego miała i uszy i oczy, i nogi, i ręce, była jemu wszystkiém, była jemu siłą i zdrowiem, i życiem! Mnie Janko toż samo, choć sam byłem krzepki. Miał już jedynaste lato, a i z pługiem chodził, i do sierpa stawał, i w kosę dzwonił, i cepem dzielnie wywijał.

„A tego roku jakoś słoneczko wcześnie przygrzało, ciepły wietrzyk dmuchnął, i zima czmychnęła aniśmy się spostrzegli. Na trzy niedzieli przed Wielkanocą już tylko gdzieniedzie po głębokich jarach szmateczki śniegu świeciły, jakby wielkie pióra ze skrzydeł zimy, pogubione w pośpiesznym locie; a nasze wzgórza, skąpawszy się w ciepluchnym deszczu, wygrzawszy boki na ciepluchném słonku, odżyły, zazieleniały, zakwitły! Zaklekotały bociany, i klucz za kluczem, z radośnym krzykiem, pociągnęły gęsie i żórawie, a w lesie aż drzewa

się trzęsły od wesołéj wrzawy rozlicznego ptastwa, co z piosnką do miłéj pracy się brało. Mój bocian takoż przyleciał; zaciągnąłem koło na obórkę, i drugi gnieździć się zaczął. Ono to prawda, że i radość i smutek od Boga; ale jakoś mi serce raźniéj zaigrało w piersiach; bo ludzie mówią, że gdzie się bocian gnieździ, tam się szczęście gnieździ.... Szczęście od Boga; ależ bo i bocian Pana Boga słucha.... to i dziękowałem Bogu za bociana.

„Artem zwykle na wiosnę zdawało się, że młodniał, że zrzucał z plec z dziesiątek latek; dumki a szumki sypały się z głowy, jak pszczoły z ula. A teraz, chocia zdrów jak rybka, coś tak posmutniał, tak głowę spuścił, że aż żal było patrzeć na niego! Ej! powtarzał ciągle, nie długo mnie już gościć na świecie! Czuję, że nawet jajka święconego z wami jeść nie będę!... już nawet i ciało moje s y r ą ziemią trąci. Ja go pocieszałem, ja mu prawiłem co mogłem, by te gorzkie myśli wybić z staréj głowy; on słuchał, potrząsając czołem; a łzy po zmarszczonéj płynęły twarzy. Ej!—mówił—nie myślcie bo kumie, że mi tak ciężko umierać, że mi tak żal za światem! Co w nim? n a h o r o w a ł s i ę d a n a b i d k a ł s i ę człek nie mało, nieraz się krwawemi łzami oblał; to czegoż żałować? A tam już cała s i e m j a wygląda starego zdawna, to i grzech nawet tak długo marudzić. Ale mi serce się kraje, ot za tą sierotką, za mą złotą Zonią! Boję się, by tu jéj bezemnie ludzie nie krzywdzili! — Nie

bójcie się kumie, mówiłem, ja ją zasłonię od niedobrych ludzi! nie bójcie się kumie! ja ją w serce wezmę! A on dziękował i jakoś weselał trochę.

„Nadszedł Wielki Tydzień. We środę raniutko Artem się wyspowiadał nabożnie, oczyścił duszę, przyjął Pana Boga; a idąc za trzodą zaszedł do mojéj chaty, rzucił się do mnie na szyję, całując i obejmując i głośno płacząc, i prosząc, abym pamiętał o tém com powiedział, abym jego Zoni nie dał złym ludziom krzywdzić. Cóś i mnie smutno się zrobiło, serce się ścisnęło, łzy stanęły w oczach... Poszedł on z Zonią za trzodą, ja miałem iść z pługiem na swoję niwę, ale mi smutek i siły i ochotę odjął, i ręce opadły. Parobka tylko posłałem, a sam poszedłem przątać koło chaty na święta, Janko mi pomagał, cóś obu nam nie szło. Niespokojność dziwna wpiła się w serce jak zła gadzina i niczém wyrwać jéj nie można było! I praca nie szła, i p o ł u d e n e k smaczny nie smakował; i z utęsknieniem zachodu słońca czekałem, żeby czém prędzéj Artema i Zonię z trzodą obaczyć, i coraz to wyglądałem na ulicę.“

„Kiedy raz spójrzę, aż no bieży Zonia co jest siły, z roztrzepaną kosą, z pokrwawionemi nóżkami, krzycząc i zalewając się łzami i rączki łamiąc. Oj! woła, biegnijcie czém prędzéj!... cóś się Artemowi stało! położył się, zadrzémał i wstawać już nie chce, i zbudzić go nie można!“

„Uderzyłem w dłonie z przestrachem, i serce obumarło we mnie, i tak jak stałem puściłem się w pole do Artema, nie widząc nawet, że za mną w ślad skoczyli Zonia i Janko. Nie wiém już, jak ja trafiłem, ale jak raz stanąłem na tém samém miejscu, gdzie pod figurą u zielonéj brzozy, oparłszy głowę na zwiniętéj świcie, leżał stary Artem twarzą ku niebiosom, z rękami skrzyżowanemi na piersiach. Zdawało się, że drzémie, i że jakiś miły sen jemu śni się; bo twarz była taka wesoła jakaś!... Przy nogach leżał stary jego kundys, i coraz to łapą go drapiąc, wietrzył i z a w y w a ł smutnie; a trzoda, nie pasąc się, lecz stojąc w miejscu, rwała racicami ziemię i głucho r y k a ł a.... A było to jak raz pod tą samą brzozą, gdzie, ośm lat temu, matka naszéj Zoni skonała! Oj! pomyślałem sobie— biédna sierótko dwa razy! będęż ja ciebie miłować a pielęgnować więcéj niż rodzoną swoję! I dziwna rzecz— zdało mi się, serdeczny panie, że stary Artem niby się uśmiechnął, i niby cóś szepnął, jak by Bóg zapłać!...

„Pomodliłem się za jego duszę, posłałem Janka po wóz i woły: a wziąwszy Zonię na ręce, zacząłem ją pieścić i utulać w płaczu, mówiąc, że się dziadunio obudzi, że to tak z postu sen go zmorzył. A ona biédaczka zaczęła mi r o z p o w i a d a ć, jak go budziła naprzód wołając, a widząc, że nie wstaje podkradła się i pocałowała, a jak to go nie obudziło, to pomyślała, że sobie żartuje,

i wziąwszy słomkę zaczęła go łaskotać po brodzie i wąsach.... a potém straszno jéj się zrobiło, zaczęła płakać i krzyczeć i szarpać za odzież, a nie obudziwszy, pobiegła już po mnie nieboga, żebym ja go budził. Oj! sierotko biédna! już jak on do ciebie nie wstał, to go sam Pan Bóg chyba na straszny sąd obudzi!

„Przyjechał Janko z parobkiem; położyliśmy Artema na wozie, parobek został przy trzodzie, a ja z Zonią i z Jankiem poszedłem za nieboszczykiem.“

„Wieczorem, jak Zonia spać poszła, skoczyłem do Dobrodzieja, i zaprowadziliśmy starego Artema na cmentarz, a pochowaliśmy taki rzędem z matką Zoniną. Poczciwa to była dusza! mało już dziś takich na świecie: wierny panu, szczéry w pracy, a miłoserdny a bogobojny!...“

„Zonia, jak się tylko zbudziła, tak zaraz spytała: gdzie Artem? Co tu jéj było powiedzieć? Powiedziałem, że raniuteńko poszedł na odpust, że jéj nie wziął z sobą, i już się uspokoiła. A jak minął tydzień, znowu się dopytywać zaczęła o Artema; ja jéj powiedziałem, jakoby ludzie mówili, że ztamtąd się ofiarował do drugiego świętego miejsca. I tak od niedzieli odkładając, a pieszcząc, a miłując, pomału ją i odzwyczaiłem od Artema; już to nie tak ja, jak Janko, co jéj coraz nowe wymyślał zabawki. Czekała wprawdzie na Artema, ale nie płakała. A jak po Świętéj Trójcy powiedziałem wresz-

cie, że już nie powróci, że go Bóg wziął do siebie, że już ja dla niéj będę Artemem; to poprosiła tylko, żeby ją zaprowadzić na jego mogiłę, pomodliła się, nasadziła kwiatów, z tydzień się posmuciła, a potém już taki zupełnie do mnie przywykła. Wtedyż pokazałem jéj i mogiłę jéj matki; to i tę zasadziła kwiatkami, i pielęgnowała je i często na cmentarz modlić się chodziła.“

„Odtąd już słonko nie schodziło z podwórka mojego; zdawało, się że szczęście, płochliwe ptaszę, już się oswoiło ze mną. Do chatki wróciła radość, serce przebolało za straconemi, przylgnęło do Janka i Zoni i do poczciwéj czeladzi. Bóg błogosławił i w polu, i w domu; i chleba i grosza było podostatkiem. A tu jeszcze, jak już wam panie mówiłem, bat'ko nasz postawił mię nad całą naszą gromadą, a jak zobaczył, że mu służę wiernie, że ludzi nie krzywdzę, to i miłował, i łaską hojnie obdarzał. A i gromada, poczciwa gromada nasza! nie wiém już za co tak mnie polubiła, że nic bez mojéj rady nie poczynała. Czy przedać, czy kupić, czy nająć się pod transport, czy dziatki poswatać, to każdy szedł do mnie, jakby do znachora. Radziłem, jak mnie mój prosty chłopski rozum radził, a szczére serce kazało, i jakoś nikt źle nie wyszedł na mojéj radzie.

„Już to ja sam z siebie możebym i niewiele poradził w prostocie swojéj, ale mi wiele przybyło i z mądrych słów dobrego pana, i z mądrych słów Dobrodzieja nasze-

go. Z panem się gawędziło nieraz z powinności, Dobrodziéj nieraz do mojéj chaty zachodził, i nibyto dziatwę chwalić Pana Boga ucząc, nieraz i mnie staremu świętą dał naukę. Nauczyli mnie oni, że nie ten szczęśliwy, kto więcéj grosza uzbiera, bo go na tamten świat z sobą nie weźmie; ale ten szczęśliwy, kto więcéj dobra swoim bliźnim zrobi, bo to przed nim pójdzie i drogę mu do Nieba uściele. To też nie zamykałem ani drzwi swojéj chałupy, ani swojego serca, ani swojéj skrzyni przed nikim w świecie. Śpichlerz mój był zapaśnym magazynem dla gromady, skrzynia zapaśną skarboną; kto tylko zapotrzebował, pewno nie odszedł z próżnemi rękami. A miał, to oddał, a nie miał, to się obeszło, a znaku nie było, że się braciom dało. Za to też miłowała mię cała gromada tak, że i w ogień i w wodę za mną by poszła....

„I nie było włości na całém Podolu drugiéj tak jak nasza! U nas bywało najwcześniéj zasiano, najwcześniéj podatki złożone i rekrut oddany. Bo jakoś Bóg mi dopomógł nauczyć gromadę, że rekrut to powinność święta, że każdy z ochotą ma iść na obrońcę swojéj Świętéj Wiary, swojéj drogiéj ziemi, swojéj drogiéj chaty i ojców, i braci; to i urządziliśmy kolejkę, i jak przyjdzie pora komu należy, sam bywało stanie, bez płaczu i bez lamentu, bez rozboju i bez kajdanków. A uprzątawszy było z pola i z toku co potrzeba, dwa razy z transportem do Odessy pójdziemy, i pańską i swoję pszeniczkę sprzedamy, i za

podwody piękny grosz weźmiemy. A kupcy bywało jeden przed drugim dobijali się o nas; bo nigdy nie pokazało się po nas ani niedbalstwa, ani tém bardziéj kradzieży.

„A okoliczni panowie dziwili się mocno i na rozum brali, jakim to sposobem nasz bat'ko tak dobrze poddanymi rządzi, że i najśliczniejszy grosz zbiera, i włość w dobrym bycie, i nie buntuje się, i nie narzeka jak u nich. Ej! serdeczni panowie! łatwy to sekret ta mądrość naszego bat'ka w rządzeniu: ojcowskie serce, a sprawiedliwość, ot i cała sztuka.“

„Tak w szczęściu i w radości szły lata niepostrzeżenie, i z Zoni się stała dorodna dziewka krasawica, a z Janka parobek hoży. Oboje piérwsi z urody, piérwsi w zabawie i w pracy; a mili sobie nawzajem, jak słonko światu, jak deszczyk wiosenny niwom. Jankowi było dziewiętnaście, a Zoni szesnaście latek; to i pomyśliłem sobie: niechaj się pobiorą! Ja stary, już i nie zdużam; oddam im chatę i gospodarstwo, niech sobie sami dla siebie pracują, Bogu na chwałę, a mnie na pociechę. Skoczyłem do pana, skoczyłem do księdza; a po Wielkanocy i pobłogosławiłem moim drogim dziatkom, a nie było parobka, coby Jankowi nie pozazdrościł, nie było dziewki, coby nie pozazdrościła Zoni.“

„Dobry nasz pan szanował ten zwyczaj, że każde wesele hulało na dworze, a nie żałował ni miodu, ni piwa,

tak samo jak kiedy częstował gromadę z wiankiem. A jeszcze bywało, bat'ko nasz kochany to sam rozpoczynał taniec z panną młodą, a pani kochana z panem młodym!.... A panicz bywało to stanie na ganku z jakimś tam niemcem, da śmieje się tylko, da po zamorsku szwargoce. że nic nie zrozumiesz, tylko kanalję i djabła.... Ot, niekoniecznie to prawda, co ludzie mówią, że jabłko niedaleko od jabłoni pada; przynajmniéj z naszym paniczem inaczéj było!... Może z natury to i niedaleko się odtoczył; ale go zwierz brzydki swym ryjem odrzucił i zaplugawił! On nie przyjmował gromady ni z wiankiem, ni z kołaczem, sromał się z panną młodą pójść w taniec, za to na jarmarku w Bałcie a w Jarmolińcach to grzech i powiedzieć z kim on w tany chodził!??

„Jakoś to niedługo po weselu Zoni, nasz bat'ko kochany Bogu ducha oddał; a dobra pani, to taki cóś na drugi dzień z serdecznego żalu w ślad za nim poszła. Ze wszystkich stron zbiegli się wielcy panowie na pogrzeb, zjechała się księży moc wielka, i w bogatych aksamitnych trumnach, złotemi nabijanych ćwiekami, z żałobną muzyką i z pochodniami śród ciemnéj nocy, zawieźli do grobu nasze dobre państwo. Było tam żalu i łez niemało; lecz nikt podobno, nawet syn rodzony, tak nie żałował, tak nie opłakiwał jak gromada nasza! Cała wieś z płaczem i jękiem powlekła się na cmentarz, cała wieś gotowa była zagrzebać się w grobie z ukochaném państwem!..

Lepiejby jéj tam było, niż na białym świecie pod rządem panicza!

„Póki żył nasz bat'ko, to go trzymał w ryzie; a jednak już przebąkiwali ludzie, że to wielkie ladaco, że i rodziców nie szanuje, i z ludźmi jak z psami się obchodzi. To też zaraz po pogrzebie zagrał po swojemu!.... Mój miły Boże! jeszcze wiatr nie wywiał z pokoju ostatniego tchnienia nieboszczyków, a on się już puścił na wszelkie swawole! Zdawało się, że jak kruk, na śmierć ojcowską czyhał, że z upragnieniem téj pory wyglądał, w któréj się na wieki zamkną rodzicielskie oczy, przed których jasnością, jak sowa przed słońcem, ukrywać się musiał z brzydką duszą swoją! Doczekał się nareszcie! I téjże niedzieli ściągnął czeredę jarmarkowych przyjaciół, przyjaciółek, i jeszcze nie porosła trwawą rodzicielska mogiła, a on już przehulał większą połowę gotówki!

„A z téj ciągłéj hulanki, z ciągłego pijaństwa i rozpusty, w końcu jakieś licho przystąpiło do niego: rozsrożył się, odziczał, jakby zwierz jaki—ot poprostu czort go opętał! Niepowiem, żeby umyślnie a regularnie miał nas ciemiężyć dla przysporzenia sobie dostatków. Nie, tego nie było, bo o majątek wcale on nie dbał i czasu nie miał na pomyślenie o nim. Rzucał złoto garściami, a o zbieranie jego nic a nic się nie troskał. Ale i znać nas nie chciał, a jak mu który w złą godzinę nawinął się

na oczy, broń Boże jeszcze z jaką prośbą, czy skargą, to aż się pienił ze złości, i krzyczał, i wymyślał na czém świat stoi, a nieraz to i ręką srodze dosięgnął. A tu, jak na toż, bez prośb i skargi ani sposób nam obejść się było!

„Przyjął to jakiegoś odstawnego kapitana pijanicę na komisarza i wszyściutenko zdał na jego wolę; a ten jak się wziął do nas, jak zaczął nas musztrować po sołdacku a pałkami okładać, tak my do ostatka głowę stracili! Zrazu ten i ów probował mu przemówić do rozumu i uczciwém słowem go opamiętać; ale gdzie tam! nikogo słuchać nie chciał, nikomu tłómaczyć się niedał! Słuszaj! stupaj! i tylko! Radzi tedy nie radzi, raz w raz musieliśmy biedz do panicza, nie mogąc sobie tego wyperswadować, że i u niego nie znajdziem sprawiedliwości; ale z deszczu szliśmy tylko pod rynnę. Panicz się złościł, łajał, wypędzał, a komisarz mścił się zawzięcie. Mnie z ekonomstwa zrzucił, dobrodziejowi naszemu zagroził, że go z parafji wypędzi, i coraz to ciężéj, coraz żałośniéj gromadzie naszéj było, tym zaś najgorzéj, których nieboszczyk pan więcéj niżli innych miłował. To też nikt ze sług dawnych nie pozostał na miejscu, a nie jeden to i w rekruty poszedł. Panicz sam nie wiedział, co robił, a kommisarz go na złe tylko nawodził.

„Twarda chłopska dusza i ciało: wiele wytrzyma; ale jest miara we wszystkiém. Zaczęły się w gromadzie

gadania wcale nieosobliwe, zaczęły się takie roboty, o jakich nam dawniéj ani się śniło! Strach mię ogarnął! Pomnąc na nieboszczyka pana, wraz z dobrodziejem naszym, wszystko robiłem, co tylko mogłem, żeby złemu zapobiedz. Przekładałem sąsiadom, żeby po dawnemu żyli z Bogiem i prawdą, żeby pokornie biédę swoję znosili, choćby przez samę tylko miłość dla ś. p. bat'ka naszego, który, powiadałem im, nie będzie miał w grobie pokoju, jeżeli my w pokoju żyć nie będziemy. Prosiłem, błagałem, ledwie nie modliłem się do nich, jak Świętych Pańskich, a z siebie dobry przykład dawałem, i przy pomocy Bożéj skutkowało to trochę. Powoli, włość zaczęła przywykać do swojéj biedy; skarzyć się i odgrażać przestała; mnie jednak serce boleć nie przestawało, a nawet ciężki ból jego coraz to wzrastał.

„Bo jak bywało wspomnę, jak to szły rzeczy za nieboszczyka pana, jaki to raj był w naszéj gromadzie, jaki ład, jaka poczciwość, jaka święta praca a miłość, i jak przyrównam do tego, co po jego śmierci nastało, tak tylkobym płakał i płakał, nieszczęsny!... Bo choć wyprosiłem u swoich spokój i posłuszeństwo, nie mogłem i nie umiałem ich prosić o cześć i miłość dla panicza, albo o dobre słowo dla kommisarza. Zaprzestali narzekania i gniewu, lecz za to do pogardy i urągania przeszli: szydzili z krzywdy, szydzili z dzikiéj złości a nawet i z ciężkich razów, kommisarza przezywali pijanicą,

panicza opętanym, siebie samych rojem bez matki, i jak ten rój marnieli! Jakże tu było nie płakać! jak nie kruszyć się sercem?!

„Ale nie na tém koniec. Było to wielkie nieszczęścia! straszny dopust Boży! zdawało się, że już gorzéj nigdy nie będzie, że już i całe piekło nic straszniejszego dla nas nie wymyśli.... aż nie! Opętaniec nieszczęsny rzucił się na takie rzeczy, przy których ucisk największy, chłosta najstraszniejsza, sybir i śmierć, choćby pod knutem, fraszką by jeszcze były!... Ach miły Panie! wymówić nawet trudno!... bezbożnik! jak mu nie stało grosza na wybredniejszą rozpustę, zaczął psuć i krzywdzić żony i córki nasze!“

„Jak po raz piérwszy hańba ta na nas spadła, tak my po prostu rozum i przytomność stracili, jakby w nas wszystkich piorun z nieba uderzył! Potém nas wściekłość straszna opanowała i gotowiśmy już byli na wszystko... I Bóg wié, do czego by nie przyszło, gdyby, za wpływem naszego Dobrodzieja, mnie a za mną kilku starszym gospodarzom opamiętania w porę Bóg nie dał. Złożyliśmy naradę i stanęło na mojém. Pięciu nas, starców poważnych, w imię Boże poszło ze skargą, — do sprawnika, nie do assesora, lub jakiegokolwiek policjanta; ale do sąsiadów panicza, a przyjaciół nieboszczyka pana naszego, począwszy od marszałka i od księdza dziekana, w słowach pełnych żalu a umiarkowania opowiadając im

swe krzywdy, i o ratunek dla włości, o poskromienie rozpusty panicza prosząc.

„Wróciliśmy pełni dobréj otuchy, bo poczciwi panowie mocno do serca krzywdę naszéj gromady wzięli i pomoc nam swą przyrzekli. Jakoż niebawem marszałek i ksiądz dziekan i sześciu co najpoważniejszych obywateli, w dzień umówiony, zjechali do panicza.... Ach! woleliby już nie przyjeżdżać! wolelibyśmy nigdy do nich nie chodzić!... Zaledwie się ozwali, panicz wpadł w straszne szaleństwo, nawymyślał im od słów ostatnich i po prostu z domu wypędził; a oni napisali nań dekret, że już do obywatelstwa odtąd nie należy i że w żadnym uczciwym domu nie ma być przyjmowanym, majątek zaś postanowili oddać w administracją.

„Markotno nam się z tego zrobiło, bo nie szło nam o karę, tylko o poprawę; bo zresztą z kary téj panicz sobie żartował, i żeby sąsiadów swoich o tém przekonać, dowiedziawszy się kto na niego ich naprowadził, wszystkich nas kazał ochłostać i jeszcze gorzéj dokazywać zaczął; a kommisarz tymczasem, co mógł, to robił, żeby od administracji majątek ustrzedz.

„My wszakże, zawierzywszy przyrzeczeniu panów, że bądź co bądź, a biéda nasza się skończy, znosiliśmy ją, lepszych czekając czasów, a dla panicza u Pana Boga upamiętania prosząc. Ale upamiętanie nie przychodziło! Straszna to w tym człeku była zawziętość, a prze-

ciw mnie największa! Co ja wycierpiałem od niego, co wycierpiał mój Janek, tego już ani wygadać! a jeszcze gorsze nas nieszczęście czekało!

„Czy mu jeszcze dotąd Zonia w oko nie wpadła, czy duch nieboszczyka Artema nad nią z nieba czuwał, tego ja nie wiem dosyć że jéj nie zaczepiał. Ale jednego razu Janka wzięli do dworu bić, nie pamiętam już za co. Zonia bez przytomności z płaczem pobiegła za nim i panczowi zaczęła pełzać po nogach, by mu przebaczył. Przebaczył.... ale wolałby Janko, żeby go zbił do śmierci, a jéj nigdy w oczy nie widział!

„Minęło kilka tygodni; panicz się jakoś niby pohamował; dał pokój i mnie i Jankowi i niby już zapomniał o naszych dziewczętach i kobiétach. Myśleliśmy, że się upamiętał, że przestroga sąsiadów, czy modlitwy nasze poskutkowały.... Ba! raz nawet zajrzał do mojéj chaty! Zdziwiłem się, przeląkłem! Zajrzał raz drugi i trzeci, i jak nieboszczyk ojciec, zaczął radzić się ze mną! Ja w prostocie serca pomyślałem sobie, że się mu jego święty rodzic przyśnił i napomniał, to ot i o poprawie myśli! I radziłem szczerze, i tylko co nie rozpłakałem się z radości. Janko się tylko krzywił i z podełba patrzał na odwiedziny panicza, i Zonię wysyłał z chaty, jak go tylko zajrzał jadącego. Ja go napominałem łagodnie, że się nie godzi tak długo złe ludziom pamiętać, że jakby nie było, to taki to pan nasz i dziecko rodzone naszego

bat'ka. On nic nie odpowiadał, a tylko wzdychał i brwi namarszczał. Ej! pokazało się wkrótce, że dobrze serce mu szeptało.

„Nasz panicz zrazu tak przyjeżdżał, żeby mnie zastać w domu i pogadać, a potém zaczął wypatrywać porę, kiedy ani mnie, ani Janka w domu nie było. Zajedzie, wywoła parobka z chaty, żeby mu konia potrzymał, dziewczynę poszle na wieś, wymyśliwszy jakąś potrzebę, i sam zostanie się z Zonią.

„Patrzę ja, czego to moja droga Zonia tak posmutniała? Bywało rzeźwa jak ptaszek, a taka wesoła, że mnie staremu w smutku smutek nie przychodził na myśl, a teraz to czy zaśpiewa, to tak żałośnie, jakby po nieboszczyku płakała, czy się zaśmieje, to jakby z bolu się śmiała. I ot kto wié czego, bywało, jak siedzę wieczorkiem na progu chaty, to przyjdzie, usiądzie na ziemi przy moich nogach, oprze drogą główkę u mnie na kolanach, i jak zacznie płakać nieboga cichemi łzami, a ręce moje całować, to tak mnie rozżali, że i ja stary, jak dziecko z płaczu się zajdę. A tulę ją, a dopytuję się przyczyny smutku, a może to, a może owo?—To tak ja sobie płaczę,— odpowiada bywało,— nie trapcie się ojcze! Trudno mi było uwierzyć; jużciż człek tak sobie nie płacze, a od łez radośnych nie zapuchną oczy, jak u mojéj Zoni. To i nie dawałem pokoju, a dopytywa-

łem się ciągle. I raz biédaczka do nóg mi się rzuciwszy i zachodząc się od płaczu, zaczęła prosić, bym ją od panicza obronił, który jéj pokoju nie daje z miłością swoją szkaradną.

„Krew zakipiała we mnie. Pobiegłem zaraz do dworu, sam nie wiedząc czego; szalone myśli kręciły mi się w głowie, jak złe duchy w piekielnym kotle. Ale nim dobiegłem, wieczorny wietrzyk ostudził krew rozigraną w starych moich piersiach, i nie do dworu, ale na cmentarz poszedłem. Tam upadłszy na mogile Artema, zacząłem go prosić ze łzami, by sam już bronił naszéj drogiéj Zoni, bo już ja nieszczęsny rady nie widzę, a człowiek zły z serca mi ją wydziera.

„A tuż przy cmentarzu naszym, nieboszczyk nasz bat'ko zaczął był stawiać kaplicę dla siebie na mogiłę; bo mówił: długi wiek przy moich kochanych dzieciach przeżyłem, to niech i po śmierci przy nich spoczywam. I pochowali ich na tém miejscu oboje, ale tylko fundamenta kaplicy stały wzniesione przez nieboszczyka d a cegły i kamienie leżały, co on nazwozić kazał. Bo syn nie tylko, że kaplicy nie skończył, ale nawet krzyża na rodzicielskim grobie nie postawił. To nasza gromada, za wspólną radą, wykuła wielki krzyż z kamienia, i mimo wiedzy panicza, cichaczem go postawiła na drogich swych panów mogile, i ogrodziła ją wysokim płotem, że-

by zwierz dziki jéj nie znieważał. To i tam poszedłem. i modliłem się z płaczem do świętych duszeczek pana i pani, by się pokazali choć we śnie synowi, i Bożym pogrozili mu gniewem. I wypłakawszy się i wynurzywszy swój żal mogiłom, ze lżejszém sercem wróciłem do chaty.

„Ale łzy moje nie przebiły grobów, modlitwa moja nie przebiła niebios, i panicz Zoni pokoju nie dawał.

„Ot jednego razu, po długich a gorzkich dumach, odurzały z żalu, poszedłem z głupią myślą do panicza.— Miłościwy panie!—powiedziałem—nie pożałujcie fatygi, a pójdźcie-no ze mną; ja wam skarb pokażę taki rodziców waszych, weźcie go do siebie, a obróćcie na dobre.“

„Uradował się panicz bez miary i w skok pobiegł za mną. A było to już dobrze nocą, a noc była ciemna, choć oko wykol. Czarne chmurzyska zaciągnęły niebo, parno było, a cicho, a głucho, jak w grobie; jak gdyby świat cały wybiła zaraza. Czasami tylko grom padał w oddali, i całą ziemią i niebiosy wstrząsał. Szliśmy w milczeniu, i zaprowadziłem panicza na rodzicielską mogiłę. I kląkłem .. błysnęło i cały świat ogniem oblało, i krzyż na grobie ogniem paniczowi błysnął.—Co to jest?!— krzyknął... Zagrzmiało aż dzwony jękły w cmentarnéj cerkwi, i z długiém echem grom się przewalał z chmury na chmurę... ucichło.— Klęknijcie paniczu —

rzekłem, a pomódlcie się Bogu; to grób rodziców waszych, Panie świeć ich duszy!— Głupiś!— krzyknął panicz.— gdzie skarb zakopany?!—Ja ciągle klęcząc, mówiłem ze łzami:— tu panie, tu panie skarb ten zakopany, skarb najdroższy w świecie, droższy nad skrzynie złota i skrzynie klejnotów— serce to rodziców waszych, a w nich cnota święta. Weźcie ją miłościwy panie do siebie, a obaczycie, że prawdę, mówię— a obaczycie, że szczęście wam złotą rzeką się poleje. Znajdziecie skarb wielki, miłość u ludzi i miłość u Boga; weźcie tylko skarby serc rodzicielskich.

„Ach ty łajdaku!— zakrzyczał panicz— ach ty buntowniku! ty będziesz mi nauki prawił!— I miły panie, kijem, co miał w ręku, nie patrząc ni oka, ni boka, zbił mię aż do krwi, i obumarłego porzucił na grobie.

„Nie wiém jak długo leżałem; wtém błyskawica jak złotym mieczem rozkroiła niebo, chmury się rozbiegły, i drugi raz w życiu ujrzałem otwarte niebiosa. Teraz przypomniałem sobie, co mówią ludzie, że jak Bóg Wszechmocny dozwoli komu to cudo oglądać, to o coby tylko w téj chwili poprosił, otrzyma. Zacząłem więc wołać ze łkaniem: Boże zlituj się nad Zonią! Boże zlituj się nad Zonią!..... I niebo się znowu zamknęło, znów stało się ciemno jak w grobie dokoła, tylko na mogile gorzał krzyż płomieniem i klęczały dwa jasne duchy pochylone nade mną. Kiedy ja patrzę, aż to nie-

boszczyk pan z panią.... chciałem się porwać na nogi, ale nie mogłem z wielkiego bolu. Zacząłem płakać i ręce ich całować zakrwawionemi ustami. I oni płakali, a łzy ich padały na moję głowę, a gdzie która padła na krwawą ranę, to taką ulgę zrobiła, jakby czarodziejska owa woda życia. Pani zdjęła z swych ramion śnieżną chuścinkę i obwiązała nią moję pokaleczoną głowę. Potém oboje ucałowali mię w czoło, i znikły niebieskie duchy.

„Odżyłem, spójrzałem: tylko co zaczynało na brzask się zabierać, a było ciemniéj niż zwykle o téj porze, bo wszystkie chmurzyska na wschód się zsunęły i nieruchome leżały, jak świeża, czarna, ogromna mogiła na pobojowisku. Po drodze mimo cmentarza, pomykał się jakiś bogaty powóz, i zdało mi się, że ktoś przez okno spoglądał na mnie. A od mojéj głowy taki się zapach rozchodził, jakby od rajskich kwiateczków, wziąłem się ręką za nią i spostrzegłem, że była obwiązana chuścinką. Wtedy przypomniałem sobie i niebiosa otwarte, i duchy państwa, i gniew panicza, i zuchwalstwo moje; bo rany już mię nie bolały nic a nic. Pomodliłem się gorąco na mogile i pociągnąłem do chaty.

Ledwie uszedłem kilkadziesiąt kroków, kiedy mię nagle uderzył w oczy bury słup dymu, wznoszący się z dworskiego toku. Aż w piersiach mię ścisnęło od

strachu, bom poznał, co się to znaczy. Dniem przed tém, przychodził do mnie Iwan Basista, płacząc i przeklinające panicza. Miał on jedynaczkę krasną dziewuchę, zaswatał ją z poczciwym chłopakiem, synem bogatego gospodarza, i w przyszłą niedzielę mieli już stanąć pod wiankiem. Lecz panicz skrzywdził Jeudoszkę, chłopiec jéj się wyrzekł, a ona biédna rzuciła się w rzekę z sromoty. Iwan był twardego serca i straszny w gniewie. Przyznał się przedemną, że krzywdy i śmierci swojego dziecka nie podaruje paniczowi.—Niech go Bóg pobije, mówił—ja rąk swych nie skalam w jego krwi nieczystéj, ale mu z dymem puszczę wszystkie jego stérty, to i sobie pociechę sprawię, i całéj włości lżéj będzie— nietyle pracy. Ja go prosiłem, ja go zaklinałem, żeby zaniechał szalonéj myśli; groziłem mu i karą ludzką i gniewem Bożym; on milczał jak skała, i z czarną dumą na czole rozstał się ze mną.

„To jak dym z toku spostrzegłem, zgadłem co to się dzieje. I nie czując bolu i znużenia, przez niwę, przez jary, jak kula biegłem w tę stronę. Chwała Ci Boże! myślałem, przybiegłem w porę. Jeszcze płomień nie buchnął, sam ogień zagaszę, i nikt się niczego nie domyśli. I nierozumny, zacząłem wyrywać tlejące snopki, deptać je nogami, i krwawiąc i parząc ręce, przyduszać piaskiem coraz się bardziéj zajmującą stértę... napróżno!... a tu jeszcze i wiatr przyskoczył... cały tok

326



objął się płomieniem. Rzuciłem się czém prędzéj do wsi, by ludzi na ratunek zwołać, i nie zważając na tlejące na mnie odzienie, ostatnich sił dobywając, biegłem przez pole.

„W ślad za mną cztérech konnych pędziło,— dognali. Stój! krzyknęli; zeskoczyli z koni, wpadli na mnie gwałtownie, porwali i skrępowali powrozem. Był między niemi i panicz. Poznawszy mnie, krzyknął: a to ty, szelmo! buntowniku, to to ty mnie stérty podpalasz! I w gniewie znowu mię zaczął nahajką okładać bez miłosierdzia.

„Wiedziałem co to ma znaczyć.— Bijcie mnie już, panie, rzekłem, ale posyłajcie do wsi, niech ludzie idą ratować. Uderzył mnie jeszcze z dziesięć razy, a potém krzyknął na dwóch konnych, żeby biegli do wsi i nahajkami pędzili gromadę na ratunek, a trzeciemu kazał mnie zaciągnąć na tok, i sam jechał przy mnie.

„Na toku ani żywéj duszy nie było, a ogień bujał i buszował i aż pod niebo rósł wysokim słupem... Przybiegł posłaniec ze wsi zadyszany cały.— Jaśnie panie!— zawołał,—nikt na ratunek iść nie chce, i jeszcze mówią: chwała Panu Bogu!— Bestje! — krzyknął panicz,— ja ich nauczę!.... Wziąść jeszcze kilku kozaków, i z nahajkami obejść wszystkie chaty, bić choćby na śmierć łajdaków.— Kiedyż bo mówią— odpowiedział posłaniec— że choćbyśmy ich chcieli i pozabijać, to nie pójdą.

„Panicz z gniewu i żalu aż włosy rwał sobie z głowy, a ja stojąc zdala jak przypomniałem sobie dzisiejszą nockę i duchy miłosierdnych państwa, tak mi się potokiem łzy z oczu puściły, z litości nad ich obłąkaném dzieckiem.... I płakałem, płakałem... zdawało się, że i duszę wypłaczę.— Jaśnie panie!— odezwał się któryś z konnych:— niech jaśnie pan rozkaże Koźmie, żeby zwołał gromadę, to może jego posłucha, bo on całą wioską trzęsie.— Kiedyż to on szelma podpalił!— krzyknął panicz, i przyskoczywszy do mnie zaczął bić znowu bez litości, a ja tylko wołałem: panie miłościwy! jam nie winien! jam nie winien!

„Nabiwszy się do woli, znowu krzyknął panicz, żebym szedł gromadę wołać na ratunek. Dwaj konni wzięli mię pomiędzy siebie i na powrozie zaprowadzili do wsi, a ciągnąc ulicą od chaty do chaty, kazali, bym namawiał ludzi iść pożar gasić. Zrobiłbym to i bez rozkazu, tylkoby mię lepiéj posłuchali. A to, jak obaczyli żem skrępowany i zbity, tak ledwiem ich uprosił, umodlił, żeby przewodnikom moim nic nie robili złego. Wyskoczył i Janko z Zonią, a zobaczywszy co ze mną się działo, zaczął wykrzykiwać groźnie i gromadę wołać do siebie, i ledwie nieledwie go ująłem, a Zonia biédna prosto obumarła z żalu i ludzie już ją do chaty zanieśli. A do pożaru nikt ani jednym nie postąpił kro-

kiem, i cały tok zgorzał ze szczętem, i ani jeden kłosek nie ocalał, ani jedno ziarnko.

„Nazajutrz panicz wezwał policją i z żołnierzami na poddanych swoich, co jego ojca bat'kiem nazywali, a sami dziećmi mu byli. I przyjechali i karali strasznie, a mnie zakuli w kajdany i sądzić mieli. Ciągnęli d o p r o s y; ja im powiedziałem, że podpiwszy sobie zanocowałem na cmentarzu; a wytrzeźwiwszy się przedednem, wracałem do domu! i spostrzegłszy ogień na toku, rzuciłem się ratować. Potém obaczywszy, że sam nie dam rady, pobiegłem wołać gromadę na pomoc, a konni mnie dognali i wzięli. Nikt mi nie wierzył, bo jeszcze znaleźli przy mnie kaletę z całym przyborem do ognia.... Nie chciałem wydać Iwana, bo i któż zresztą mógł wiedzieć na pewno, czy on to ogień podłożył, kiedy włość cała gniewem płonęła?... i już gotów byłem sam głową nałożyć.

„Janko i Zonia, a z niemi kilku starszych gospodarzy nieodstępnie błagali sędziów, by mnie uwolnili, pod przysięgą świadcząc, żem niewinny; ależ kiedy wszystko świadczyło inaczéj, i panicz gotów był przysiądz, żem ja tok podpalił. Byłoby po mnie, ale kiedy już mieli odesłać mnie do miejskiéj turmy, zjawił się Iwan i sam się przyznał. Mój Boże! co też on tam prawił przed sędziami na panicza, aż włosy wstają na głowie, jak przypomnę sobie.... Ej nierozumny! co przybyło jemu

z jego zemsty całéj? i duszę i ciało zgubił, a paniczowi i włos z głowy nie spadł.

„Ot mnie i uwolnili; przeleżałem ze trzy niedzieli, i oczuniałem znowu. Przez ten czas panicz jakoś był dał nam pokój; a potém i znowu zaczął najeżdżać. Ja znosiłem cierpliwie, bo cóż poradzić miałem? ale biédny Janko nie wytrzymał. Raz panicz przyjechał i jego tylko samego w naszéj chacie zastał... Jakem ja wrócił, Janko mi się przyznał, że pogroził paniczowi, że mu śmierć zrobi, jak nie przestanie napastować Zoni, i że panicz nastraszywszy się bardzo, (bo zbielał jak płótno) obiecał dać już jéj pokój.— O nierozumny! krzyknąłem, pięściami uderzywszy się w głowę i obumierając z żalu...:

„Nazajutrz najemne sługi panicza napadłszy na naszą chatę, zakuły Janka w kajdany i poprowadziły do dworu, mówiąc, że go w rekruty oddadzą. Cała gromada jak na gwałt się zbiegła i groźnie zaciskając kułaki, chciała się rzucić i odbić Janka. Żebym choć słówko powiedział, miałby robotę panicz. Ale nie, zacząłem ich prosić, żeby nie robili bezprawia, że sam ja pójdę z pokłonem, to może uproszę panicza.

„Poszedłem, padłem mu do nóg, płakałem i modliłem się, jak do Pana Boga— nic nie pomogło. Zakrzy-

czał, że Janko szelma, buntownik; nogą mnie w głowę uderzył i precz jak psa wypędził. Płacząc powlokłem się do domu, a on przez okno krzyknął:—Zonia go może wyprosić!

„Jak Janka brali, Zoni nie było w domu; przyszła już bezemnie, i jak się dowiedziała od ludzi o wszystkiém, rzuciła się zaraz do dworu. Spotkałem ją wracając, i siłą odprowadizwszy do chaty, uprosiłem sąsiadow, by jéj nie wypuszczali, a sam zabrawszy do worka całe bogactwo swoje, ze trzy garnce srébra zarzuciłem na plecy i poszedłem znowu do panicza. Znowu padłem mu do nóg, i błagałem, by przyjął okup za jedynaka mojego, znowu się modliłem jak do Pana Boga. Ej dobry panie, wstyd i powiedzieć..., za pieniądze się zgodził, jakby żyd jaki.... Oddał mi klucze i od turmy, gdzie Janko siedział, i od kajdanów jego. Pobiegłem płacząc z radości.... O czemuż mi raczéj nie rozbił nogami méj nieszczęsnéj głowy!...

„Tu łkania głos mu przerwały, i długa upłynęła chwila, nim wrócił do swéj powieści.

„Przybiegłem do drzwi więzienia, a ręce mi się tak trzęsły z radości, że ledwie nieledwie trafiłem kluczem do zamka.... Otworzyłem, wbiegłem i padłem bez duszy na trup mjego dziecka....

„Daléj już nie wiém co się ze mną działo, bo dusza we mnie zamarła z boleści!

„Odżyłem pod katowskim knutem, przed tysiącami narodu, śród rynku... Zagrzmiały barabany, knut świsnął, i od stóp do głowy ostry ból mnie przeszył, a lud tłocząc się wkoło, szeptał: syna zabił! syna własnego zabił!— I posłyszałem te szepty straszliwe, pomimo gromu barabanów i świstu knuta! i już nie czułem bolu padającego się w kawałki ciała, bo serce srożéj bolało, bom wszystko sobie przypomniał!

„Jak tylko wyleczyli mię z knuta, tak zaraz i wysłali w drogę. Bóg miłosierny nie rzucił mię bez pociechy. Droga szła przez naszę wioskę, miałem zatém nadzieję, że spotkam kogoś, co mi o Zoni powié. Może o wiorstę ode wsi, na rozstajnych drogach, spostrzegłem z daleka świeżo usypaną mogiłę i jakąś ludzką postać na mogile. Cóś w serce mię tknęło i żwawiéj poszedłem. Zbliżyłem się.... na mogile siedziała biedna kaleka, z twarzą wykrzywioną, z rękami i nogami strasznie połamanemi. Spostrzegłszy mię, z krzykiem potoczyła mi się pod nogi, zaczęła wołać po imieniu i płakać, i stopy, i kajdany moje całować.... była to Zonia!,.. I serce padało się we mnie, jak niegdyś ciało pod knutem; bo, przykuty do jakiegoś zbójcy, nie mogłem nawet podnieść drogiéj mojéj dzieciny, do serca przytulić, uścisnąć, ucałować! Zacząłem prosić żołnierzy, aby mię na mogiłę chocia wprowadzili, i litościwie usłuchali prośby. Ukląkłem i zimną ziemię całując i zlewając łzami,

długo a długo z mogiłą gadałem.... Oj czemu Bóg Wszechmogący nie dozwolił mi tam i duszy wypłakać!...

„O biédny, biédny mój Janku! to oni ci nawet na święconéj ziemi grobu nie dali!.... Za cóż cię wyrzucili na rozstajne drogi, jak jakie źwierzę nieczyste? Czyżeś nie chwalił Boga? czyżeś nie miłował ludzi? Czyżeś skrzywdził kogo na świecie? Za cóż cię, dziecko moje rodzone, za co cię wyrzucili tutaj?.... Oj nie było mnie wtedy! jabym ciebie ratował! Poszedłbym a padł do nóg dobrodziejowi naszemu, powiedziałbym mu,: ojcze! zlituj się nad mojém dzieckiem! tyżeś je ochrzcił, tyżeś je i Boga chwalić i ludzi miłować nauczył, tyżeś je co rok spowiadał; to znasz jego duszę, jak swoję. Za cóż je odsądzasz od święconéj ziemi? Za cóż kości jego mają próchnieć w polu, jakby kości bydlęce, zdala od braci, zdala od rodziny drogiéj?... A dobrodziéj nasz taki dobry, taki miłosierny, tak kochał mojego Janka! onby nie pożałował modlitwy i cmętarnéj ziemi dla niego!!...

„Nareszcie żołnierze w drogę mi iść kazali. Gwałtem oderwali biédną Zonię ode mnie,— ledwie ją pobłogosławić mogłem,— gwałtem mię oderwali od mogiły Janka,— ledwie mogłem chwycić garsteczkę ziemi... (Świętaż to ziemia, droga rodzinna ziemia z mogiły jedynego dziecka!)— I wziąwszy wiszący na pier-

siach woreczek, ucałował go ze łzami. Poszliśmy. Lecz we wsi znowu wysypała się cała gromada, i nie zważając ani na żołnierzy, ani na innych zbrodniarzy, każdy się rzucał do mnie na szyję, płaczem mię żegnając i o błogosławieństwo prosząc, jak ojca. Oni to mi opowiedzieli, co się ze mną działo. Znaleziono mię bez duszy na trupie Janka. Przyczepiłem się do niego tak mocno, że ledwie mię oderwać mogli; lecz pierwiéj panicz sprowadził świadków i obumarłego kazał mię zakuć w kajdany, jako dzieciobójcę! Janko miał roztrzaskaną głowę.... Pewno ją z żalu rozbił o mur więzienia, bo ten mózgiem i krwią był obryzgany!

„Nie wiedzieli ludzie i ja sam nie wiém, jak mnie sądzili, co ja na doprosy prawiłem; osądzili, bo widać były dowody niezbite..... Zonia biédaczka dowiedziawszy się o śmierci Janka, rzuciła się w wodę pod upust, koło ją porwało i pogruchotało... Dobrzy ludzie z wody wyciągnęli i wyleczyli. To wzięła torby żebracze i siadła na mogile Janka, niby to ludzi o chleb powszedni prosić w Imię Boga. Nie pożałowałby go nikt we wsi dla mojéj sierotki, nawet dobrodziéj chciał ją wziąć do siebie, ale nikt nie chciał serca jéj krwawić, od mogiły ją odrywając.

„Biédna Zonio moja! wysłuchał mię Pan Bóg, kiedym Go błagał przed otwartém niebem, by się zlitował nad tobą! obronił cię od złego panicza, ale jak

obronił, ptaszko moja droga!..... Nie dziw, że krwawo twoja gwiazdka świeci! Niedługo poświeci, lada dzień, a Boży anioł strząśnie ją swém skrzydłem z niebiosów, jak ptaszek kropelkę rosy z niezabudki; ale już i mojéj nie świecić wtedy!“

1850 r.

Koniec.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

390 925

120.-
51809/31568